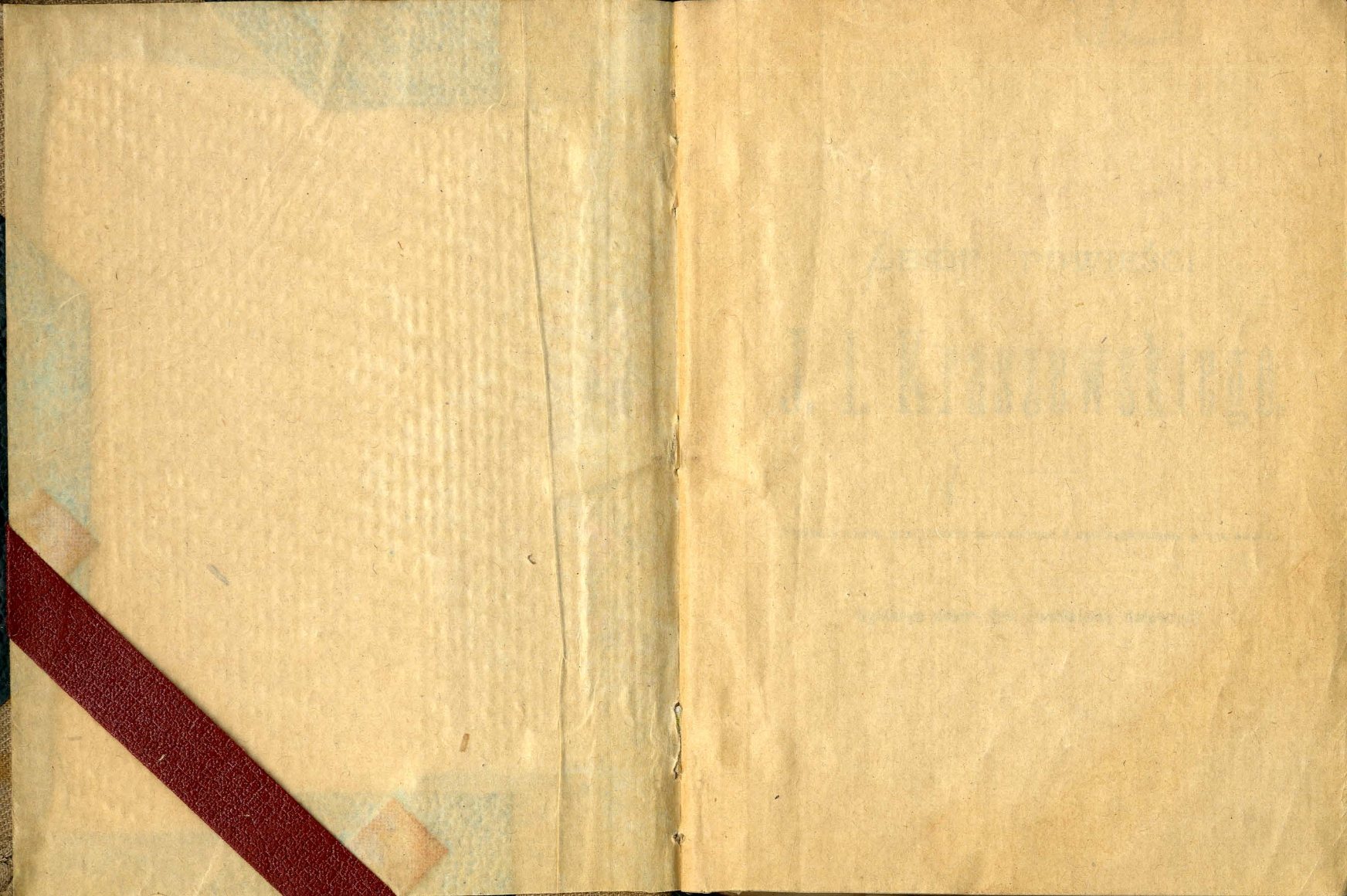






El. Orzeszkowa

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

7

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom dwudziesty dziewiąty.

MILJON POSAGU

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane i poprawione przez Autora.

TOM I.

LWÓW.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 10.

1872.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.

5109-2911

3.8.15.6.45.



881.162.1-311.2



Nakładem Bogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

TOPOGRAFJA.

- Oj tak, tak moiści dobrodzieju!
- Co chciałem mówić...
- Owoż mociupanie... Już czwarta, a taka spiekota.
- O! gorąco!
- Żarem pali... będzie deszcz.
- Niezawodnie... parzy. Na moją hreczkę, jeśli wypadnie nawalny, zginiona.

Te i tym podobne furywki rozmowy i wykrzykniki, dobywały się z ust kilku osób zgromadzonych w dość obszernym pokoju, w domu wiejskim, dowodząc że towarzystwo w nim zebrane, nie mogło sobie przedmiotu do zajmującej, ciągłej rozmowy wyszukać. Na twarzach wszystkich przytomnych jednostajnymi rysy wypisało się znużenie i oczekiwanie czegoś. Był to dzień czerwcowy, dość skwarny, godzina poobiednia... może oczekiwano deszczu?

Osoby dramatu następujące.

Naprzód... gospodarz domu, pan Pokotyło, pięknego brzucha mężczyzna, rumiany, trochę łysy, z bakenbardami w pół księżycę, w letnim surducie, z piórkiem w zębach. A piórko było paciorkami ubrane.

Synowiec gospodarza, pan Fabjan, wysoki, dobrze zbudowany chłopiec, z bródką zapuszczoną i włosami długimi, cygarem w rękę.

Trzecim był pan Hasling, sąsiad niedaleki, siwiejący już mężczyzna, w staroświeckiego kroju fraku granatowym, chudy, wysoki, chmurnego wejrzenia.

Czwartym pan Teodor Doliwa, i ten z bródką ryżą, wąsami bladymi, bakembardami ciemnymi prawie, włosami barwy pośredniej, różnej od poprzedzających (co mogło być skutkiem fiksaturu), z cygarem w ustach.

Piątym i ostatnim, maleńki człowieczek fertyczny i ruchawy, pan Kulikowicz (jeszcze sąsiad), brudny, niepozornie ubrany, z czupryną czarną do góry, oczyma czarnymi na wierzchu, noszący buty na ogromnych korbach, mocno wykrzywione.

Dom w którym się znajdowali ci panowie, był staroświeckim szlacheckim dworkiem, ocienionym lipami ogródka, odsłoniętym od strony dziedzińca. Obok niego stały ściśnięte zabudowania gospodarskie wszelkiego rodzaju. Z za gałęzi topoli balsamicznych wystawał tam dach stodoły, ówdzie ściana spaczona chlewku, dalej białony niegdyś bok oficyny, to znów czarne żebra szpi-chlerza z gankiem na słupkach i długim rzędem kuf-próżnych, korzystających z pory i używających świeżego powietrza.

Po dziedzińcu przechadzały się bez ceremonji, poważnie, swobodnie, znając się na swoim miejscu, pośród piołunu, bylicy, łopuchu i ostów, napuszone swą ważnością, indyki z licznem potomstwem, gęsi z córeczkami w żółto-brudnych sukienkach, gadatliwe kumoszki kury, i swiergoczące nieustannie trzpiotowate polatywały po płotach wróble. Złowróżbne śmieciuchy, czubkami swemi

zapowiadały długą słotę. Nieco dalej nad brzegiem cuchnącej, obrosłej i zielonemi skrzeki pokrytej kałuży, nazywającej się sadzawką, spacerował pozornie obojętny, ale nie bez złych myśli bocian w czerwonych butach, z bliskiego na olsze gniazda. Srocza wrzeszczała na bzach za oficyną.

Dziedziniec wielce był ożywiony, jeśli nie ludźmi, to ptastwem; a koń ekonomiczny spętany przez ostrożność zawsze wielce chwalebny, zdawał się zajmować dozorem tej skrzydlatej czerechy, do której zapomniałem dodać siwe gołębie, unoszące się po nad dachy słomianemi, porośniętymi zielonym aksamitnym mchem, i gdzie niegdzie nawet trawą.

Nie wiem czy potrzebnie opisuję dworek tego rodzaju, tak one jeszcze niedawno pospolitimi były u nas, tak są jeszcze pamiętne wszystkim, ze swemi akcesorjami zwykłemi, żywymi i nieżywymi. Ale któż wie, czy je wkrótce zobaczymy już, czy o nich posłyszymy, cywilizacja idzie ku nam tak szybko! a co gorzej poczyną zawsze wprzód działać na domy i suknie, niż na ludzi. Trzeba więc opisywać, i dworki i słomki i co tylko nieco przeszłością pachnie, bo wkrótce tego wszystkiego nie stanie. Są to zabytki starożytności.

Zaraz za dziedzińcem poczyniała się wioska w jedną, łań w drugą stronę. Na lewo czerwieniał krzyż, na prawo żółciła droga ku laskowi brzozowemu, i tam dalej.

Wtył za dom był ogródek, ale ani angielski, ani francuski, ani chiński; po prostu szlachecka zagroda. Środkiem ulice agrestowe, porzeczkowe, malinowe, jabłonie, stare grusze i śliwy; w bok dalej trochę... grządy truskawek zarosłe, a za niemi *utile dulci* przymieszane:

kapusta, groch cukrowy, ogórki, marchew, koper, selery i ślicznie na wysokich tyczkach prezentująca się fasola. Pod starą gruszą altanka z chmielu, w altance ławka z darniny, ścieżki nigdy nie czyszczone, sadzawka tatarakiem od zielonych świąt nietykanym zarosła, lamusik stary. Do koła, żeby broń Boże oczu w okolice nie puścić, płot otarnowany, wysoki, porządny, szczelny, za nim rów, a w dodatku popłatana wirginja. Pomimo takiego obwarowania, uważne oko badacza mogło dojrzeć wyłamanych gdzie niedzie krzaków, zdeptanej trawy, powykręcanych gałęzi, nieco pochyłonych płotów i widocznych śladów ukradkowego przejścia. Jedna tego rodzaju ścieżynka wiodła ze wsi, po zakazany owoc do raju pana Pokotyły; druga od zabudowań gospodarskich przemylała się ku karczmie, skracając drogi przyjaciółom starozakonnego Szmula.

Taki był dworek *cum attinentiis* pana Pokotyły, starego kawalera, i niegdyś wojskowego, dziś dziedzica jednej trzeciej części wioski i gospodarza.

Pan Pokotyło żył zadowolniony wiejskim trybem życia, nie znajdując żeby w niem warto było coś dodać, lub od niego co ująć, przyjmował je jako *fakt spełniony* (rzecz najwygodniejsza) i zastosował do niego.

Życie też jego ani się bardzo frasowało jutrem, ani rozmyślało o wczorajszym, płynęło jak płyną wody, nie widząc kędy i po co, przyjmując w siebie i deszcz i liście wierzb nadbrzeżnych i żaby i szczupaki, i co tam zwykłe w rzekach bywa. *E semper bene.*

Skarżyć się... skarżył prawda i pan Pokotyło, bo któż się nie skarży? ale nie myślał nigdy wszakże, na to co mu dolegało, radzić... nie pojmował nawet, żeby to było można i żeby próba na co się przydać miała.

Rano wstawszy, herbatę wypiwszy, nieco się przyodziałwszy, (buty nie co dzień wdziewał szuwaksowane, uważając ich, zgodnie z Jankiem sługą, za zbytek szalony)... wychodził na łąn trochę, trochę do stodoły, albo do ekonoma. Potem jadł śniadanie złożone z wódki starej, chleba i wędliny lub marynaty; wczesny objadek bardzo prosty, uwarzony z elementów nie wytwornych, z dodatkiem butelki piwa, lub kieliszka wina (jeśli gość się trafił). Wino jedyne jakie znał p. Pokotyło, było owe tak zwane francuskie, które Litwie na wicinach przychodzi, garncami się sprzedaje i butelkuje w domu. Jeśli nikogo nie było, po obiedzie zasypiał, i spał do czwartej, czasem dłużej, jeśli słotna pora fizycznie i moralnie do snu skłaniała. Wieczorem przechadzał się około gospodarstwa lub jechał w sąsiedztwo; jeszcze później, kładł kabałę, chodził z fajką po pokoju, studiował nad kalendarzem, gawędził z ekonomem u drzwi i z założonemi rękoma attentującym... nareszcie usypiał. Tu zasłona spada.

Życie to miało za sobą wielką prostotę części składowych. Co się tam działo w duszy jego, nikt nie wie, nawet ekonom, któremu zwykł się najserdeczniej wynurzać, objaśnić o tem dokładnie nie był w stanie, tem bardziej niżej podpisany.

To co do pierwszego.

Synowiec gospodarza, mieszkaniec tejże wioski, który przy starej matce gospodarką na drugiej części się zajmował, żył także bez wielkiego na życie wysilenia. Matka pocziwa, prostoduszna staruszka, modliła się, rozdawała i odbierała prądę, motki i płótna, jeździła koczobrykiem starym do kościoła, układała chętnie kabałę i karmiła dwa pieski. Pan Fabjan wyszedłszy

z piątej klasy, (gdyż szóstą uznał on i matka za zupełnie zbyteczną) zapuścił brodę, zaczął palić cygaro, polować z chartami i uganiać za dziewczętami. Zapomniałem objawić, że grał na skrzypcach i gitarze, (wielki talent) służącego wyuczył grać na klawirze, i improwizował muzyczkę na wieczorkach sąsiedzkich. Był więc bardzo pożądanym gościem. Mieszkali we dworze daleko większym i okazańszym od poprzednio opisanego, na starej sadybie, która się zwała zamczyskiem, opasanej wałami zielonemi, zarosłej dębami, ustrojonej w stare popodpierane budowle. Naprzeciw niej ciemna cerkiew ze swemi gankami, obwodzącą ją do koła, wysuwała się z pomiędzy klonów i lip, z błyszczącym nowym krzyżem na czole i świeżo pomalowanym jaskrawo dachem. Dalej biegła wioska ku dolinie z pochyłemi chaty i błotnistą ulicą.

Pan Hasling, sąsiad Pokotyły, mieszkał w drugiej wiosce, dawniej żonaty, dziś wdowiec o kilkorgu dzieci, zakłopotany przyszłością, frasowny, zabiegły, zgryźliwy, kłótniwy, i po większej części smutny (chorował na wątrobę). Lubił poncz pasjami, miał trzy córki dorosłe na wydaniu, co tłómaczy jego przyjaźń dla Pokotyłów. Panny to były białe, rumiane, wesołe i w perkalikach chodzące. Wszystkie trzy grały na gitarze, pisały jak kury, czytały pracowicie zbierając rozpierzchłe głoski; ale doskonale znały się na różnicy przedzy, na osiemnastkę i dwudziestkę używanej, na nabiale i pieczywie ciast wielkanocnych. Śpiewały dumki ukraińskie, nie bez wdzięku. Dwóch braci powiększało familją, wielce przyjemnie. Oba byli zawołani myśliwi, mieli każdy nejtyczankę; trzy konie nie maściste, często się zmieniające, a niekiedy nosate i po jednym oselędczonym

kozaczku, po dwa charty, po jednej strzelbie i po ogromnym nosie. Ojciec, synowie, córki żyli, nie można powiedzieć bardzo zgodnie i przykładnie; ale ożywiając sobie monotonią wiejskiego pożycia i żwawemi częstokroć sprzeczkami, które interesu dodawały, do wydziedziczonego z silnych wzruszeń żywota. Spory między rodziną nigdy nie przechodziły granic przyzwoitej kłótni familijnej i kończyły się szczęściem na języku. Zresztą bywały i chwile ciszy i zgody i serdeczności nawet, bo się kochali bądź co bądź.

Pan Teodor Doliwa, item sąsiad, a nawet z tejże samej wsi, co panowie Pokotyły; ów młodzieniec o różnobarwnych włosach, któremu przyrodzenie z szczególnego afektu nadało próbki wszelkiego włosiwa, jakie miało tylko w rękawie, ubierając mu głowę ze szczególnem staraniem, Teodor Doliwa z ojcem i matką, siedział na największej części wioski. Dwór Doliwów był wpół murowany, biały; miał z przodu intencją czystego dziedzińca; z tyłu jakby ochotę angielskiego ogródka; wewnątrz wszystko było w tym sposobie. Znajdowały się tam intencje mebli, woskowanej podłogi, obrazów, ochota fortepianu, imaginacja liberji, cień Dąglowskiego nowo przerobionego, fantazma-kucharza i żywe najprawdziwsze pragnienie pewnej wyższości i dobrego tonu.

Jedynak, pan Teodor Doliwa, ostateczne wychowanie odebrał w Warszawie, gdzie szkoły ukończył, zkąd miał buty i kamizelki, fraki i żelazko do włosów, upodobanie w piwie owsianem, o którym bez uniesienia wspomnieć nie mógł, i w francuskich romansach, które podszarżane kupował.

Uważany był w sąsiedztwie za człowieka uczonego i wielkiego świata, lękano się go w domach, gdzie były

panny na wydaniu, jakby przewąchiwano w nim Don Juana. Ojciec i matka uśmiechali się, poglądając na tę latorośl pełną nadziei starożytnego szczepu. Pan Teodor mógł i powinien się być ożenić, wedle nich, z panną krociovą, co zostawało zawsze wielce do życzenia, choćby dla tego tylko, iż część Pokotyłowszczyzny, należąca do Doliwów, obciążona była długami. Długi rozwijają w ludziach działalność, rodzą dowcip, usposabiają do wielkich pomysłów; nie są wszakże dobrem, na którymby się powszechnie poznać i ocenić je umiano. Doliwowie stękali na swoje długi.

Przypisywali je kosztownemu wychowaniu jedynaczka wielkich nadziei — ale nie żalowali tego, i pan Teodor paplał po francusku znośnie, tańczył kontradanse francuskie, ubierał się z gustem (mówili ojciec i matka), wreszcie grał na fortepianie walce Straussa i Lannera, które uważały się w sąsiedztwie za *non plus ultra* sztuki i punkt kulminujący muzykalnych utworów wieku. Chopin uchodził tu za niepojętego bałamuta, bez talentu i śpiewności!!!!

Ostatni gość u Pokotyły, ów maleńki człowieczek — pan Kulikowicz, mieszkał w drugiej wsi, całej własnej, ale miał także część, trzy chaty podobno, i karczmkę w Pokotyłowszczyźnie. Był nie żonaty, fajkę palił od rana do nocy, gospodarował wściekle, nie zważając na poddanych weale, zbierał grosz zapamiętałe, dusił namiętnie, o nic więcej nie dbał, z ludzi żartował; cudze wino bardzo lubił, swojego nigdy nie pokazywał, poił starką, którą i do herbaty dodawano, pod pozorem, że daleko jest lepsza od fałszowanego rumu.

Szczególnie i wielce różne zdania krążyły o tym człowieku. Ile razy która z panien córek Haslinga

zaręczała ojca i braci, że się o nią stara, ile razy do której z licznych dziewic sąsiedztwa zdawał się zbliżać z projektem, i tylekroć w domu wybranym, wynoszono go pod obłoki i gniewano się przeciw ludziom, co niegodziwe plotki roznosić zwykli. Jak tylko przestał bywać, zobojeźniał, prawiono dziwne rzeczy o nim i powtarzano o uciemieniu srogim poddanych, o nieprzykładnem życiu i t. p. Dworek pana Kulikowicza w osobnej wsi zbudowany, z jednej strony zaczął się być murować, z drugiej był drewniany. Stał tak od dawna otoczony gruzem i rusztowaniem, naprzeciw ogromna gorzelnia z wysoką pompą obudowaną, wołownia długa, owczarnia, ohacone sośniną obory. Wewnątrz domu najmniejszego starania o wygody jakiekolwiek życia, o wdzięk. Gołe ściany, stół złamany, kilka krzeseł, sofa brudna, kufer zielony, trochę tytoniu na stole, fuzja w kącie, drzwi zaparte do spiżarenki. Życie Kulikowicza było pracowite i czynne; pędzone w gorzelni, na polu, w lesie, około robotnika, po jarmarkach.

Z takich pierwiastków składało się to wszystko, w które wchodzimy; parny dzień czerwcowy, czy niedocieczone przyczyny, ołowianem brzemieniem nudy ucisnęły wszystkich. Wykrzykniki tylko:

— Gorąco! gorąco! proszę ognia do fajki!

— O tak! tak! — z rzadka słyszeć się dawały.

Wejrzenia tylko, uśmiechy, ruszanie ramionami, sapanie, ożywiały nieco rozmowę.

W tem skromne wprowadzie ale wyraźne klaśnięcie z bata przerwało nudy, i wszyscy jednomyślnie rzucili się do okna, krom gospodarza, który został w miejscu i ozwał się obojętnie:

— Owce pędzą?

— Ależ turkocze! — rzekł Fabjan.
— Może siano wiozą, któżby u licha jechał.
— Jedzie-bo, jedzie, dali... Bóg jedzie — skomlał pan Hasling — ot i widać.

— Mimo bramy droga — dodał gospodarz.

— W bramę jedzie! — śmiejąc się rzekł trochę przez nos Warszawianin — Teodor Doliwa — którego niedowiarstwo pana Pokotyły bawiło.

— To ekonom z pola! — niewzruszony odparł gospodarz.

— Djabie ci się gościa nie chce, ale próżno się wykręcasz — wrzasnął na całą gębę Kulikowicz — wprost przed ganek.

— To nie gość, to proboszcz! — mruknął gospodarz.

Wszyscy parsknęli. On w duchu dodał:

— Któż-by mógł jeszcze nadjechać! — wszakżeście tu wszyscy.

— Nejtyczanka, cztery konie...

— Powiedz szkapę...

— Furman...

— Chłop siako tako przyodziany...

— Chomaty...

— Stare...

— Ale któż taki?

— O! alboż nie znacie... graf!

— Jaki u djabła graf! — zrywając się zawołał Pokotyło. Nowy śmiech.

— Nie bój się, nie ze Śliwina przecie!

— Ale cóż za graf?

— Seweryn Kotlina — szepnął Hasling — ani chybi... on... Ale co go tu prowadzi?

Wszyscy odstąpili od okna z różnemi minami i posiadali obojętnie, czekając wejścia gościa, gospodarz rzekł tylko:

— Skaranie Boże, na taki upał, taka nudna facjata!

— Kwaśno go przyjm, to sobie pojedzie — doradził Kulikowicz.

— A jużciż! Jeszczem go nigdy inaczej nie przyjął.

My korzystając z czasu, narysujmy jednym pociągiem nowego przybylcę.

Seweryn Kotlina, jedynak u matki, która przed rokiem go odumarała, miał lat dwadzieścia kilka. Ojciec jego nigdy majątny, przez procesa i obywatelskie posługi stracił wcześniej majątek; matka resztą majątności wychowała ukochane dziecię. — Oboje byli ludźmi dobrego towarzystwa, szlachetnych uczuć i dawniej wielkich związków. Ale z upadkiem na mieniu, upadły kruche stosunki, opuścili ich ludzie. Nadto dumni, by się im kłaniać i o co bądź prosić ich mieli, zrujnowani, usunęli się, zamknęli, i poświęcili dziecięciu. Historia jego wychowania była jednym z najpiękniejszych przykładów poświęcenia rodzicielskiego. Ojciec nauczył się czego nie umiał, aby dać dziecku początki; matka stała się metrem Sewerka. I wychowując głowę, nie zapomnieli o sercu.

Pieszczone dziecię nie wypieściło się na niezdolne, dumne, grymaśne i swawolne stworzenie. Wiedzione miłością, naprzód nauczyło się kochać świat cały, ludzi wszystkich; znosić cierpliwie, cieszyć się powolnie i ostrożnie i poświęcać chętnie, radośnie dla drugich. Ojciec i matka dali mu pierwszy miłości i poświęcenia przykład.

Potem nie utyskiwali nigdy przed nim na utratę

majątności, na mierność, na czekające ich w starości ubóstwo; nie uczyli go cenić grosza nadewszystko i święcić mu sumienie, poczciwość; nabyciu jego spokój i szczęście, utrzymaniu godność swą i przekonania. Uczucia szlachetne najpierwsze wzrosły, zabujały na sercu młodzieńcem. A to co pierwsze zejdzie na tej roli, zagłuszy wszystko. Jeśli chwast, chwasty na niem rosnać będą tylko; jeśli czyste ziarno, ono dojrzeje na żniwo.

Seweryn stracił ojca, ale nie pamięć na jego nauki — stracił matkę później — i nie zmienił się. Czczył ich pamięć, płakał na ich wspomnienia, i modlił się za ich duszę. — Nieraz w życiu zdało mu się, że duchy anielskie czulego ojca, świętej matki, wiodły go po twardszych, po skalistszych ścieżkach życia. To mu dodawało odwagi. — Wychowanie Sewerka skończyło się jak poczęło — w kraju.

Szczęśliwi zapewne ci, co mogą widzieć coś więcej, pójść dalej; ale tylko wychowanie w kraju daje krajowi ludzi użytecznych, prawdziwe jego dzieci. Z za granicy wracają nam pospolicie niedowarzone półgłówki, których pierwszą cechą — pogarda wszystkiego co nasze. Mamy i tak nieszczęsną skłonność małpowania zagranicy, chwytania się *nowinek*, jak je nazywał ksiądz Skarga, coż dopiero gdy tę skłonność wrodzoną podeprze się choć powierzchownie wyższą umiejętnością, polorem, chwyceniem wiadomości encyklopedycznych? Naówczas wracają nam ośmnastoletni znudzeni sobą i światem młodzieńcy, w towarzystwach dumni, szyderczy, nielitościwi i nieznadni. Starcy bez wąsów, co w kraju wytrwać nie mogą, co w towarzystwach naszych nic dla siebie nie widzą i stają się bezużytecznymi klocami w praktycznym życiu.

Nasz Seweryn nabył nauki choć za nią nie jeździł daleko, bo nauka wszędzie się nabywa, gdzie są dwa wielkie jej czynniki — ochota i książki. Ukształcił głowę, wychował serce, które już rodzice dobrym kierunkiem puścili. Skromny, jak każdy co prawdziwie zna ludzi i człowieka i wie, że nie ma mizernego, najmizerniejszego co by od niego w czemś jednym wyższym i więcej wartym nie był; skromny jak każdy, co nie na jednej suchej nauce zasadza cenę ludzi; wyrozumiały, szlachetny, w potrzebie odważny, wstrzemięźliwy w słowach, nie wyrwyjący się z przyjaźnią, ale dla przyjaciela gotów na wszystko — nie mógł się podobać w sąsiedztwie i nie podobał się.

Po śmierci matki wziął majątek dawniej ich dziedziczny, dzierżawą od nowego nabywcy.

A że nie miał żadnego nałogu, żadnej śmieszności swych sąsiadów, że zimną grzecznością tylko za ciekawą i niespokojną ich grzeczność płacił, że nie grał, że nie pił, że książki czytał, że się przyzwocie dość ubierał, że lepsze towarzystwo lubił, i o ile możliwości uczęszczał do domów, w których go jeszcze z dawną dla ojca życzliwością witano; przewano go grafem i poczęto wyśmiewać powszechnie.

Młodzież, która go zrozumieć nie mogła, patrzyła nań okiem niespokojnej, zazdrosnej ciekawości. Panny, że się w żadnej dotąd zakochać nie mógł, szydziły z jego szlachetnej postawy i pełnej umiarkowania rozmowy. Starzy, których oczy kłuło porównanie Seweryna z własnymi dziećmi i krewnymi, kwaśno o nim mówili. Słowem, zrobił sobie od razu tylu nieprzyjaciół, że się obrócić nie mógł, żeby nie uczuć jak go sądzą i kochają. Wszakże te oznaki nieprzyjaźni miarkowały się wielce i

majątność ubóstwa cię mi szczęście szła młodzieńca głuszy będą tu Sewern stracił pamięć duszę. — czułego po skali Wycho w kraj Sze pójść do ludzi i wracają pierwsz i tak niania dopiero powier nemi i cają na dzieńcy i niezn mogą, widzą życiu.

ubierały rozmaicie, wiedzano bowiem, że Seweryn uchybić sobie nie pozwoli, że był prawdziwie odważnym i nie dawał z siebie żartować.

Całe towarzystwo zebrane w Pokotyłowszczyźnie, składało się z najzaciętszych może nieprzyjaciół Seweryna. Począwszy od gospodarza, który sam nie wiedział dla czego nie lubił Seweryna, wszyscy przytomni cierpieć go nie mogli. Zobaczywszy jego ciemną nejtyczankę, usiedli na swoich miejscach powykrzywiani; każdy coś mruzczał przez zęby.

W tem wszedł Seweryn. Był to słusznego wzrostu, młody, piękny mężczyzna, silnej budowy, kształtnej postawy, czarnych żywych oczu, ciemnego włosa, bladej nieco twarzy. Ubrany nie wykwinie, ale smakownie i starannie.

Pan Pokotyło wstał witając go niewyraźnem mruzczeniem, i podsunął mu krzesło, inni skłonili się od niechcenia, zmierzili go od stóp do głów z pewnym rodzajem wzgardy, poruszyli nieznacznie ramiona i zaczęli szeptać między sobą.

Towarzystwo rozpadło się na dwoje. Gospodarz został nos w nos z gościem, a reszta w drugim oddziale.

Rozmowa urywana, ciężka, zrywała się jak drop do lotu i opadała co chwila. Za to szept i śmiechy tajemnicze wrzały w drugim końcu pokoju. Z wejrzeń ukradkowych i szalonych wesołości wybuchów, domyśleć się było łatwo o kim tam była mowa.

Seweryn przecie nie tracił bynajmniej powagi i odwagi, nie zważał na oddzielające się dobrowolnie towarzystwo, i starał kwaśnego rozruszać Pokotyłę. Powoli, jeden, drugi zbliżył się ku nim. Naprzód pan Teodor

Doliwa, którego w sąsiedztwie zwano paniczem; ciągniony sympatją do dobrze skrojonego surduta Seweryna, odstał od opozycji i usiadł przy stoliku. Kilka słów ziewaniem przeplatanych, wrzucił jak zadatek do rozmowy. Inni poczęli się ciekawie i powoli zbliżyli. Rozmowa zaczynała się ożywiać i obiecywała w końcu stać powszechną, gdy gwar powstał na dziedzińcu jakiś.

— Pewnie znowu trzodę z Krasnej góry zajęli w szkoldzie — zawołał gospodarz lecąc do okna.

— Albo może ludzie nasi — dodał Doliwa — poczuli się.

— Albo jaka sprawa — rzekł pan Fabjan.

Dwóch ludzi nieznajomych biegli ku domku.

— Cóż za licha! to coś osobliwego! — trzęsąc głową sam do siebie wybąknął gospodarz. — Ekstraordynaryjny wypadek. Ludzie w liberji.

Wszyscy wybiegli w ganek.

— Czyi ludzie? — spytał Fabjan.

— Grafa ze Śliwina...

— Czego chcecie?

— Nasz pan...

— No i cóż... cóż wasz pan...

— Konie go ponosiły, wywróciły, potłukły, prosii...

— A! dali... honor! — zawołał Hasling — otóż mi-łego będziesz miał gościa...

Pokotyło osłupiał.

— Otoż go niosą tutaj — rzekł jeden z ludzi.

— Choć siadłszy płacz! — machając ręką rzekł gospodarz. — A co ja z nim będę robił?

Goście się śmieli.

Tymczasem na zaimprovizowanych noszach zbliżał się jęczący, stłuczony, zbłocony pan ze Śliwina.

mająt ubóstwiecie nieszczęścia smółdzą głuszybą
 Dwóch ludzi ze wsi złapanych w ulicy i kozak hrabiego z trudnością go dźwigali na ramionach.

Zbliżając się do ganku, podniósł głowę siwiejącą, z krótko ostrzyżonymi włosami, szaremi oczki, policzki blademi i zawołał:

— Ach! kochany panie Pokotyło!

— Większa poufałość niż znajomość — szepnął bundiucząc się Fabjan, synowiec.

— Kochany panie Pokotyło, zmiłuj się, ratuj mnie, daj gdzie kątek, póki powóz drugi nie nadejdzie. Nogę mam, zda mi się, złamaną, ani stąpić.

Pokotyło kłaniał się, mruczał, marszczył i wskazywał na drzwi, niby zapraszając, ale nie zbyt raźnie.

Hrabia poznał się na tem, podniósł na łokciu z ciężkością i obracając się do swego służącego...

— Pan masz gości — rzekł — mogę mu zawadzać, możeby gdzie w chacie, albo w drugim jakim dworku kątek jaki.

Postrzegł się Pokotyło, że zbyt widocznie był niegrzecznym, odezwał się więc z zaprosinami.

— Gdziekolwiek kątek, kochany sąsiedzie — odparł hrabia — wszystko mi jedno, byłem moich koni doczekał, posłałem już do Śliwina... długo zawadzać nie będę.

Śludzy wnieśli potłuczonego do pokoju na prawo, gospodarz wszedł za nim, goście zostali rozpytując nadbiegłych świadków o wypadku.

Hrabia Hubert, nie darmo to imię noszący, bo i order świętego myśliwca w kolebce miał już, i sam zawołany był Nemrodem; beżenny, podżyły już kawaler — był jednym z tych ludzi, którzy klasyfikacjom towarzyskim fałsz zadają. Chociaż z imienia pan, z majątności

pan, nie lubiony był wszakże od swoich, nie wiem dla czego; nie lubiony także od szlachty.

O oboje zdawał się nie dbać wiele. Wychowanie bardzo nie gruntowne, bardzo powierzchowne odebrawszy, w ośmnastu leciech pan swej woli; nie starał się o nic więcej, i wycierpiawszy za życia ojca, niesłuchanie skąpego, męki Tantara — puścił się używać. Konie, łowy, łatwe miłostki, zajęły mu życia resztę. Towarzystwa nie lubił, krom poufałego, męzkiego; z kobietami lepszego wychowania nudził się i ziewał. A że nic go nie zmuszało do poświęceń, czynił, rozporządzał sobą jak mu się podobało. Sam być nie umiał, z sobie równymi nie znajdował przyjemności, oddzielała ich wielka wychowania różnica; szlachta nieco dumniejsza, nie uczęszczała do niego, bo z góry ją traktował, wyśmiewał nielitościwie i mistyfikował co chwila.

Hrabia Hubert pomimo zaniedbanej młodości, pomimo rodzaju życia jaki prowadził, nie potrafił zagłuszyć w sobie, zniszczyć przyrodzonych darów.

Dowcipny, przebiegły, czego nie umiał, domyślał się; o czem nie wiedział, przeczuwał; gdyby cokolwiek chciał popracować nad sobą i mniej kochał próżnowanie, sybarytyzm, mógł by być bardzo przyzwoitym człowiekiem. Ale nałóg używania zasłaniał mu uczucie potrzeby nauki i pracy. — Tem więc był, czem go uczyniła natura, która, można powiedzieć, usposobiła go na daleko znakomitszego człowieka, niżeli nim stał się. Wszakże zachował jeszcze, mimo zaniedbania się, wielką wyższość umysłową. Uczucie swej wartości robiło go szyderskim, powiedzieliśmy, że potrzebował towarzystwa, ale takiego, z którym by wcale nie był obowiązany przymuszać i zwyciężać. Jednem słowem, hrabia Hubert

dworu i dworzan, nie towarzystwa chciał z ludzi. O sto lub dwieście lat wprzód, był by się otoczył kłjentami i błaznami, teraz musiał się uciec do darmo-
zjadów.

Żyć sam na sam z sobą było mu nieznośnem, gotów był jak ów bohater podania, wychodzić na trakt i wabić gości, ale zawsze z warunkiem, żeby oni stosowali się do niego i służyli mu za marjonetki bez woli i władzy własnej. Otaczał się więc Hubert takowymi ludziskami, którzy w koło niego dworowali i błaznowali. Ksiądz kwestarz, stroiciel fortepjanów wędrowni, pijaczysko jakieś, zawsze miesiącami, czasem latami całemi bawili w pałacu. On ich poił, karmił, szydził z nich, figle im płatał, mistyfikował, śmiał się i znudziwszy nareszcie, kolanem w tył wyprawiał.

Dwa było rodzaje bawicieli tych u hrabiego. Jedni dziedziczni, jak ich nazywał, oswojeni z nim, wszystko znoszący, i już do śmierci przysięgli, trzymali się kłamki pokornie.

Drudzy wędrowni, przybysze czasowi, siadywali z końmi, ludźmi, niekiedy bardzo długo, ale w końcu po tragicznej jakiej awanturze, może umyślnie na wykurzenie ich z legowiska wymyślonej, znikali. Po jakim czasie jawili się znowu. Poznamy bliżej dwór hrabiego później, teraz wróćmy do dworku pana Pokotyły.

DAJSZY CIĄG TOPOGRAFJI.

✕ Pan Seweryn nie chcąc bez pożegnania wyjeżdżać, aby go bardziej jeszcze zapamiętałe *grafem* i *nowomodnym kawalerem* nie okrzyczano, pozostał w bawialnym pokoju z całem towarzystwem, które na niego milcząc rzucało dziwne wejżenia.

Dusząc czapkę w rękę, szukał zajęcia, przedmiotu, którym by choć udanie mógł się zatrudnić, aby belek w suficie nie liczyć; ale napróżno! Pokój bawialny w Pokotyłowskim dworze nie miał ani książki, ani nawet ryciny na ścianie, nie prócz kanapy, krzesel, pięknego stolika i kilku cybuchów po kątach. Ścisłe biorąc, można się było zająć rozpatrzeniem sino-malowanych kafel pieca; ale Seweryn nie chciał już tak wyraźnie okazać i swego opuszczenia i wzgardy towarzystwu. Kręcił się więc po pokoju frasowny i niespokojny.

Nareszcie zlitował się nad nim pan Teodor Doliwa.

— Co pan tam w polu robi? — spytał.

— To zapewne co wszyscy teraz... hreczkę ostatnią posiałem, siano koszę.

— Już też się i deszcze poczną na nasze siana.

— Pan zna hrabiego? — dorzucił Fabjan Pokotyło?

— Znam go z widzenia — rzekł Seweryn — a! prawda... i ze sprawy jaką z nim miałem.

— Pan miałeś z nim sprawę? — podchwyciło kilku.

— Dzieciństwo! — odpowiedział Seweryn — sąsiedzki spór, który się przerodził w sprawę przez upór hrabiego.

— Zły człowiek — dorzucił Kulikowicz — i zawsze mu w głowie, że to jeszcze czasy, kiedy panowie dawali

szlachcie do wyboru, albo kłaniać się za kawałek pieczeni, albo procesować i dać nękać...

— Nie tak zły, jak trochę uparty i dumny, a bardzo zepsuty próżnowaniem — rzekł Seweryn — więcej go żałuję niż gniewam się na niego. Oddać mu potrzeba sprawiedliwość, że uczciwy, i gdy się przekona, że zszedł z prawej drogi, wraca na nią choć cichaczem.

— Toć zapewne, przynajmniej szlacheckich sumek nie zachrapia, i nie każe się o nie procesować...

— Bardzo skaleczony? — spytał Seweryn nie rad dłużej z tak drażliwym pasować się przedmiotem.

— Kat go wie — rzekł Hasling — panowie wytrzymalsi są niż się zdaje... musi to być mała rzecz, a tylko się pieści, bo ani jęczał, ani...

— Mała rzecz! — zawołał ze śmiechem Doliwa — noga złamana! A tu ani doktora, ani cyrulika do jutra nie przywiozą!

— Złamana! — zawołał Seweryn.

— Tak mi ludzie mówili...

— W istocie, jeżeli do jutra czekać będzie musiała na opatrzenie, to ucierpi wiele...

— A niech cierpi! — rzekł Kulikowicz — przynajmniej zwierzyńny nam przez ten czas wytłukać nie będzie.

— Czy może być, żeby ani cyrulika, ani doktora...

— Toć to panu wiadomo — muskając włosy dodał Doliwa — w naszym zakęcie na wszystkim zbywa...

Seweryn ruszył ramionami jakby się zgadzał i wyszedł.

Szybko pobiegł do izby, w której na łóżku leżał bolejący Hubert.

Gdy wszedł, właśnie się trzymając za nogę, hrabia

narzekał i skarżył się przed milczącym i zadumanyim gospodarzem.

— Konie, prawda młode, ale jeżdżone! dwa razy były w zaprzęgu. Mój Tomko wózi jak królewski woźnica... Djabeł nadał trzodę... coś im tam wplątało się pod nogi. I jak się nie poniosą! Ho! panie! prawda, że mnie to drogo kosztuje, alem w życiu tak szybko, wyśmienicie nie jechał.

To mówiąc spojrzął hrabia zyzem na wchodzącego Seweryna. Znali się oni, ale skutkiem nieporozumień, byli gorzej niż na zimno; udawali, że są sobie obcy. Zdziwił się tedy potężnie Hubert, gdy Seweryn go skinięciem głowy przywitał, rzekł żywo:

— W takich razach panie hrabio... takich przypadkach... zapomina się na chwilę o wzajemnych urazach... Potem je można znowu przypomnieć, jeśli się podoba. Chodziłem na medycynę; jestem jeśli nie doktor, to przynajmniej felczer jakikolwiek. Ponieważ nie ma komu nogi opatrzyć, i aż jutro chyba znajdzie się pan Freze lub Moszko, proszę przyjąć moją posługę...

Seweryn mówił, a hrabia oczy wytrzeszczał, czerwienił się, dziwił; nareszcie uśmiechnął, wyciągnął rękę i rzekł udając wesołość, co go nigdy nie opuszczała:

— A! zlituj-że się! a nie chcesz pan czasem powetować swojej szkody na mojej nodze?

Potem dodał:

— Mam-że wierzyć propozycji?... Chciałżebyś?

— Pozwolisz hrabio! masz-li ufnosć?

— Zupełną! słyszałem o cudach twych kuracji... ale prawdziwie... zawstydzasz mnie... to kawałek heroizmu!

— Nie szafujmy tak panie hrabio, wielkimi słowy, zdadzą się one na większe czyny; a to proste spełnienie

obowiązku. Co byś powiedział o człowieku, któryby bliźniemu swemu mógł skrócić cierpienia a nie chciał? coś dopiero gdyby nie chciał przez zemstę!

Hrabia patrzył na Seweryna z podziwieniem, ze złością prawie, ale daleko większą, oczyma poglądał na niego pan Pokotyło, któremu się to w głowie pomieścić nie mogło, aby szlachcic, syn obywatelski chciał cyrulikować; aby jeszcze tę funkcję, tak wedle niego upokarzającą, spełniał dla... nieprzyjaciela.

Gdy Seweryn poprosił wody, bandażów i wszystkiego czego było potrzeba, gospodarz coś mruknął i wyszedł.

Wyszedł zdyszany, spocony, wprost do gości.

— A wiecie co się dzieje? — rzekł na progu.

— Cóż, hrabisko może *dochodzi*? — rzekł Kulikowicz.

— Niech Bóg broni, w moim domu! miałbym śledztwo, kłopot! Nie godzi się nawet żartem... Niech Bóg broni.

— A coś tam?

— Co! ot pan Seweryn, jak zawsze oryginał...

— Poszedł się z nim kłócić?

— Żebyż! to by było mniej dziwne...

— A coś u licha...

— A co! otoż sztuka, że i djabeł nie zgadnie! Rękawy zakasał i zajął się opatrywaniem, po prostu jak cyrulik.

Tu śmiech ogromny wyrwał się ze wszystkich kątów pokoju, śmiech niedowiarstwa i szyderstwa.

— Kpij z nas zdrów! — krzyknął Kulikowicz. Myśląc, że Pokotyło żartuje.

— Ale jak mi Bóg miły prawda...

— Oszalał czy co!

— Wszakże byli z sobą i są na udry...

— A to panie prosto pochlebstwo — dorzucił Hasling — chce się panu zasłużyć i łapę mu liże.

— Gorzej, bo nogę! — dowcipnie rzekł Doliwa.

Nowy śmiech na chwilę rozmowę zagłuszył.

— Serjo? prawda? — spytał Kulikowicz.

— Jak mamę kocham! — zaklął się Pokotyło — jak ciocię kocham...

— Niech-że mnie licha porwie, jeśli rozumiem co to znaczy! — rzekł Doliwa. — To podłość!

— A w innych razach taki dumny! — kiwając głową dorzucił Kulikowicz.

— Niech panowie pamiętają — głośno wyrwał się pan Fabjan — że on i chłopom i żydom nogi nastawia, jak gdzie się zdarzy. To, taka manja... zwyczajnie oryginał.

— Oryginał nie oryginał, a dali honor — wrzucił pan Hasling — to nie bez kalkulacji na ten raz.

— Waćpan to zaraz panie regencie mieszasz do wszystkiego kalkulację...

— A co ja winien, że kalkulacja do wszystkiego się miesza!

Znowu się śmiano.

— A mnie bieda, bo muszę szukać szarpji, bandażów, kat wie tam czego — rzekł Pokotyło — a to jasnemu panu trzeba cienkiego, żeby nóżki nie tarło. Szlachcic będzie musiał dać najlepszą bieliznę. Ot korzyść. Trzeba szukać a dać nie żałując, bo potem ośmieją, że już u mnie w domu i gałgana pocziwego nie ma. Klucznicy! — zawołał sięgając do głębokiej kieszeni po klucze i dobierając się do starej komody.

Towarzystwo rozstało się ciekawie na stronę, a w tem przez drzwi boczne, owijając się chustką ogromną,

w czepcu ze wstążkami przedpotopowemi, weszła pani Krzepicka, klucznica, lat około czterdziestu licząca.

— A wiesz waćpani co nam za kłopot pan Bóg dał— rzekł zwracając się od zamka komody, do którego klucza dobierał Pokotyło.

Klucznica, znać było z miny, jedna z tych niewiast złego humoru, które żyją gderaniem i dąsami, jak inni ludzie weselem i ochotą; a przy tem w łaskach u pana, nieszpetna jeszcze niewiasta, pokręciła głową i odpowiedziała odważnie, nie frasując się licznymi słuchaczami:

— A wiem ci! wiem! Graf jakiś... ludzie karki kręcą, dmuchają w samowar i poduszki u mnie pożyczyl. Cały dom do góry nogami... i dwie szklanki czeskie stłuczone.

— Co wasani mówisz? — przerwał gospodarz — dwie szklanki?

— Rysowane!

— A!! jak mi honor miły, dziesięć bizunów dam Iwankowi! już to mu płazem nie pójdzie!

— I sprawiedliwie! — poparła klucznica.

— A tu w dodatku potrzebują szarpji i bandaży. Uważaj-że no asani... Dać lada gałgan, powiedzą, że w domu dobrego nie ma... co dobrego, to szkoda!

— E! niechajby sobie gadali co chcą... a jabym im dała serwetę, w którą ręce ocierają od dwóch lat po rakach... dziura na dziurze...

— Zapewne! — potwierdzając rzekł Fabjan, wielce starający się zawsze okazać dowcipnym w oczach klucznicy, nie wiem z jakich powodów.

— A bardzoż brudna? — spytał gospodarz.

— Już to czysta nie jest! — wyznała pani Krzepicka — ale na bandaż...

— Wstyd mi będzie... znajdziemy czystą—to mówiąc wznosił przeciw okna ogromną niegdyś cienką, dworską serwetę, świecącą dziurami.

— Szkoda! — rzekł Kulikowicz.

— Szkoda! — poparli chórem klucznica i pan Fabjan; pan Teodor śmiał się szydersko zapalając cygaro.

Hasling tylko z ukosa rzucił okiem.

Po serwecie nastąpił obrusek, koszula dawniej holenderska, jeszcze wojskowa, i kilka sztuk bielizny, ale wszystkiego było szkoda.

Tymczasem służący wbiegł żądając szarpji i bandaży.

Z gniewem odwrócił się ku niemu gospodarz i splunął.

— Patrzajcie — rzekł — dysponują sobie jak u siebie! Ten paniczek Seweryn myśli, że się gotów jestem jak on rozplatać na dwoje, dla tego że to graf!

— Dać serwetę! — dokończył zniecierpliwiony.

— Szkoda panie!

— Szkoda, nie szkoda... niechaj znają! — powtórzył. — Serweta była w kawałkach.

Poniesiono ją, ale po chwili wszedł służący, domagając się więcej.

Tu już cierpliwości zabrakło i panu i klucznicy, chórem z panem Fabjanem poczęli lament.

— Poszła koszula, i komoda zamknęła się hermetycznie.

Kulikowicz chodził po pokoju powtarzając.

— A jabym mu dał stary maglownik i kwita!

— I nie wstydzilbyś się?

— Cha! cha! albow on się czego wstydzi, — wyrwał się Hasling.

Kulikowicz wziął to za żart, i sam się rozśmiał dumnie.

— Cóż tam z tą nogą? — spytano służącego który wchodził.

— Aby tylko więcej bielizny nie potrzebowali, — rzekł w sobie gospodarz.

— Noga tylko zwichnięta była i już nastawiona.

— Tęgi felczer! dali honor! po co mamy za Moszkciem posyłać, dać mu dwa złote, niechaj opatruje.

— Ale wodą zimną okładają... potrzebowali lodu!

— Żeby była lodownia! oni myślą, że to u mnie zajezdna gospoda, wszystkiego potrzebują — mruczał niecierpliwy Pokotyło.

— I pan ten co opatruje, prosi jeszcze bielizny — dodał sługa.

Nie potrafię opisać jaką na to minę zrobił gospodarz, usta mu się wykrzywiły, oczy wytrzeszczyły, czoło pofałdowało...

— Bielizny! Cóż to sklepe... czy co! A to mi go lichu nadało.

— Prześcieradło, mówi pan Seweryn, byłoby, najlepsze...

— A tak, niechże pośle po swoje.

Nie będziemy opisywać scen tego dramatu, dość próbki. Hrabia z owiniętą dosyć i nastawioną nogą, w karecie poczwórnej, wyjechał ku wieczorowi nogą za nogą wlokąc się do Śliwina; ale Seweryn unikając i prześladowań i żartów, jeszcze wprzód umknął. Pp. Hasling i Kulikowicz pospieszyli roznosić po sąsiedztwie historją tego zdarzenia. Pokotyło dwa dni wracał do wywróconego porządku i napróżno oczekiwał na odesłanie swojej bielizny.

Przepadła.

Seweryn wyszedłszy z pokoju hrabiego pokryjomu.

wziął za czapkę, krótko pożegnał gospodarza, wskoczył na nejtyczankę i kazał pośpieszać.

Miało się ku wieczorowi, słońce zachodziło za gęstą, siną ławę chmur, w których błyskało i grzmiało. Co chwila podnosiła się ona, szerzej zajmując na horyzoncie i wystrzępionemi brzegi zachodząc na sklepienie niebios. Cisza była jak zwykle przed burzą. Seweryn na nic nie zważał, i razu się nawet nie obejrzał na to co go otaczało, cały był w myślach swoich.

W tem woźnica na dwu rozchodzących się drogach, zwrócił ku niemu i spytał.

— Do domu? czy do Górowa?

Zawahał się pan, ale konie same ruszyły do Górowa... kiwnął głową na znak zgody i szpaczki puściły się szparkim kłusem.

Chmura coraz szybciej zasuwawała się na horyzont, jednostajnie sina aż do ziemi, na którą jak długa spadała zasłona, w górze poszarpana; w pośrodku kilka ledwie znacznemi białemi obłoczki napiętnowana była. Na tle ciemnem to rozległy błysk, to struga światła wązka i ostra ukazywała się i nikła. Zdała słyhać było szum w chmurze i chwilami zrywał się piaskiem miotający wiat, który tumany pyłu daleko unosił po gościńcu.

Seweryn uciekając żwawo przed burzą, dojeżdżał do Górowa. Ukazała się wioska długim sznurem ciemnych chatek na żółtym rozsypana piasku, rzekłbyś rozsypane paciorki... Wioska to litewska; nie jedna z tych co na zielonej smudze wygodnie leży, ocieniona brzoza i świerkami, okryta od północy pięknym laskiem olszowym, ale smutna osada prawie poleska... Szerokie błoto, w wielkiem oddaleniu opasane bajrakowatym lasem so-

snowym z dwóch stron ją otaczało. Długa niegodziwa grobla parła się przez nie w głąb lasów. Na zielono-brudnem błocie, powiewajacem ogromnemi trawy, wznosiły się jak strażnice stogi, i stare stożyska z sterczącymi żerdziami i palami... Sama wieś usiadła w piasku, chaty jeszcze się czarniejsze wydawały na tem jasnem tle. Kilka chorych wierzb i biednych brzoź powiewały nad dwoma czy trzema chatkami. W pośrodku wznosił się na drodze krzyż czerwony wyniosły, nieopodal od niego drugi z kamieni wielkich ustawiony, rodzaj *dolmenu*, uświęconego żelaznym na wierzchu przytwierdzonym znakiem zbawienia. Stara brzoza płakała nad kamieniem. Długa czarna karczma na boku z drobno-szybowemi okny, otoczona w tej chwili trzodą bydła, stała opuszczona i milcząca. Nad szeroką ulicą piaszczystą, gdzie niegdzie kamieniami krągłemi wyłożoną, czerniały chatki niskie, ubogie, dranicami kryte, niebielone. Tuż za niemi całe zabudowanie gospodarskie posuwało się ku ogrodowi, na nieco lepszej ziemi wygrodzonym, z wysoko usypanemi zagony. Nazwanie Górowo musiało pochodzić od nie wielkiej wyniosłości po nad błotem, na której wioska i dwa dworki się mieściły.

Chociaż wieś nad dwadzieścia kilka chat nie liczyła, były w niej przecie dwie karczomki i dwa dworki. Rozstały się te dwie budowy na dwa boki osady i stały przeciw sobie jak do boju.

Dwór jeden osadzony topolami, gęstym otoczony ogrodem, białł trójgiem kominów, w ciemnej świrków i olch zieleni. Drugi oparkaniony szczelnie, osadzony świeżo jeszcze niedającymi cienia drzewkami, nowy, mały, chudy, z lamusikiem obok i loszkiem na przeciw okien, zwiastował świeżo osiedlonego. Drogi wiodące do dwóch

dworów, jedna oparkaniona żerdziami, druga wysadzona starymi drzewy, zdawały się stojąc przeciw sobie, przeciwi i drażnić.

Do mniejszego i nowszego dworku należała część wsi większa; stary widocznie chylił się do upadku, gdy drugi szedł do wzrostu. Z jednej strony pruchniały drzewa, gdy z tamtej rosły dopiero.

Wysadzoną ulicą jechał Seweryn; jechał i oglądał się smutnie. Wszystko co oko uderzało, zwiastowało nieład, opustoszenie, prawie nędzę. Odarte płoty, połamane, dziurawe mosty, wybita głęboko i nienaprawiona grobla, rozgrodzony dziedziniec starymi lipy obrosły, nadgniły dach domu, wybite jego okna, ścisnęły za serce... Tem przykrzejsze musiało być wrażenie widokiem tym sprawione, że z pod ruiny przeziarała jeszcze stara zamożność i starożność, niedawny może był dobry. Zabudowania były zdrowe jeszcze, z dobrego materiału, i z pewną wykwintnością nawet wiejską wystawione. Sernik, owa litewskich zagród ozdoba, oryginalna budowa prawdziwie litewska, wznosił się jeszcze z blaszannymi rynwami, ze kształtnymi w górnem piętrze okienkami, z wycinanymi w niby gotyckie strzałki arkadami.

Dziedziniec krągło zarysowany, porządnym dawniej otoczony płotem, teraz już powywalanym, zarosły był i pusty... Ganek dworu dawno nie bielony... okna poklejone papierem.

Żywej duszy koło domu.

Gdy bryczka Seweryna zatrzymała się u ganku, nikt nie wyszedł, tylko głowa jakaś mignęła z za drzwi i znikła. Wielka sień pusta rozrywała dom na dwoje, i przechodziła na przestrzal.

Na lewo i na prawo po dwoje drzwi się ukazywały,

ale z nich jedne zabite były w poprzek tarcicami, a inne pokłute szerokimi szpary. Stary jakiś zabyty wianek dożynkowy, smutny, zapyłony sam jeden, siedział na kołku...

Seweryn otworzył drzwi dawniej olejno malowane w lewo... i stanął w obszernym pokoju trójkątem okien wychodzącym na dziedziniec. Tu też same ślady opuszczenia i ubóstwa, jeszcze widoczniejsze przy obszerności mieszkania... Stary bejcowany stół, kilka różnokształtnych krzeseł, i stary piec kaflowy zielony, były całym sprzętem. Posadzka niegdyś starannie położona, powyginana, dziurawa, skrzypiąca, ale czysta. Jedynym znakiem życia był wielki bukiet kwiatów na stole stojący. Trzy portrety zakopcone, wyobrażające trzech mężczyzn w pasowych kontuszach i sobolich kołpakach, wisiały rzędem na ścianie przeciw okien. Drzwi otwarte w głąb domu, puszczały wzrok do drugiego ciasniejszego pokoju, z którego wchodzącemu dał się słyszeć głos mężki.

— Kto tam?

— Seweryn do usług pana krajczego.

— A! to wy kochany panie Sewerynie... chodź-że chodź! proszę bardzo!

— Nie przeszkodzę?

— W czymże byś mi mógł przeszkodzić?

Drugi pokój, do którego pospieszył Seweryn, trochę był więcej zamieszany. W alkowie jego rozeznac było można, choć pod szarym mrokiem, łóżeczko wąskie z krucyfiksem nad głowy i szablą, na wytartej makacie pod jednym oknem stół z wykręcanymi nogami, na którym leżała gruba księga założona okularami, dalej dwa krzesła białe, z których się starła poślota, kanapka także

i wielka skrzynia niezamknięta... Obrazek najświętszej Panny Żyrowickiej krzywo wisiał na ścianie.

Na jednym z krzeseł siedział słusznego wzrostu, siwy i łysy mężczyzna, trochę zgarbiony wiekiem. Ogromny spuściły wąs białeł mu nad wargą wierzchnią, broda i część głowy ogolona była. Na nim kapota czarna z cienkiego sukna, ale wytarta do nitki, buty juchtowe na nogach... Rysami twarzy człowiek ten przypominał wielce wiszące w pierwszej izbie portrety. Te same przeciągłe, kształtne rysy, ta sama oczu siwych oprawa, uśmiech ust wąskich i śpiczastość brody.

Seweryn z uszanowaniem ścisnął go za rękę i pocałował w ramię, stary dotknął głowy jego ustami, i chwycił krzesło, które mu wskazał.

— No siadaj, kochany panie Sewerynie, dobrze żeś do nas dojechał... co tam słyszać? Gdyby nie ty, jużbym o bożym świecie nie wiedział; ludzie mnie opuścili razem z fortuną... *Spes in Deo*. Cóż robić! zkąd powracasz?

— Od Pokotyłów...

— A! z Pokotyłowszczyzny? A cóżeś tam robił, bo nie uwłaczając nikomu, nie bardzo to serdeczni ludzie! Tyś ubogi jak i ja, to waszeci pewnie, jak mnie, nie bardzo lubić muszą?

— Właśnie że mnie nie lubią, muszę o nich pamiętać, i nie dając powodu do urazy, odwiedzić czasem.

— Słusznie, panie Sewerynie... *Spes in Deo* wszakże i djabeł świeczka nie zawadzi.

— Trafiłem na wielkie jakieś zgromadzenie sąsiadów.

— No! konferencja?

— Zdaje się że przypadkowi goście... Hasling.

— Pluder mościpanie, choć naturalizowany, ale we krwi znać szwaba.

— Kulikowicz.

— I to miły ptaszek — dorzucił stary.

— P. Teodor Doliwa.

— Warszawianin...

— Pan Fabjan...

— Muzykant...

— W końcu zjawił się nam najniespodziewańszy gość, hrabia Hubert, który nogę zwichnął, ponoszony od koni, pode dworem Pokotyły. Nastawiłem mu ją...

— Poczekaj no, poczekaj... Rozpowiedz jak to było? Nogę skrecił?

Seweryn odpowiedział wypadek; stary głową kiwał.

— Przestroga Boża, wkrótce może i karku nadłamię jeśli się nie poprawi. Dobrze mu tak, Sodoma i Gomora w domu... czas by się z siwiejącym włosom upamiętać.

Gdy tych słów domawiał, z trzaskiem od silnego wiatru zamykające się drzwi sieni, wstrząśnione okna domu i szum nagły drzew, zwiastowały właśnie nadchodzącą burzę. Błysnęło i piorun uderzył. W pierwszej izbie zaszeleściła kobieca sukienka, kroki słyszeć się dały szybkie.

Seweryn wstał... Panna Marjanna...

— Dobry wieczór.

I dziwnej piękności młode dziewczę ukazało się w ramach drzwi.

To zjawisko miało może lat szesnaście, kształtnej postawy, kruczego włosa, czarnych wielkich oczu, rumianej twarzyczki... ożywiło nagle te puste szerokie izby. Jak wam opisać wdzięk dziewczęcia, wyraz tych

rysów przedziwnej regularności, blask wejrzenia, białosć lica i uśmiech ust czarodziejski?

Biała perkalowa sukienka okrywała ją tylko, włosy uczesane gładko, wielkim węzłem warkocza schodziły na białą szyję. W rękę trzymała książeczkę.

— A! dawno nie widzianego! — zawołała z uśmiechem, burza nam pana przyniosła!

Seweryn wstał i zbliżył się ku niej... kilka słów szepnęli z cicha. Stary zmierzył ich oczyma zgasłemi.

W tem drugi piorun spadł nie daleko, oni się rozstąpili, ale trzecia postać ukazała się za nimi. Była to ciotka Marji, panna Scholastyka...

— Jak się masz panie Sewerynie? Panie Jezu! co za burza, zawołała. Chmurę żegnałam! wprost na nas idzie! Chodźmy do pokoju krajczego, tu nie tak widać błyskawice.

To mówiąc panna Scholastyka pierwsza wsunęła się do pokoju i usiadła w kącie na kanapie.

— A! mój dobrodzieju! cóż za burza okropna, — powtórzyła.

Panna Scholastyka mogła mieć lat około czterdziestu, wysoka, męskiej postawy, rumiana, z wyrazem siły na twarzy; na pierwsze spojrzenie charakter nieugięty, otwarty, wcale nie kobiecy. Przyrodzenie, które nigdy nie kłamie, dało jej też wąż prawie męski, głos donośny, pierś suchą, rękę do pałasza raczej niż do igły.

Marja przysiadła przy niej na kanapie, a Seweryn przysunął krzesło, i po cichu zaczął z nią rozmawiać.

— Co tam za tajemnice szepczecie? — spytała po chwili ciotka. — Mówcie głośno, cierpieć nie mogę szepców... Powiedz nam co słyhać, panie Sewerynie, jesteśmy tak opuszczone, że nie wiemy nawet co się

w koło nas dzieje. A to doprawdy smutno... Niechby się żyło choć cudzem życiem, kiedy swoim nie można.

— Jak to! panno Scholastyko kochana, — spytał stary, alboż swoim nie żyjesz?

— A śliczneż mi to życie, mój krajczy. Nikt u nas, my u nikogo nie bywamy, niedostatek w domu... nudy nieznosne, to się śmierci równa...

— *Spes in Deo*, moja dobrodziejka... Nie godzi się skarżyć...

— Ja się też nie skarżę, tak tylko mówię, trzeba przecie mówić o czemś, bo zapomnimy wkrótce i gadać.

Marja uśmiechnęła się...

— Moja ciociu, dziś cię burza tak w zły humor wprowadziła.

— A co mi tam burza!

— Proszę tego nie mówić — przerwał krajczy — nie wyzywajmy...

— Masz pan racją... burza burzą... a nuda nuda... przywiozłeś nam jakich książek panie Sewerynie?

Seweryn spuścił głowę...

— Nie mam żadnych — odparł...

— A to klęska! Gotowam z desperacji pójść piechoto do Kulikowicza dla konwersacji...

— Śliczną byś miała waćpanna rozrywkę — dodał stary...

— Zwłaszcza że nas tak kocha!! — zawołała panna Scholastyka.

— A w dodatku Kulikowicza nie ma pewnie w domu... bom go zostawił u Pokotyłów.

— On też tu rzadko mieszka, we dworku który ma w Górowie, częściej w swojej wiosce...

— A! wicie państwo co, jakby to było ślicznie, żeby

się ze mną ożenił — dodała wesoło panna Scholastyka. — Zaraz bym krajczego długi popłaciła, wyposażyła Marję...

— A naprzód, powiedz waćpanna, należałoby okulbać męża co nie łatwo.

Marja rozśmiała się, ciotka także.

— Ale nie prawdaż, mój krajczy, że to byłoby wyśmienie?

— Nie zaprzeczam! Trafiałaby kosa na kamień.

— Co się tycze wdzięków, tych mi nie odmówisz spodziewam się, grzeczny panie Sewerynie — spytała Scholastyka — majątku nie mam, ale go Kulikowicz nie potrzebuje... Cóż więc na przeszkodzie?

— Nic wcale.

— Moglibyśmy trochę odetchnąć i pan krajczy miał by swoją kawę z rana, której się wyrzeka pod pozorem zdrowia... i Marja coś lepszego niż białą sukienkę perkalową...

— A ja ciociu innej nie żądam.

— Tak to się mówi, ale się nie wszystko mówi co myśli. I czego się rumienić. Nie naturalnaż to, żebyś sobie życzyła lepiej ubrać, choć by tylko dla tego, żeby się nie widzieć w kościele wytykaną palcami...

— O! moja ciociu — żywo zaprzeczyła Marja rumieniąc się — niegrzeczności mnie nie obchodzą, znoszę je z uśmiechem.

— *Spes in Deo*, moja Marysiu — rzekł stary — to są chwilowe nieprzyjemności, ale wszystko to da się usunąć...

— Kiedy kochany krajczy? — spytała Scholastyka.

— *Lente*, z czasem.

— Wiele już lat czekamy na to?

— Wiesz waćpanna co!... pan Bóg Bogiem, a siedm dni świat stwarzał... *Paulatim summa petuntur.*

— Ale kiedyż ta *summa* się nam dostanie? — zawołała Scholastyka.

— Waćpanna bo jesteś w gorącej wodzie kąpana.

— W ukropie, we wrzątku, kochany krajczy... nie zaprzeczam...

— Otóż to i bieda, a człowiekowi ze wszystkich cnót najpotrzebniejsza cierpliwość.

— Śliczna cnota, którą zdaleka admiruję — schylając głowę, rzekła Scholastyka.

— Warto by się do niej zbliżyć.

— Nie mogę... nie mogę! wielka szkoda!

— Wielka szkoda!

Gdy ta alterkacja krajczego z panną Scholastyką trwa, Seweryn korzysta z czasu, i kilka słów powiedział Marji po cichu. Ona cała zapłoniona, podniosła oczy na ciotkę.

— Cóż ci to tak na twarz wystąpił rumieniec?

— Zagrzmiało!

— Jak w porę te grzmoty! Maryniu!

I ciotka się uśmiechnęła.

— Patrzaj no krajczy — rzekła — na tę parę turkawek.

— Jaka?

— A... masz ją przed sobą!

— *Spes in Deo.*

Seweryn zmieszany, rumienił się także cały.

— Powiedz-że im kochany krajczy, że są tak ubódzy oboje, iż by się, rozumnie rzeczy wzięwszy, kochać nie powinni. Te tak otwarcie wyrzeczone słowa, może raz pierwszy rozkrywające na jaw tajemnicę dwojga mło-

dych, odepchnęły ich od siebie i niesłychanie pomie-
szały.

— Ciociu! — zawołała Marja.

Seweryn wstał nie wiedząc co począć z sobą...

Krajczy machnął ręką...

— Patrzajcie jacy skłopotani, peczerwienieni! panie Boże, powiedziałby kto, żem największy fałsz wyrzekła! A to dziwna pretensja!

W oczy mi biją swoim gołębiem gruchaniem i chcą żebym nie nie widziała, albo widząc udawała, że nie widzę.

Seweryn tłómaczyć się nie mógł i nie chciał, Marja chowała twarz w rękę, krajczy gładził brodę.

Panna Scholastyka pomiarkowała że niepotrzebnie zmieszwała młodzież, i po swojemu odwróciła rozmowę.

— No panie Sewerynie, kiedyś nie przywiózł książek, mów-że nam co o Pokotyłach, tylko tak, jak to czasem umiesz pod dobry humor opowiadać. Bez żółci a wesoło.

Już Seweryn usta otwierał, gdy Marja siedząca tak, że drzwi pierwszego pokoju widziała, odezwała się.

— Kulikowicz!

Stary zczzerwienił się, i usta zacisnął, a panna ciotka szepnęła:

— Idę powitać narzeczonego!

W GÓROWIE.

Nie wiem czy potrzebuje przypominać czytelnikom moim, kto był i jak wyglądał pan Kulikowicz. Opisa-
liśmy go na początku pierwszego rozdziału tej powieści.

Kiedy mała naczupurzona figurka jego, z czarnym
czubem do góry nastrzępionym, czarnymi oczkami na
wierzchu, w dość niepoczesnym surduciku, w butach na
wysokich korkach, kamizelce *Cabrera* i czarnej zwiniętej
w sznurek chusteczce, ukazała się w drzwiach pierwszego
pokoju; Marja pobladła i zmieszła się, krajczy zecer-
wieniał i zaciął usta, panna Scholastyka tylko nie stra-
ciła przytomności.

Seweryn brał za czapkę, i mimo lejący deszcz chciał
się oddalić, przewidując scenę jakąś, bo wiedział, że
Kulikowicz nie miał przyjaznych z domem tym stosun-
ków, Marja dała mu ledwie postrzeżony znak, żeby
pozostał.

Już w pierwszym pokoju, postawa, ruch, wzgardliwe
rzucane wejścia do koła, przepowiadały z czem nad-
jechał pan sąsiad. Mina jego, wykrzywione usta, czapka
pod bok ręką zaciśnięta, ręka w kieszeni, zmrużone
z intencją oczki, zdawały się oznajmywać, że przybył
wcale nie po przyjacielsku. Szedł właśnie jak do boju,
powolnie, stukając korkami o wypsuta posadzkę, zapo-
wiadając się hałasem.

— Ale jakże szumno wchodzi mój narzeczony! —
zawołała Scholastyka.

Krajczy nie wstawał z krzesła, czerwienił się i
kaszał.

Nareszcie w progu ukazał się Kulikowicz i głową
pogardliwie skinął, nie wyjmując ręki z kieszeni.

— A co tam panie słyszać? — rzekł szydersko.

Krajczy zacisnął pięści, spuścił głowę i mruknął. —
Daj Boże cierpliwość — tymczasem stara panna zer-
wała się z kanapy, i witając pokłonem równie szyder-
skim Kulikowicza, podsunęła mu pogardliwie krzesło,
z odpowiedzią:

— Słyszać że pan Kulikowicz ma być wkrótce grze-
cznym i potulnym, ale my najlepiej wiemy, że to są
bajki...

— Doprawdy? — skrzywionemi usty odparł przybyły,
i ujrawszy Seweryna siedzącego przy Marji, nieznacznie
wyjął rękę z kieszeni; zmieszał się, odchrząknął. Potem
jakby się powstydział tych oznak niejakiej grzeczności,
uwagi, nadał się podwójnie i zawołał rozpierając w krzesło.

— A u nas słyszać, że pana krajczego z tej chu-
doby wypędzimy i ostatni stary kontusz z plec mu
zedrzemy...

— To wszystko być może — rzekł stary pokornie.

Seweryn zerwał się z miejsca.

— Pozwolisz pan sobie powiedzieć, — rzekł, — że
wszystko co prawo dozwala uczynić, zrobić możesz, ale
uragać się starości, ale we własnym domu naigrawać
się z ubóstwa, które każdego spotkać może... żaden
uczciwy i dobrze wychowany człowiek nie będzie.

Kto inny byłby wyzwiał, Kulikowicz odparł tylko:

— A czemu mi przysądzonej sumki nie oddają.

Krajczy przerwał: — Proszę o cierpliwość...

— Ale ja nie jestem obowiązany mieć cierpliwość...

— Zapewne, — zawołała Scholastyka — a więc rób

pan co mu prawo wskazuje i uwolń nas od swoich odwiedzin przynajmniej.

— Tak mi pani śpiewa?

— Zdaje mi się wyraźnie.

— I nie więcej?

— Prócz że pana bardzo szacujemy, póki jesteś z daleka i nie uszczęśliwiasz nas swemi odwiedzinami.

— Owszem, prosimy go zawsze po staropolsku, — rzekł krajczy, — domu przed nikim nie zamykamy, ale trochę delikatności.

— Delikatność mocipanie chleba nie daje, — rzekł Kulikowicz.

— Ale daje coś więcej, szacunek, poważanie, życzliwość ludzi.

— Pluję ja na to wszystko!

Twarz pana Kulikowicza nabierała z rozmową coraz dzikszego charakteru.

Seweryn wrzał, Marja słabła, Scholastyka uśmiechała się dumnie, krajczy siedział ze spuszczoną głową siwą, mruczając:

— Karz mnie panie za grzechy moje, albowiem zaśłużyłem. — Policzki starca rumieniły się wzruszeniem gorączkowym.

— Dajcie wieczerzę — rzekł przerywając, — sąsiad zje z nami.

— Kat mi po waszej wieczerzy, lepiej byście dali mi pieniądze. A co będzie panie krajczy?

— *Spes in Deo*; proszę o cierpliwość...

— A zawsze ta cierpliwość! — zawołał Kulikowicz.

— Najpierwsza z cnót chrześcijańskich.

— Nie spotkałem się z nią w życiu.

Panna Scholastyka przypomniałszy sobie niedawną

rozmowę z krajczym, rozśmiała się i wyszła. Wkrótce potem dość czysto ubrana dziewczyna poczęła w pierwszym pokoju nakrywać do wieczerzy.

— A moja propozycja? — rzekł przybyły po chwili...

— Niepodobieństwo — stłumionym głosem odparł krajczy. — Scholastyka wróciła i stała we drzwiach.

— Co się tycze Marji, — przerwała — niepodobieństwo, ale jeśli się panu zda, ja mogę mu moją rękę ofiarować!

Wielkie oczy wytrzeszczył Kulikowicz, potem się skrzywił i głową kiwnął.

— A zatem wywłaszczenie... a zatem i te ostatnie chat kilka...

— Sprzedasz pan z publicznego targu, — rzekł krajczy. — Cóż robić?

Marja bladła, Seweryn nie mógł się utrzymać na miejscu.

— He panie Sewerynie, — zwracając się z zapytaniem do niego, rzekł Kulikowicz — widzisz pan na co się zanoszą?

— Widzę, ale z tego nic nie będzie — odpowiedział zimno Kotlina.

— A to?...

— A to dla tego, że ja panu płacę za krajczego...

— Pan! cha! cha! Zkąd-że te dostatki? A czy będziesz potem miał czem za dzierżawę zapłacić?

— Wszak to pana obchodzić nie powinno.

— Żal mi go.

— Niech mnie Bóg uchwala od jego żalu!

— Pan wiesz wiele mam u krajczego...

— Piętnaście tysięcy.

— Koszta procesu...

— Być może... na nowy rok panu płacę.
 — Ja do nowego roku czekać nie mogę...
 — A gdybyś pan musiał!
 — Radbym wiedział kto mnie przymusi?
 — Licytowałeś pan kiedy majątek? — spytał zimno Seweryn.

Tu z poczynającą się rozmową dwóch przybyłych, wszyscy umilkli, krajczy podniósł głowę i słuchał uważnie.

— Choćby i nie, ale wiem manipulację.
 — Prosimy o nią.

Kulikowicz zabełkotał: — Ja się tu nie potrzebuję tłumaczyć...

— Więc ja panu powiem, że jeśli zechcemy, rok i dwa poczekasz pan na licytację... Pan krajczy nie broni, prosimy o nią.

— Kto ich tam wie! jaki teraz w tem wszystkim obrządek? — mruczał stary — dawniej sprawa obligowa... rzecz była najprostsza.

— Do nowego roku pan nic zrobić nie jesteś w stanie... a w tym czasie ja mu płacę.

— A jeśli ja nie zechcę?

— I ja nie zechcę — dodał krajczy.

— Przepraszam, pan na to zezwolisz, ja nabywam prawo pana Kulikowicza do części Górowa...

Stary spojrzął, potrząsł głową i nic nie odpowiedział.

— Tylko że ja nie zbywam tego prawa...

— Pan zbędziesz...

— A kto mnie do tego przymusi?

Seweryn grzecznie podszedł ku niemu, wziął (nie bez oporu) pod rękę, i przechadzając się po pierwszym pokoju, po cichu coś mu powiedział.

Na pierwsze wyrzeczone słowa Kulikowicz zmięszał

się bardzo, wyrwał rękę, zabełkotał, i stracił zupełnie zwycięzką minę. Weszli po chwili nazad, ale role były bardzo zmienione, Seweryn się uśmiechał; nasz napastnik był widocznie zmieszany. Krajczy podwajał grzeczności. O interesie mowy już nie było wcale. Deszcz lał jak z wiadra. Marja poglądała ukradkiem na Seweryna. Rozmowa stała się przyzwrotną i obojętną; Kulikowicz opisywał wypadek hrabiego.

Tymczasem w pierwszym pokoju nakrywano do wieczery. To nakrycie, lepiej jeszcze niż mieszkanie i stan dworu, malowało, w jakich interesach był pan krajczy. Stolik przyniesiono, zasłany grubym, szarawym, ale bardzo czystym obruskiem; zastawiony został talerzami fajansowymi, na których wierzchu kilka starych, wytartych i zbladłych saskich porcelanowych, jakby na pamiątkę dawnego splendoru stały.

Z dwóch karafek jedna była rżnięta kryształowa, druga prosta szklanna zielona. Jeden tylko sztuciec krajczego był srebrny. Dziewczyna posługiwała.

— Prosimy na wieczerzę! — odezwała się panna Scholastyka, widząc, że poniesiono zrazy i kaszę, które ustawione wśród stołu, całe składały jedzenie. Wszyscy się ruszyli, krajczy prosił naprzód Kulikowicza, który będąc najbliższym progu, wtoczył się nieukontentowany. Na twarzy jego malowało się to smutne uczucie, jakie niespodziewane poniżenie wyciska; wszedłszy zwycięzko, wychodził pokonany, milczący.

Starzec tymczasem, jakby niedokładnie zdawał sobie sprawę, co się w koło niego działo, zasiadł w cichości do stołu, pomodliwszy się, panna Scholastyka uśmiechając, Marja smutna.

— Wybaczcie panowie za kolację — odezwała się

stara panna. — Czem bogaci tem radzi; a to przysłowie wysmienicie się do nas stosuje, bo nie wiele więcej znajdzie się w domu.

— *Spes in Deo* — rzekł krajczy. — Jakoś... i tego będzie. Scholastyka ruszyła ramionami, Kulikowicz nabrał pełen talerz i zajał.

Odbieźmy na chwilę od nich i zwróćmy się w przeszłość jednej z tych osób — Marji.

Marja była synowicą starca, siostrzenicą panny Scholastyki. Wypadki dziwne strąciły ją do domu, wśród ludzi, z którymi mimo blizkiego pokrewieństwa, żyć nie było jej przeznaczeniem.

Brat krajczego za młodu oddalił się i osiadł w stolicy. — Najprzód paż ostatniego króla, potem urzędnik dworu, zrobił wielki majątek nie wiedzieć jakim sposobem. Od chwili ożenienia z wysokiego urodzenia panną, dziedziczką znacznych bardzo włości, z którą prawie nie żył, szczęście w najbardziej czarodziejski sposób służyć mu zaczęło. Mianowany urzędnikiem dworu królewskiego, obdarzony starostwy, orderami, wzniósł się nagle. Charakteru słabego, powolny, dający sobą łatwo ludziom kierować; ożenił się był nie zważając na to, co mu prorokowano. Poczciwe imię jego użyte zostało za pokrywkę, on sam utytułowany dla żony. Majętności nabyte za ledwie w części od niego zależały. Usuniony od żony, prawie jej obcy, musiał w towarzystwie sobie tylko właściwem szukać pociechy. Nie skarżył się i grając w tryszaka i marjasza, zapijając przegraną winem węgierskiem, umarł, właśnie gdy mu się urodziła córka.

Matka, kobieta wielkiego świata, ze zmieniającemi się okolicznościami, pozbawiona pomocy i opieki protektora, szybko straciła znaczne majątności.

Przecież do dwunastu lat Marja wychowała się już przy niej, już w mieście pod okiem krewnych, familji najzacniejszej i najniegodziwiej postępowaniem matki splamionej; wychowanie więc Marji było całkiem nie stosowne z późniejszym jej przeznaczeniem; przywykła do większego świata, do wytwornych strojów, do zajęcia — tylko dla przyjemności własnej, nagle po stracie majątku, śmierci bliższych krewnych matki i jej samej, została bez opieki, bez mienia, zapartą, odrąconą. Krajczy, naówczas jeszcze majątny, dopomnił się o synowicę imię jego noszącą. Wysłano mu ją z Warszawy.

Ale nie samą — z nią przybyła stryjeczna siostra matki, panna Scholastyka, która się do sieroty była przywiązała, i nie bardzo wiedząc co z sobą począć, udała się z nią na prowincję. Scholastyka w świetnym rodzie, z którego pochodziła matka Marji, była zawsze plamką na słońcu: ubogą panną, nie ładną, nie zalecającą się niczem, której się pozbywano jak było można. Każda rodzina ma te plamki słoneczne, ale tylko prawdziwe słońca chodzą otwarcie po niebie z plamami, nie troszcząc się o nie. — Największą klęską było, że Scholastyka nie będąc nigdy tak piękną, żeby na piękności twarzy budować miała przyszłość; w dodatku miała ubóstwo — rzecz niedarowaną.

Dla bogatych nie ma cięższego towarzystwa nad ciągłą przytomność ubogiego krewnego. Jest to jakby nieustanny wyrzut, jakby ciągła wymówka, jakby nieprzerwana prośba, w ostatku, niezdolne *memento mori*. — Przy uboższych potrzeba się wstrzymać ze swemi przyjemnościami, aby ich nie zazdrościli (bo mało kto dzielić się zechce), trzeba się zniżać, zapierać właśnie, gdy się najbardziej chce pochwalić. — Nieugięty, dumny cha-

rakter naszej panny, położenia takiego przy bogatych krewnych, ciągle dla niej skrzywionych, kwaśnych, znieść nie mógł, wyniosła się więc z Marją na wieś. Ale krajczy, na którego dostatki rachowali, właśnie poczynął tracić, i to co nabył, i to co odziedziczył po rodzicach.

Powolny, dojutrek, we wszelkiej sprawie odwołujący się raczej do cierpliwości i oczekiwania, niż do decydującej i rozstrzygającej woli — zaplatał się w interesa, długi, procesa i nigdy nie bacząc jasno, na jakim stopniu ruiny stoi, pochylił się ku całkowitemu upadkowi. Ostatnie kilka chat w Górowie, Kulikowicz mógł sprzedać z licytacji.

Na takim stopniu były interesa starca — a Marja nie miała już po nim nikogo w świecie, co by się losem jej mógł zająć.

Położenie biednego dziewczęcia było politowania godne. Urodzona i wychowana w dostatkach, w zbytku, wykołysana w pieluchach koronkowych, wyuczona wszystkiego co tylko życie umiła, ale nie co je zasila, nagle rzucona została na pustą wieś, potem z nie wykwintej, szlacheckiej zamożności, w niedostatek. Wychowanie naturalnie przerwane zostało. Miała jeszcze wprawdzie bardzo bogatych krewnych, ale ci niechętni dla pamięci matki, która podwójnie w ich oczach splamiła się, pozwalając się okrzyczyć metresą i wydać za mąż, za nieznanego imienia człowieka — udawali, że o jej egzystencji nawet nie wiedzą.

Szczęściem jakby Bóg chciał osłodzić przyszłość Marji, dał jej dwa wielkie dary: łagodność anielską i wiarę głęboką. Tę wiarę wszczepiła jej za młodu nie matka, bo ta żadnej nie miała; ale ciotka, którą poznaliśmy, kobieta dziwnego pozoru, a bogobojna w duszy

i szlachetności pełna. Marja więc znosiła z uśmiechem, jak mówiła, co Bóg na nią zesłał, a nie myślcie by to mało było.

Ubóstwo łatwiejsze jest do zniesienia samo, niżeli się może zdaje; praca razem zajęciem jest i skracą życie, któremu przyjemności braknie. — Ale to co idzie za ubóstwem — ciężkie! Oto towarzystwo ludzi bez wychowania i często bez serca, a zawsze bez tych form, tych powierzchownych oznak, na które krzyczymy — pod zły humor, ale bez których życie nieznośne...

Ciężkie są nieraz takzwane konwencje towarzyskie, zwyczaje i t. d.; ale gdzie ich nie ma, tam wielki tylko genjusz lub anielskie serce zastąpić je potrafią. Marja więc musiała znosić nie ubóstwo, ale dziwne towarzystwo otaczających ją ludzi, towarzystwo, które za jedyną wyższość, jaką kto ma nad niem, mści się nielitościwie. Marja miała tyle wyższości! Wdzięk jej, wychowanie, imię matki, szlachetna powaga, nigdy nie dopuszczająca poufałości — wszystko to wzbudzało niechęć, zazdrość, zemstę.

Nie opowiem ile zmęczono biedne dziecię! Panna Scholastyka rozwinęła tu bohaterski talent swój do boju, na obronę sieroty — ale wszelka zaczepka, nim została odpartą, już raniła. Raz szeptano niegodziwie potwarze na ojca i matkę przy dziecięciu, to znowu w kościele ze wzgardą odpychano ją od ławki, to omijano w towarzystwie, to ze zbytnią nachodzono poufałością.

W miarę jak krajczy na majątku upadał, prześladowanie to stawało się zajadlejsze, bezwstydne, niegodziwe, bo bezbronną nachodzące. Cały dom zajęty niem został. Sąsiedzi, jak Pokotyłowice, Doliwowie, Haslingi, Kuli-

kowicz, albo bywali u krajczego, by z niego szydzić, albo nie przyjmowali go nawet u siebie.

Hrabia Hubert obaczywszy Marję przejeżdżającą, naskakał na dom swego rezydenta, który po pijanu proponował wobec jej, tysiąc czerwonych złotych starcowi za synowicę. — Panna Scholastyka przytomna porwała pistolet wiszący nad łóżkiem, a starzec, w którym te niepocziwe słowa krew zburzyły, zdobył się na odlewany policzek. Hrabia Hubert, gdy rezydent powrócił, dwa dni nie przestawał z niego szydzić nielitościwie.

— Waćpan jesteś niezgrabjasz, opój, i wcale do takiej misji nie masz talentu...

— A więc ja pojadę — rzekł drugi.

Hrabia Hubert, gdy był w dobrym humorze, puszczał się na najryzykowniejsze szale i nie czując, że urąganie pocziwemu ubóstwu jest najwyższą podłością, zezwolił śmiejąc się do rozpuku, na podróż drugiego.

Ale chciwy ten poseł pomiarkował w drodze, że złe mogą być skutki, wypadek; może go sumienie ruszyło — i wrócił z kłamliwą tylko powieścią, nie bywszy u krajczego.

Powieść ta wcześniej ułożona, pocieszna, ubarwiona, rozeszła się po sąsiedztwie. Wyobraźcież sobie, jak nowa dawały niepocziwe te wieści zřęczność sąsiadom do prześladowania Marji? Co dzień mniej pokazać się mogła, a kiedy przyszło jechać w niedzielę lub święto do kościoła, musiano wybierać się na mszę ranną, aby na schodkach wiodących do kruchty z nikim nie spotkać. Młode Haslingi, pan Doliwa, Kulikowicz, Pokotyło Fabjan, cała ta wesolutka młodzież czatowała na ukazanie się starca, panny Scholastyki i Marji, aby zaczepiwszy

ich, dogryźć im boleśnie. Osobliwsza cierpliwość i łagodność, przechodząca już z wiekiem w niedołęztwo w panu krajczym, nie umiarkowana odwaga panny, zarówno wzmagały i jątrzyły niewczesne żarty. Stary witał swych prześladowców zawsze grzecznie i na bolesnem szyderstwie nigdy się nie umiał czy nie chciał poznać, potwarzając cicho:

— *Spes in Deo*. Cierpliwości!

Ciocia znowu tak często boleśnie zadrasnęła miłość własną przeciw sąsiadów, taki śmiech z nich samych wzbudzić potrafiła, i ścierpieć nie nie umiała bez odwetu krwawego; nieraz czekano drugiej niedzieli, święt-okazji, aby wymyślonym długo figlem, za raz ciężki, odpłacić.

W takim to położeniu były trzy osoby, któreśmy czytelnikom naszym poznać dali. Wszędzie gdzie są ludzie, są nieprzyjaźni otwarte i skryte nienawiści, ale rzadko gdzie trafić się może, by cały dom nieszczęśliwy, a niczem na wzgardę, prześladowanie i nieszczęście nie zasługujący, tyle cierpiał od wszystkich.

Seweryn wrócił z Wilna właśnie w porze gdy niewczesne żarty pana hrabiego pierwszy niepokój i łyzy gorzkie pod ten dach zaniosły. Był świadkiem jednej z tych scen rozdzierających, strasznych, odegranych przed kościołem, bez uszanowania dla miejsca, bez względu na płeć i wiek.

Z początku stał w niemem osłupieniu, potem uniósł się gniewem i oburzył. Dowiedziawszy się kto był krajczy, Marja i Scholastyka, łyzy mu popłynęły z oczu i uczuł się obowiązany przyjść w pomoc tam, gdzie nikogo nie było. Ujęcie się za Marją zrobiło mu pierwszych nieprzyjaciół, a jej nie wiele pomogło. Poczęto ją

niegodnie prześladować Sewerynem i odwiedziny jego tłumaczyć najszkaradniej.

— Nie słuchaj waćpan głupców — odpowiedziała mu Scholastyka, gdy jej o tem nadmieniał. — Niech sobie mówią co chcą, jedna ich potwarz zbija drugą.

Seweryn przywiązał się do Marji — tak być musiało: oboje nieszczęśliwi, ubodzy, sieroty, wychowaniem, uczuciami, sympatyzujący z sobą, poznali się na sobie, ocenili — pokochali.

Ale ta miłość była bez nadziei — a Seweryn zmierzyszy swą przyszłość i ubóstwo, nie śmiał brnąć dalej w namietność, która za sobą udręczenia tylko wiodła. Miłość więc jego była nieśmiała, choć jawna, ale ciągle się na pieczy mająca, by nie zaszła dalej, niż isć dozwalało sumienie. Oprzeć się widywaniu Marji, gdy mu nic tego nie bronilo, nie umiał; nie starał się wszakże do niej zbliżyć ile mógł, ile mu dozwolano. Skutkiem tego pełnego szlachetności postępowania, Marja sądziła jego przywiązanie umiarkowanym i chłodnem. Jedna ciotka wszystko rozumiała.

Prześladowana od jednych, nie tak kochana od Seweryna jak chciała, biedna Marja cierpiała na wszystkie strony. Nie wiem z kąd, pomimo prześladowań, mimo ubóstwa, w jakąś chwilę nieszczęśliwą wpadła w oko Kulikowiczowi.

Z dumą i pewien przyjęcia zaofiarował rękę swoją, kładnąc za warunek oddanie części Górowa w posagu, a obowiązując się wzajemnie utrzymać starego krajczego i ciotkę.

Starzec może by był przyjął tę propozycję, ale panna Scholastyka oburzyła się przeciw niej, Marja na samo wspomnienie rozplakała i stary rzekł po cichu:

— *Spes in Deo*. Cierpliwości, jakoś to będzie.

Tymczasem Seweryn często zaglądał do Górowa, ale zawsze równie grzeczny, równie dając dowody swego przywiązania, nie posuwał się nigdy nad nie dalej, i nie oświadczał wyraźnie.

Pierwszy to raz dnia tego wyrwała mu się nierozważna propozycja zapłacenia Kulikowiczowi, dla oswobodzenia tych, których szanował i kochał.

Słowa te wybuchły z oburzenia bez zastanowienia, ale Seweryn co raz wyrzekł, dotrzymać czuł się obowiązany... Postanowił wyrzec się dzierżawy, sprzedać co miał i skryć się, dopełniwszy do czego się zobowiązał.

Cała może przyszłość jego na tem słówku zawisła, ale jej nie żałował dla Marji. Wywiódłszy Kulikowicza do drugiego pokoju, potem szepnął mu tylko następnych słów kilka:

— Proszę pana o grzeczność i delikatność dla tego domu, jestem i będę jego obrońcą. Dług jego opłace i jeśli chcesz jutro zobowiążę się do tego legalnie, bo waćpan mógłbyś nie wierzyć słowu.

Za najmniejszą zaś oznakę niegrzeczności, niechęci, nieuszanowania, tak jak mnie waćpan żywego widzisz, pewnie i nieochybnie w łeb ci jak psu strzelę. Niech to zostanie między nami.

Z początku formalizował się i srożył Kulikowicz, ale w końcu zmiękczał i zamilkł. — Wiedział on, że z Sewerynem żartować było niebezpiecznie, szydził więc z niego, ale po cichu i za oczy tylko.

Powiedzieliśmy wyżej, że Seweryn nie był lubiony w sąsiedztwie — jego układ szlachetny, umiarkowanie w słowach, nie łatwe poufalenie się i widocznie dająca się czuć wyższość, spowodowały najprzód niechęć, oziębłość,

potem rodzaj sąsiedzkiej nienawiści, która zwykle dotyka wszystkich nie umiejących się poniżyć do najostateczniejszego i zrównać, spodeń z najniższymi. Seweryn nie dzielił żadnych przesądów szlacheckich. Dla niego wieśniak był równym mu człowiekiem, którego pracę szanował, własność za świętą uważał, osobistej swobody nie krępował, którego czuł się opiekunem; to postępowanie zjednało mu przewrzenia dwa najsprzeczniesze. Pan Teodor Doliwa nazwał go *demagogiem*, reszta tych panów *grafem*. — Śmiano się jak z najpotężniejszego głupstwa, z zapалу, z którym biegł ku cierpiącym bez różnicy stanu ludziom. Tłumaczono najdziwaczniej powody jego nocnych wycieczek do chorych, po karczmach, po wioskach, po dworach. Rozpustnicy okrzyknęli go rozpustnikiem, chciwi chciwcem zamaskowanym; inni nierozumnym szaleńcem. Szedł li z pomocą ku biednemu, bo jakkolwiek miał mało, nigdy nie odmówił nikomu — prorokowano ruinę, szydząc za jednym razem i z ojca i z syna.

— Nie ma co dawać, a daje! nie daleko zajędzie — mówili Hasling i Kulikowicze.

— Z chłopami obchodzi się jak z sobie równymi, menażuje ich, pieści... zobaczymy co z tego będzie! Okradną go, oszukają i na gospodarstwie zrujnują. Wieś, którą trzymał w dzierżawie od nabywcy po ojcu swoim Seweryn, sąsiadowała z majątkiem hrabiego Huberta, Śliwinem. Ztąd spór z jaśnie wielmożnym, w którym nienawidząc obu, sąsiedzi znaleźli obfite do potwarzy źródło — rzecz tak się miała.

Hrabia, który nie najprzykładniejsze prowadził życie i oprócz metresy *en titre*, ustawicznie ganiał się za pięknymi twarzyczkami; napatrzył jedną szesnastoletnią

w majątku dzierżawionym przez Seweryna. Anusia była córką leśniczego, dawniej poddanego hrabiów, wyzwolonego później i osiadłego na gruncie sąsiedniej wioski, wpisanego nawet w jej ludność. — Hrabia Hubert przez rotmistrza Wiłę, którego używał do spraw tegoż rodzaju, wprost uderzył do rodziców, ofiarując trochę pieniędzy, bydełko i coś tam jeszcze za kilkomiesięczny pobyt Anusi u siebie. Rodzice częścią dla zysku, częścią przez głupstwo zgodzili się na wnioski pana rotmistrza; ale dziewczyna przełęczona pobiegła do dworu błagając pomocy.

Seweryn kazał jej zostać przy ochmistrzyni.

Rodzice, którzy zadatek ohydny byli już wzięli, pomiarkowali, że najlepiej było zatrzymać i córkę i pieniądze. Nie przeciwili się więc zatrzymaniu jej we dworze.

Hrabia zuchwały i pewien zezwolenia rodziców, nasadził szpiegów i kazał porwać Anusię. Szczęściem dla niej, Seweryn wracał nocą z polowania, napadł na scenę tego szkaradnego dramatu i odwoławszy kurki nienabitej strzelby, zmusił przełęczonych kozaków do odwrotu.

Spór z tego powodu przerodził się w proces, który hrabia pieniędzmi rodzicom danymi zagodzić musiał. A że szlachetne postępowanie Seweryna zmieścić mu się w głowie nie mogło, rozgadał, że między nimi szło o Anusię nie darmo; rzucił na Seweryna plamę najbrzydszą — rozpustnika nadużywającego władzy nad poddanymi dla pastwienia się nad nimi.

Co za wyborny pasztet dla sąsiedztwa! trzeba było widzieć, z jaką zgrozą szeptały o tem na ucho panny Hasling, pani Doliwowa i inne piękności powiatowe!

trzeba było posłuchać i bić czołem przed cudnie uszytymi na tem tle powiastkami.

Jedna panna Scholastyka nie uwierzyła temu, druga Marja.

Słowo przecież najniedorzeczniejsze tyle ma mocy na człowieku! Anna była w istocie tak piękną! tak piękną, że i Marja w cichości nie jedną łzę wylała, choć rozum myśl winy Seweryna odpychał.

Kończyła się wieczerza skromna, deszcz jeszcze lał ulewny, gdy posłaniec od hrabiego zjawił się we drzwiach.

— Zastaje pana Kotlinę?

— Jestem... co takiego?

— Oto list... czekam z koźmi na pana.

Karteczka ręką hrabiego napisana zawierała te słowa:

„Mój szlachetny nieprzyjacielu! — Ratuj jeśli w Boga wierzysz — gorę z bólu, w drodze do domu noga spuchła i nieznośnych doznaję boleści — doktor wyjechał, jak mi donoszą — jeśli mi odmówisz pomocy, w łeb sobie strzelę, bo nie umiem cierpieć.“

— Co to jest? — spytał krajczy.

I wszyscy spojrzeli na Seweryna, który chował zarumieniony kartkę do kieszeni.

— Hrabia chory, doktora nie ma, prosi mnie o ratunek.

— Pan pojechałbyś do niego? — spytała Scholastyka — do tego...

— Ktokolwiek jest, cierpi — odrzekł Seweryn wstając.

Kulikowicz ruszył ramionami.

— Tem lepiej.

— I ja bym to powiedział, gdybym nie był chrześcijaninem — powoli odparł Seweryn.

— Osobiście wiele wycierpiałem od niego, ale to się

nie może liczyć, przy cięższej urazie — tu spojrzął na Marję.

— Przecież jadę.

Marja miała ciche łzy w oczach. — Ciotka dodała:

— Bohatersko! ale ja bym się na to zdobyć nie potrafiła...

— Niech sobie robi jak mu się podoba — szepnęła cicho krajczy. — *Spes in Deo*, wszystko będzie dobrze.

— Jak Boga kocham nie rozumiem — dodał Kulikowicz — to coś na romans zakrawa...

Seweryn pożegnał wszystkich, a w progu pociągnawszy za sobą Kulikowicza, rzekł mu do ucha:

— Pamiętaj pan, że choć nogi nastawiam, ale i polamać potrafię.

Oczekujące konie hrabiego, zaprzężone do lekkiego powoziku, wiatrem się uniosły z przed ganku. Noc była już jasna choć jeszcze część chmury okrywała widnokrąg.

DWÓR PANA HRABIEGO.

Około jedenastej nocnej, powozik Seweryna zabiegał przed ganek pałacyku Śliwińskiego. Pomimo ciemności, ciekawie się w około oglądał przybyły, chcąc, korzystając z tej dziwnej nocnej wizyty, bliżej obejrzeć miejsce. — Obszerny dziedziniec obwiedziony białymi słupy z wazonami, osadzony staremi topolami, z krągłym trawnikiem w pośrodku, zamknięty był domem mieszkalnym z kolumnadą i dwoma oficynami porządnymi.

Na bramie były herbowne znaki.

Sam dom budowany przez najoryginalniejszego ze

skapców, nosił ślady na sobie dwoiste: skapstwa i nieumiejętności.

Ojciec powoli, oszczędnie, z wyrachowaniem co tańsze, co dłużej potrwa, założył; syn nie nie umiejący, zgadujący tylko jakby co być powinno, dokończył.

Były tam rzeczy niesłychane. Proporcje kolumn osobliwsze i kapitele ekscentryczne, okna z małemi szybami, obok gzymsów i ozdób z kamienia i gipsu nasadzonych nie w miejscu. Dzieła syna widocznie rozeznąć było można; wszystko co hrabia Hubert przyczynił, nasładowało gdzieś najrzane rzeczy, ale niedokładnie i fałszywie.

Z po za oficyn wyglądała wychuchana, wytworna stajnia; za nią poczynął się angielski ogród ze zwierzyńcem, utwór Huberta. Gdy Seweryn nadjechał, światła były jeszcze we wszystkich oknach, ruch w dziedzińcu. W ganku stała gromadką dwornia hrabiego, pod naczelnikiem swym rotmistrzem Wiłą.

Zaledwie wysiadłszy Seweryn spytał:

— Jak się ma hrabia?

— Trochę lepiej... oczekuje niecierpliwie na pana.

To mówiąc rotmistrz, przez sień oświeconą wprowadził Seweryna do salonu, wychodzącego trojgiem drzwi parapetowych na ogród. Salon ten ozdobiony świeżemi meblami z Warszawy sprowadzonemi, zastawiony był niemi najniedorzeczniej. Stare sprzęty, które Hubert nauczył się cenić, mieszały się z nowemi nabytkami, krzycząc jedne przy drugich. Zupełny nieład tu panował, krzesła rozprysły się po sali, stoły bokiem do siebie jak do pojedynku postawały, lampa paliła się w oknie. Przy lampie siedziała kobieta wytwornie ubrana, piękna, słusznego wzrostu, zuchwałego twarzy wyrazu. Ta ukloniła

się milcząc Sewerynowi, zmierzyla go wzrokiem ciekawym i powoli odeszła. Była to druga czy trzecia metresa Huberta, panna Drolling, Niemka, którą wywiózł z Wiednia.

Zaledwie miał czas na nią rzucić okiem, ale i wielką piękność jej i najniestosowniejszy ubiór mógł ocenić. Twarz choć młoda zeszpecona wyrazem samowoli i gwałtowności, namarszczona ślicznemi brwiami, dumnie i pogardliwie wzniesionemi usteczkami, malowała to życie zgryzot, boju, bojaźni, którem żyć musiała hrabiowska kochanka. Biedna! jak gdyby swoje poniżenie zatrzeć czemś chciała... cała się w kosztowności i błyskotki okryła. Nie tyle może dla stroju one włożone były, co dla okazania obcemu zamożności wytworności, stopy na jakiej tu była. Obie ręce, a rączki miała prześliczne, od kostki do łokcia prawie okrywały najrozmaitsze bransolety, iskrzące się przy świetle lampy, na szyi fermuar i kolje z prawdziwych ametystów z brylantami, ogromna brosza na sukni, śliczna szatelena u pasa. Cały stoliczek przed nią zarzucony kosztownemi gracikami.

Wszystko to razem czuć tylko dawało, że panna Tekla poniżenie swoje rozumiała i zatrzeć je usiłowała tem, co nic nie zaciera i niczego nie zakrywa, chyba dla ciżby ostatniej.

Salon urządzony pewnie z porady panny Tekli, byłby najsmutniejszego rozśmieszył, taka tu była mieszanina rzeczy nie spotykających się gdzieindziej, wytwornych i niesmacznych i znać tylko było, że panna Drolling domyślała się, że jest gust na świecie a sądziła że mieć go powinna, skoro ma pieniądze do rozporządzenia. Niestety! gust najtrudniej kupić.

Dwór hrabiego otoczył z ciekawością Seweryna. Na

czele jego stał rotmistrz Wiła, potężnego wzrostu, barczysty mężczyzna w czamarcie zawieszisto szamerowanej i widocznie na przybycie obcego włożonej. Łysa głowa, blond włosami z tyłu zaczesanemi ubrana, wznosiła się nad tym ogromnym kłosem z kości i mięsa. Małe oczki bez koloru w pomarszczonych chodziły powiekach; pod ogromnym nosem konopiate wisiały wasy, coraz poprawiane i podkręcane co chwila. Na rękę kilka pierścieni, bogaty łańcuszek na kamizelce. Za rotmistrzem szedł jakby dla kontrastu maleńki człowieczek pan Durczyński, nie młody już, znać z miny zakrawający na dowcipnisia i błazna. Ręce chude i długie, twarz koścista pomarszczona, włos szpakowaty, oczki czarne, gęba wykrzywiona dziwnie. Na nim stary frak granatowy i cały strój stosowny... Za panem Durczyńskim szli jeszcze trzech czy czterech rezydentów i błaznów rozmaitych twarzy i strojów; tłuszcza podrzędna, pod naczelnictwem rotmistrza zostająca. Rotmistrz był totumfackim w domu, on kierował stajnią, zawiadował końmi, dysponował myśliwstwem, wyszukiwał różowych twarzyczek i czasem plenipotentował w powiatowym mieście...

Przeciwnie pan Durczyński, nie nie robił, kpił tylko, dawał kpić z siebie, jadł, pił, spał... i nigdy się nie gniewał. Tak podle potulnego człowieka trudno było znaleźć drugiego. Hrabia też wysoce go cenił i kiedy niekiedy dawał mu krom starego fraka, jakie sto złotych gratyfikacji, gdy się dobrze nim ubawił. Biedny Durczyński nigdy nie bywał w złym humorze, zawsze i na zapotrzebowanie wesół, udawał przybyłe osoby wybornie, umiał mnóstwo wierszyków i anegdotek, które nieźle deklamował. Przed laty był nauczycielem domowym, ale raz poznawszy się wypadkiem z hrabią, po-

miarkował, że u jego boku było dla niego miejsce i osiadł. Lat dziesięć już nie rozstawali się... Bez Durczyńskiego hrabia był jak bez ręki... ziewał, nudził się i nie wiedział co robić.

Kiedy ten tłum darmozjadów obstał Seweryna, z ciekawymi minami, z wytrzeszczonymi ślipiami, gdy młody człowiek ujrzał się przedmiotem żywej ciekawości, a przyszło mu na pamięć, jak powszednim chlebem były tu niewczesne żarty i bolesne mistyfikacje, pożłował chwilę, że się dał sprowadzić.

— Chodźmy więc do pana hrabiego, — rzekł do rotmistrza.

— Hrabia, — przerwał wysuwając się z pod łokcia rotmistrzowi Durczyński, — trochę usnął, może by go nie budzić.

— Ale był bardzo cierpiącym?

— Przez parę godzin... teraz zdrzemnął się.

— Możemy służyć herbata? — spytał rotmistrz grając rolę gospodarza...

Seweryn skłonił się w milczeniu.

Nie wiedzieć o czem było rozmawiać, co robić, stał jak na szpilkach.

Panna Tekla ukazała się znowu we drzwiach salonu, okryta na ten raz szalem białym kosztownym, i widocznie zdobywając się na odwagę, którą grała przesadzając, usiadła u stoliczka.

Niebieskie jej pełne blasku oczy przebiegły po zgromadzeniu i ustanowiły się na Sewerynie z uwagą.

— Niechże dają herbatę — rzekła po polsku, z wyraźnym jednak akcentem niemieckim — panie rotmistrzu!

— Kazałem już... Proszę pana siadać. — Seweryn padł raczej niż usiadł na krześle. Milczenie; komenda

tylko pana rotmistrza szepce po cichu... Seweryn ziębnie ile razy wspomni, że go mogą wybrać za cel jakiej mistyfikacji.

Ale chwilę tylko trwało utrapione to milczenie i utraپیءsza jeszcze urywana rozmowa.

— Hrabia się obudził! Hrabia prosi! — zawołał pan Durczyński.

— Chodźmy!

Pospieszyli przez drzwi w lewo wiodące i minawszy dwa pokoje, z których jeden bilardowy, drugi biblioteczkę imitujący, do sypialni hrabiego. Obszerny pokój z alkową, na której podwyższone piękne mahoniowe, z pawilonem stało łóże. Głęb, boki, sufit jego okryte były zwierciadłami.

Wielkie bióro pyłem przysute, kilka zielonych skórą wybijanych fotelów elastycznych, komin marmurowy, zdobiły sypialnię. Okna jej zapuszczone były ślicznemi story, ale zmiętymi i zwalanemi. Kilka psów różnego rodu leżały na poduszkach, w kątach, na kanapie.

Hrabia postrzegłszy Seweryna, wyciągnął rękę ku niemu.

— Wierz mi pan, — zawołał — do śmierci masz we mnie najszczerzego przyjaciela! Tak mu jestem obowiązany! z serca! z serca!

— A noga panie hrabio!

— A! rób sobie z nią co chcesz, odcinaj byle nie bolała! boli, spuchła!

— Zobaczymy!

Rotmistrz zbliżył świecę, ruszyli się słudzy, odsłonięto kołdry, odwinęto bandażę, które zręcznie odjął Seweryn unosząc chorą nogę w powietrzu i pokazało się obrzęknięcie znaczne i czerwoność.

— Postawimy pijawki, — rzekł Seweryn.

— Szkaradna rzecz! kole to niezdolnie i obrzydliwe stworzenie — rzekł hrabia.

— Cóż kiedy go niczem zastąpić nie można. Mamyż pijawki?

— Panie Durczyński, do ochmistrzyni...

— Są u panny Tekli, — rzekł rotmistrz. — Na imię panny Tekli, hrabia spojrział Sewerynowi w oczy, potem na Wilę. Wilę kiwnął głową, jakby mówił — widział.

Seweryn usiadł na krześle obok hrabiego; ten już na widok obcego w swoim domu, niepołamowanej nabierał ochoty figla mu niewinnego wypłatać, oczy mu się paliły.

— Widziałeś, — rzekł, — moją Teklusię...

— Tę panią w salonie? — spytał Seweryn.

— Tę panią... tylko mi jej nie zbałamuc, korzystając z mojej słabości — dodał śmiejąc się.

— O! panie hrabio! nikogom jeszcze w życiu nie miał szczęścia zbałamucić.

— Doprawdy, ani nawet Anusi?

To wspomnienie krwią oblało Seweryna, który się zżymnął.

— Przepraszam pana, nie mówmy o tem.

— Wierzę że jesteś pocciwszy odemnie starego łotra. Ale dla tego boję się o Teklusię.

— Gdybym przynajmniej, — rzekł przybyły usiłując się do dziwnego tonu rozmowy nastroić — gdybym przynajmniej mógł walczyć z hrabią. Ale coś ja, ubogi chłopak, dla panny Tekli znaczyć mogę? Tego rodzaju zdobycze pospolicie się płacą...

Hrabia westchnął.

— Starzy płacą, a młodym samo idzie.

— Wszyscy płacą, — rzekł Seweryn — i wszyscy się oszukują... bo z przeproszeniem... każdy potem żałuje trochę targu dobiwszy, nieprawdaż?

Hrabia uśmiechnął się przymuszenie, poglądził po czole.

— Mój drogi panie, — rzekł, — na świecie podobno i to co się zowie daremnem, co człowiek kupi sercem, duszą, sobą i poświęceniem przyszłości, nazwać można *marché de dupe*.

— Co to pan hrabia mówi? — śmiejąc się spytał Durczyński, który z za pawilonu głowę wyścibiał. — *Marsz* do czego? homerycznym śmiechem rozległ się pokój sypialny, Seweryn zecerwieniał; szczęściem pijawki przyniesiono.

Hrabia się zmarszczył... trzeba było wytrzymać ukąszenie dwudziestu kilku pyszczków!

Ale w czasie gdy się zabierano do roboty, kiwnął na Wiłę i począł mu coś szeptać na ucho śmiejąc się... Wiła aprobował, potem zdawał się sprzeciwiać, potem nareszcie zgodził się. Seweryn nie bez bojaźni, postrzegł tę naradę tajemniczą; ciągle się jakiejś mistyfikacji obawiając, z drugiej strony w głowie mu się pomieścić nie mogło, żeby hrabia miał ochotę cierpiący, z nogą potłuczoną wywdzięczyć figlem jakim, za staranie które tak zdawał się cenić wysoce. Wiła na chwilę zniknął, ale natomiast ukazała się przez drzwi sąsiedniego salonu panna Tekla, która czegoś zdawała się szukać w bibliotece. Było to może jak bransoletki i szal, nadaniem sobie jakoś tonu, okryciem się nową błyskotką.

Z kupionego towaru, usiłowała się przerobić w oczach obcego na heroinę romansu.

Noga opatrzoną została; podano w sypialnym pokoju

herbatę, na wspaniałych srebrach, z wytwornemi dodatkami, których zbytek zdradzał niespokojne przygotowanie. Hrabia ścisnął rękę Seweryna i dziękował.

Darmozjady połapawszy każdy po filiżance i zagarnawszy co tylko zagarnąć się dało do zjedzenia, nalawszy sobie dobrą dozę rumu, z Durczyńskim na czele, który kieszeń wyładował ciasteczkami, odstąpili nieco, aby pożywać spokojnie. Seweryn został u łóżka. Hrabia z zajęciem zbliżał się do niego, wdzięczność jego zdawała się być żywą i prawdziwą.

— Pan mnie znasz z jednej nieszczęśliwej awantury, w której więcej jest winy rotmistrza niż mojej — rzekł, — musisz się mną brzydzić? nieprawdaż... i wiele cię to kosztuje, że jesteś w moim domu.

— Ale, — dodał, — wszystko olbrzymieje zdaleka... nie wierz wiele złemu, które o mnie słyszałeś. Jestem trochę łotr to prawda, trochę rozpustnik, ale każdy z nas w duszy taki, tylko się jeden kryje, drugi nie widzi potrzeby... Lubię błaznować, otaczam się takimi ludźmi, jak oto ci — i wskazał na zajądających. — To są wszystko przeciwko mnie kreski. Ale potrzeba mnie bliżej poznać, a możebyś i pan ostrych zasad i niepomahowanego życia, znalazł co dobrego we mnie. Ludzie powiększają wszystko złe chętnie.

— Nie lubię pracy, — mówił dalej, — życie chcę mieć użyciem, to niesie samo karę za sobą. Nudzę się i zużywam! Lituj się więc kiedy chcesz, ale nie gardź mną... krzywdy ludzkiej nie mam na sumieniu... mogę to śmiało powiedzieć.

— Pozwolisz mi hrabio, mówić szczerze? — spytał cicho Seweryn.

— Proszę o to.

— A więc powiem, co najbardziej mam za złe, czego pojąć i pogodzić z szlachetnym charakterem nie umiem.

— Ah! to zapewne szalonego kroku do domu krajczego — zawołał hrabia, — nie mówmy o tem, winiem... ale więcej niż ja... ci! — I znowu wskazał na jedzących i pijących w kącie.

Nie masz wyobrażenia — dodał, — co to za podle stworzenia.

— Godziż się żyć z niemi?

— Wytlumacz mi pan jeśli potrafisz, dla czego się bez nich obejść nie umiem. To mi potrzebne jak psy i konie.

— Panie hrabio, ale w ich osobie upodla się przed tobą *człowiek*, o tyś sam człowiekiem.

— Myślisz pan, że bardzo wielkie, piękne mam wyobrażenie o ludzkości? O mój drogi panie! Dobrze ci z tem, żeś jeszcze tak młody. Niby się szanuje ludzkość, póki się jej nie pozna! Plwam na nią... gardzę... nie wierzę w ideały żadne.

Westchnął hrabia, ale jakby natychmiast pożałował chwili smutku i poważniejszej rozmowy, zawołał:

— Durczyński! tańcu!

Na ten niespodziewany rozkaz osłupiał Seweryn, myśląc że uszy zwiodły. Stary eks-profesor, porwał się susem z kanapy na pański rozkaz.

Było coś bolesnego, przykrego w widoku tak spodlogo człowieka, w tej starości, nie umiejącej się szanować i nie poszanowanej.

Wszyscy zajądający poczęli jakiś taniec chórem śpiewać, a Durczyński z dziwnymi pantominami tańczył. Seweryn ogłupiał.

Durczyński w ką! — zawołał hrabia. I Durczyński

ukłoniwszy się dziwacznie wśród oklasków ciżby, wsunął się na kanapę, przeciw swojej filiżanki. Ale... o zgrozo! herbata z rumem była wypita... a ciastka znikły mu z kieszeni.

— Jaśnie wielmożny grafie! — zawołał tragicznie Durczyński włączając na stolik i machając rękoma, — proszę o głos!

— Cóż powiesz?

— Krzywda mi się stała...

— Jaka?

— Proszę o głos i cierpliwość. Wiadomo jaśnie wielmożnemu grafowi, że kocham się w ekonomównie, pannie Petronelli, która mi płaci obojętnością i kułakami. Nic tak przywiązania nie wzmaga jak szturchańce; miłość więc moja wzrasta z sińcami. Myśl zajęta wdziękami Petronelli, na każdym kroku idzie ze mną i wszędzie mną kieruje. Gdy roznoszono ciasteczka, przyznaje... *furtum feci*, napakowałem ich w kieszenie. Ale nie podle łakomstwo mną kierowało, nieszczęsna, zapamiętała miłość. Dla niej były biszkopty i makaroniki, które przysiadłszy macerowałem w kieszeni.

W czasie baletu mego, gdym miał szczęście być przez waszą grafowską mość okryty oklaskami zasłużonemi, bom sobie o mało nóg nie powykręcał, oto ta ciżba, oto ta tłuszcza, oto ci ludzie wykradli mi ciastka... wypili herbatę z rumem dolanym dla zapomnienia o moich nieszczęściach miłosnych i szturchańcach przeszłych! Proszę sprawiedliwości! Błagam jej!

Głośnie śmiechy towarzyszyły tej mowie, której Seweryn wysłuchiwał przecierając sobie oczy. Hrabia odezwał się.

— Oto mój wyrok. Co się zjadło, to przepadło, dać

panu Durczyńskiemu ciasteczek i herbaty; ale z warunkiem. Miłość jego dla panny Petronelli, niezgrabna i niefortunna, cały ród mężki w jego osobie znieważa.

Godziź się nie być kochanym, a być bitym? panu Durczyńskiemu dany jest ostateczny termin dwadzieścia cztery godziny, po upływie którego obowiązany złożyć dowody, że został kochanym i zwyciężył.

— To będzie trochę trudno — rzekł skrobiąc się w głowę stary błazen — bo... JW. grafie... chybabym działał przez *plenipotentą*, sam czując się *inpotentem*.

Szalone śmiechy znowu koncept ten pokryły. Durczyńskiemu postawiono rum z flaszką, pozwalając za dowcipne słowo uraczyć się do woli.

Wszedł rotmistrz Wiła i znowu do hrabiego się zbliżywszy, coś mu szeptał.

— Czuję się sennym rzekł hrabia — dobranoc. Rotmistrz pokaże panu jego apartament, wybacz jeżeli by ci nie było dosyć wygodnie, sam nie mogę wstać, ale spodziewam się...

— Będzie mi dobrze, — rzekł Seweryn, — niech hrabia będzie spokojny, nie przywykłem do wielkich wygod...

— Dobra noc.

Poważnie, w milczeniu pan Wiła przeprowadził Seweryna, przez biblioteczkę, bilardowy pokój i salon.

W salonie siedziała jeszcze panna Tekla, która ukłoniła się i na kilka słów wyrzeczonych po cichu przez Wiłę, poszła do hrabiego.

Seweryna wywiódł rotmistrz z salonu do sieni, z sieni we drzwi, w które gdy wchodzili, ludzie stojący tu dusili się od śmiechu. Seweryn tego nie widział.

Minąwszy przedpokój, szybko weszli do pokoju w któ-

rym było prawie ciemno, jedna lampa paliła się w kątku. Pan rotmistrz wiódł za sobą służącego.

— Niech że się pan rozbiera i kładzie, — rzekł szybko — potrzebujesz pewnie spoczynku. — Seweryn odrzuty, zmieszany słuchał jak dziecko, ani się obejrzał po pokoju, który jednakże, na jedno uważniejsze spojrzenie, wydał by mu się dziwną przynajmniej dla niego sypialnią.

W pokoju tym pełno było kwiatów, na oknach, na etażerkach, w kątach. Jeden stół ogromny ze zwierciadłem pokryty był muslinem, kilka niskich wygodnych sofek stały przy ścianach, na jednej z nich leżała ogromna czarna chustka kobieca. Łóżko z brązami, osłonięte muslinem, paradowało na podwyższeniu, łóżko przybrane, miękkie, sybaryty lub kobiece. W mgnieniu oka rozebrano Seweryna, rotmistrz dał dobranoc i ze służącym wyniósł się za drzwi. Na stolicku u łóżka paliła się lampa, młody nasz chłopiec z fajką w ustach, przewracał książkę, którą znalazł tu rozwartą i dumał.

Książką tą byli *Rozbójnicy* Schillera. Seweryn wpadł na monolog Moora i czytał, czytał jak to się czasem czyta oczyma, myśląc o czem innem. Tyle najrozmaitszych dumań wiły mu się po głowie.

Pół godziny tak może upłynęło.

W tem drzwi pierwszego pokoju otwierają się po cichu. Seweryn ucha nastawił.

Rzecz dziwna, słyszy westchnienie i jakby szelest kobiecej sukni, krew wystąpiła mu na twarz.

— Co to jest? myśli. — Zdaje mi się!

Ale w tem i drugie drzwi się otwierają, we drzwiach staje postać kobieca... To panna Tekla, głową odwrócona ku drzwiom, odpina warkocz, rozpuszcza włosy, postę-

puje wolnym krokiem nie patrząc, sądząc się widocznie samą... Składa na stoliczku swoje bransolety, broszę, rękawiczki; wyciąga znużone ręce, odpina suknie.

Seweryn stracił przytomność i nie wiedział co począć z sobą... nie miał głosu, by się odezwać... Ona nie wiedziała go; zrzuciwszy szal, rozpuściwszy długi warkocz włosów, postąpiła ku łóżku.

W tem krzyk dał się słyszeć...

Ujrzała Seweryna, który z otwartymi ustami, nie śmiejąc się ruszyć, leżał sparty na poduszce.

— Co pan tu robisz!

— Pani, ja nie wiem.

— Ale to jest niegodnie... to...

— Pani...

Ledwie tych kilka słów przemówić mogli, gdy drzwi rozwarły się z łoskotem i hrabia, niesiony na ręku słujących, z całą swoją czeredą ukazał się.

Panna Tekla wściekle rzuciła się ku niemu łajając wszystkimi językami, jakie umiała, po polsku, po niemiecku, po rusku, po francusku, hrabia zachodził się od śmiechu.

To mnie uleczy! — wołał. — Daruj! daruj! panie Sewerynie! Nie ma dalibóg za co się gniewać. To rotmistrz skomponował ci tę siurpryzę, szkoda tylko, że panna Tekla zawczasie się postrzegła. O! wybornie!

Rotmistrz śmiał się chowając w kącie od panny Tekli, która uderzywszy go w twarz, przebiła się przez ludzi i uciekła.

Seweryn nie wiedząc czy się ma gniewać, czy śmiać, i nie czując się tak bardzo obrażonym, chwycił się z łóżka, nie mogąc pohamować wesołości, którą w nim mimowolnie ta pocieszna wzbudziła mistyfikacja. Przy-

pominając sobie podziwienie Drolling, jej gniew, jej skok ku rotmistrzowi i dany mu policzek, trudno było w istocie nie pośmiać się trochę.

Hrabia stękał na nogę i zawodził. Podano szlafrok Sewerynowi, a Hubert z chorą nogą spoczął na łóżku panny Tekli.

— Szampańskiego wina! — zakrzyczał gospodarz, — zdrowie mojego gościa i panny Tekli, zdrowie rotmistrza.

— Bylebyś hrabia nie pił! — rzekł rozbrojony Seweryn...

— Jeden kieliszeczek!

— Lepiej by żadnego...

Wniesiono tacę, kielichy i z wielką radością rezydentów, którzy szampańskie wino pili z uszanowaniem, dobyto butelek.

— Nie gniewasz się? — rzekł hrabia do Seweryna.

— Panna Tekla chyba gniewać się za to może, — odparł grzecznie chłopiec. — Boję się żeby mnie nie posadziła o należenie do spisku.

— Wszystko się skończyło na rotmistrzu, — kielich w górę wznosząc, zawołał Durczyński. — Zdrowie twarzy pana rotmistrza, która życzenia tego najbardziej zdaje się potrzebować.

— Policzek od kobiety... przyjmuję zawsze z radością — odparł Wiła.

— Pijże rotmistrzu!

Wesoło chichocząc, rozeszli się wszyscy; nareszcie hrabiego zaniesiono do jego pokoju, a Seweryna przeprowadzono do przygotowanego apartamentu, na ten raz już mu nie przerywając. Nazajutrz rano hrabia miał się lepiej, panna Tekla nie pokazała się a Seweryn po śniadaniu odjechał.

WĘZEL DRAMATU.

Nazajutrz Seweryn siedział w domu i poglądał w okno, tęsknie zamyślony, gdy wózek pana Kulikowicza zatoczył się w dziedziniec... Sławny to był w sąsiedztwie zaprząg... Kałamaszka stara z odrapanym koziołkiem, trzema kutem i jednym nie okutem kołem, do niej porwanemi i pozwiązanywanemi postronkami uczepione trzy szkapy chude: gniady, siwy i bułany. Woźnica w siermięźce, czapce wysokiej, łapciach i płóciennych szarawarach, popędzał.

Na zaskaniu kilimkowem, starem, siedział skureczony we dwoje, w płaszczyku letnim nasz spekulant. Nigdy on inaczej nie jeździł, a tym którzy się z niego śmieli, odpowiadał, że panowie P. P. O. O. R. R. nie inaczej dorabiając się fortuny jeździli; a jednak dzieciom miliony zostawili i na starość rozlegali się w wiedeńskich karetach.

Bardzo spiesźnie wysiadł Kulikowicz z wózka, zrzucił płaszcz i wpadł do pokoju. Seweryn wcale się na jego spotkanie nie spieszył; domyślał się jaki był powód przybycia i kwaśno go przyjął.

Dość pokornie wszedł Kulikowicz do pokoju i usiadł na wskazanem krześle.

— Jestem na pańskie rozkazanie — rzekł.

— Oczekiwałem na niego, — odparł Seweryn.

— Możemy skończyć interesa w dwóch, ja lubię tak... od razu... Tak, nie... słowo... ręka i koniec.

Była to słabość Kulikowicza, że się miał i głosić lubił za uczciwego i łatwego w interesach człowieka.

— Cóż pan masz u krajczego? co ma pan krajczy?

— Stan rzeczy następujący:

Tu odchrzątnął i rzucił okiem bystro jak by się chciał przekonać... czy Seweryn zna cokolwiek interes, czy nie wcale; ale na twarzy jego nie nie wyczytał. Zaczął więc wahając się.

— Krajczy ma część w Górowie, składającą się: z dwudziestu dusz poddanych, dwudziestu pięciu morgów ziemi ornej w każdą rękę, trochę błota i sadyby...

— To wszystko? — spytał Seweryn.

— To wszystko, — jękając się rzekł Kulikowicz.

— A las? — rzekł Seweryn zimno.

Spekulant zakrztusił się, myślał że las przejdzie milczkiem. Trzeba zaś wiedzieć, że z ostatniej eks-dywizji pozostało krajczemu dwadzieścia górą włók pięknego i szanowanego lasu, który niedaleko będąc od Buga i mając towarne drzewo, dość wysokiej był wartości. Krajczy byłby go sprzedał, gdyby sekwestr nie leżał na majątku.

— A tak, jest las, — dodał Kulikowicz, — włók piętnaście.

— Górą dwadzieścia — przerwał Seweryn.

— O ho! — pomyślał przybyły, — trzeba tu inaczej począć, nie zjem go tym sposobem w kaszy. Las — podchwycił zaraz, — nie idzie u mnie w rachubę, bo mamy na tym majątku ciężary które go kompensują.

— O to chodzi, czy jest lub nie ewikeja dla mnie, — rzekł Seweryn — panu się należy 15.000 złot., ja płacę je i przechodzę w jego prawa.

— Przepraszam — zawołał Kulikowicz — kwestja wcale inna. Ja nie 15.000 mam na Górowie, ale mam Górów cały w kieszeni.

— Nie zdaje mi się...

— Tak jest... Mam Górów... Licytuję go... nikt do licytacji nie staje, biorę na siebie niedoimkę i płacę ją, kasuję swój dług i biorę część, która mi koniecznie potrzebna do mojej.

— Przepraszam pana — odparł Seweryn. — Rzeczą się ma inaczej... Licytujesz pan, ale ja stoję do licytacji, spłacam pana, spłacam zaległości, biorę część Górów, wyrabiam las i odbieram moje pieniądze, a krajczemu zostawiam czysty folwarczek.

Kulikowicz, który Seweryna miał za niepojmującego interesu wcale, wziął za czapkę.

— To tak! — zawołał — a po cóż ja tu przyjechałem? Ja pana w kaszy nie zjem, a pan mnie także.

— Trzebaż koniecznie, żeby z nas jeden został zjedzony?

— Ja inaczej interesu nie rozumiem tylko z korzyścią.

— Ja panu przy układach ostatecznych jej nie odmówię, — odparł Seweryn.

— Na co tu baki świecić, mówmy otwarcie.

— I owszem.

— Pan nie masz pieniędzy, a ja mam zawsze gotówkę.

— W tej chwili nie mam... ale o nowym roku...

— Zkądże pan się spodziewa mieć je o nowym roku?

— Chociażby ze sprzedaży krestencji...

— Krucha ewikcja! Wszystko spada...

— Wełna, pszenica, żyto, owies.

— Ja wiem wiele pan ma...

— Pan wiesz?

— Zaraz panu wyliczę — zaczął Kulikowicz, — wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Wełny od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pudów.

— Być może.

— Pszenicy najdalej trzysta korcy... żyta tyleż; aręda idzie pięć tysięcy, jarzynę rachuję z innymi przychodami na koszt... na...

— Zda mi się, że to coś pan wyliczył, wystarcza?

Kulikowicz pomyślał.

— Na piętnaście tysięcy? aż nadto, ale koszt, ustępne i t. d. Wiesz pan co?

— Cóż takiego?

— Propozycja...

— Naprzykład jaka?

— Ustąpisz mi pan od 24 dzierżawy...

Tu przypomnimy czytelnikom, że Seweryn trzymał dzierżawą majątek, który należał dawniej do jego rodziców, gdzie spędził młodość, dzieciństwo, gdzie spoczęli najdrożsi mu, gdzie każde miejsce było wspomnieniem. Odstąpić dzierżawy, było to nie tylko wyrzec się zysku, rzec prawie ostatnich funduszy, ale ustąpić z miejsca, co jedno na całym świecie wdzięk i wartość dla niego miało.

Ofiara była wielka, ciężka...

— Jakże pan chcesz, bym mu odstąpił dzierżawy? Nie mam do tego prawa naprzód i gdy już mówimy szczerze, powiem mu, że ten co mnie puścił, możeby nie ośmielił się puścić panu?

— Dla czego? — zuchwale spytał Kulikowicz — chyba że pan rozpuszczasz chłopów, a ja ich potrafię w ryzie utrzymać! Cha! cha! każdy wie, że chamowi cugli popuścić nie można. Zresztą nikt się na mnie z moich jurisdatorów nie skarżył.

— Ponieważ interes ten potrzebuje opisów, zjedziemy do miasta. Znajdziemy tam dziedzica mego...

— Bardzo dobrze... a że nie mam koni, pochorowały

mi się... pojedę z panem. — Seweryn się skrzywił, ale przystał na propozycję. Było po obiedzie.

— Każ pan co dać przetrącić! — rzekł spekulant.

— Naprzykład?

— Wódki i wędliny...

Gość to był tego rodzaju, co zawsze wyjeżdżał z domu na czczo, żeby nie jedząc u siebie, oszczędzić choć cokolwiek. Dla tego o trzeciej z południa dopominał się, nie trafiawszy na objad, o wódkę starą i wędlinę.

Zaledwie oddalił się Kulikowicz, Seweryn kazał osiodłać konia i ruszył do Górowa. Potrzebował rozmówić się z krajezym i zasięgnąć rady jego. Z majątku dzierżawnego do Górowa, prostszą drogą, przez lasy i brody, nie było więcej nad milkę; lasami dojeżdżało się aż pod gaik, który się poczynał zaraz za ogródkiem górowskim. Seweryn siadł na gniadosza i ruszył, o ile mu dozwalała droga najprędzej.

Naprzód błotami po niegodziwych grobelkach i dziurawych mostkach, potem gęstym sosnowym lasem, drogą piaszczystą i przeplatana korzeniami, nareszcie brzeźniakiem dostał się aż pod ogród Seweryn.

Gaj, poczynający się za płotami ogródka, zieloną usłany murawą, rzadki z prześlicznych brzoź złożony, kończył się tuż pode dworem. Kilka ścieżek wydeptanych i ławka zastanowiły tu przybywającego; głos z daleka go wołający, zatrzymał.

Marja siedziała pod brzozą...

Seweryn puścił konia i poskoczył ku niej.

Powitali się tak czule, że niewprawnemu oku zdało by się obojętnie.

Marja zarumieniała się gdy ją brał za rękę; Seweryn pobałdł. Nie wiedzieli jak zacząć rozmowę.

— Jak się ma pan krajezy?

— Zdrow, zasnął.

— A panna Scholastyka?

— Wyszła do gospodarstwa. — Mówiąc to, Marja zarumieniała się.

Usiedli na ławce pod brzozą.

— Chciałbym się widzieć z krajezym — rzekł Seweryn, który wbrew zwyczajowi pospolitych kochanków z romansu, nie myślał korzystać wcale ze spotkania sam na sam z Marją.

— Myślę, że się wkrótce obudzi...

— Chcę go się poradzić, co mam zrobić z tym niegodziwcem Kulikowiczem.

— A! znowu ten człowiek — zawołała Marja. — Dla czegoż chcesz się pan płać w nasze nieszczęsne interesa? Możemyż to przyjąć? Ciocia powiada, że nigdy na to nie pozwoli... i ma słuszność.

— Mój Boże — odezwał się Seweryn. — Jest-że to co tak wielkiego? Wprawdzie nie mam wiele; ale gdybym miał miljony, oddałbym je dla waszej spokojności.

— To są miljony w istocie, bo może wszystko co pan masz.

— O! pani myślisz, że już tak ubogi... Ja się tego nie wstydzę... prawda, ubogi jestem, ale mi tak łatwo samemu jednemu na świecie, bez obowiązków, bez ciężarów, dać sobie radę, zarobić, zapracować...

— Ale powiedz-że mi pan... jakim prawem narzucasz nam taką ofiarę? Przecież miarkujesz, że się takie usługi przyjmują tylko...

— Od krewnych, od bliskich... od swoich; więc mnie państwo nie liczcie do swoich?

Marja zamilkła i spuściła oczy.

— Jakiem-że prawem moglibyśmy?
— A! Marjo! — zawołał mimowolnie Seweryn —
trzebaż słów na to...

Milczenie krótkie; obejrzał się pomieszany i ściskając
ją za rękę — dodał zmienionym głosem:

— Ja cię kocham... dla ciebie...

Dwie łzy puściły się z oczów biednej dziewczyny.

— Nie mów tego — zawołała cicho — nie mów... Na
cóż się nam przyda miłość?

— Czyż ubogim i kochać nie wolno?

— Ale śmiałażbym przyjąć ofiarę tę daleko większą
od pierwszej... Czem-że ją opłacić?

— Sercem...

Marja zamilkła. — Dawno ono twoje — pomyślała,
ale nie śmiała powiedzieć. Seweryn, który raz pierwszy
zebrał się na wyznania, nie odbierając odpowiedzi, wyo-
braził sobie, że Marja go odpycha. Odstąpił i nic nie
rzekł więcej. W tem głos krajczego dał się słyszeć
z okna:

— Mocia panno Marjanno!

— Idę stryju! idę — odpowiedziała żywo ruszając się
z ławki. Seweryn chwycił konia za uzdeczkę i smutnie
powłókł się za nią.

— Oho! i jeńca prowadzisz! — rzekł stary witając
Seweryna. — Jak się masz?

Nim Seweryn oddał konia parobkowi drwa rąbiącemu
w dziedzińcu, Marja przemknęła się i znikła. Nie zastał
jej w pokoju i stary tylko krajczy go powitał zwykłym:

— Cóż tam słyszeć?

Przybyły począł wręcz od interesu; opowiedział
o układach swoich z panem Kulikowiczem i prosił
o poradę.

— To, jak się mu podoba — rzekł krajczy, któremu
ciężko przychodziło zmódczyć się na co stanowczego. — Ja
nie jestem przeciwny, i owszem. Może by poradzić się
panny Scholastyki, kobiety czasem miewają zdania
bardzo trafne. Nigdy nie zapomnę, jak księżna kancle-
rzyna wygrała proces swoją własną sztuką, która naj-
bieglejszych jurystów zastanawiała. Zresztą wolę być
jego dłużnikiem, niż tamtego jegomości.

— Ja myślę, że las wypłacić może i ten dług i inne
zaległości, a folwarek zostanie nie tknięty panu krajczemu.

— A las? — rzekł stary, który miał słabość do tego
hodowanego całe życie kawałka — ale w tym lesie są
krocie, to cała moja nadzieja... ja bym nie chciał go
zbywać?

— Jednakże lepiej las jak Górów...

— Zapewne, ale to powoli... namyśleć się potrzeba;
a zawsze ja chcę sobie las zostawić.

Seweryn zamilkł, nadeszła panna Scholastyka. —
W istocie była to jedyna tu osoba, z którą się rozmówić
o interesie jako tako można było. Seweryn opowiedział
jej wszystko.

— Mój kochany panie Sewerynie... ryzykujesz się
naprawdę — odpowiedziała — wiemy co masz, dajesz wszy-
stko dla naszej spokojności... Nikt takich ofiar nie robi
dla starych panów krajczych, lub takiej jak ja panny
Scholastyki, podżyłej gaduły i weredyczki. Waćpan
kochasz Marję?

— Pannę Marję szanuję, ale...

— O! zmiłuj-że się, w żywe oczy mi kłamiesz, ko-
chasz ją...

— Ale panna Marja mnie nie kocha — odparł żywo
Seweryn.

Scholastyka spojrzała mu w oczy zadziwiona, milcząca.

— Dobra? — spytała niby serjo.

— Jestem tego pewny.

— Przyznam ci się, że jeśli tak myślisz, nie masz zamiaru starać się o Marję, ożenić się z nią, nie wiem dla czego, byś wszystko co masz dawał pierwszemu z brzegu.

— Ja nie nie potrzebuję...

— Dziś, może... ale będziesz potrzebował. A potem godzi się myśleć, że my to przyjmujemy?

— Gdybyś zaś — dodała po chwili — chciał się żenić z Marją... ja bym ci pierwsza odradzała. Możesz świetny los zrobić...

— O! kochana pani... ja nie chcę świetnego losu, dla mnie najwyższem szczęściem byłaby ręka Marji, ale ona...

— Cóż to znowu? popstrykaliście się? widziałeś dziś Marję?

Seweryn się zarumienił. — Spotkałem ją jadąc.

— Rozumiem! — zawołała panna Scholastyka. — Tem lepiej, pokłucicie się, porzóćcie, ty ożenisz się bogato, ona pójdzie za Kulikowicza.

— Ona! za niego!

— Byłby najlepszym mężem. Ja bym go za nos wodziła, przysięgam.

— Pani go nie znasz...

— Chcesz, to ci go odmaluję: głupi a chytry i przekonany o swoim rozumie wysoko, bez serca, bez wychowania; bez uczucia, bez wiary, cały w groszu i zysku...

— Słowo w słowo! żywy! Ale czem-że go poprowadzić?

— Próżnością...

— Jakto?...

— On jest pełen skrytej dumy i próżny, robi zacięcie

majątek, aby nim kiedy błysnął. Wiesz pan jego pochodzenie, jest synem diaka, wstydi się tego, nie wie-dzieć dla czego i wznieść pragnie. A że się tai ze swoją słabością, ślicznie bym kierowała nim, chwyciwszy za tę niteczkę.

Seweryn się zamyślił.

— Dziwne projekta.

— Tonący brzytwy się chwyta...

— Czemuż nie mojej ręki, gdy ją podaję?

— Są ofiary, których się przyjąć nie godzi, mój kochany. Sierota, pocziwy, ubogi, łatwo by cię uwikłać, ale na to potrzeba ludzi bez serca i czoła.

— O! gdyby mnie Marja kochała — rzekł Seweryn. Scholastyka znowu mu w oczy spojrzała.

— Siadaj-no pan, każę podawać poziomki...

I wymknęła się z pokoju na przeciwek. Marja siedziała w swojej izdebce, podparta na rękę i smutna patrzyła za okno.

— Maryniu! — zawołała wchodząc panna Scholastyka — powiedz mi no ty szczerze, otwarcie, jak mnie kochasz, coście tam w brzezynie, spotkawszy się, mówili z panem Sewerynem?

— My! my ciociu?

— On czegoś smutny, jakby się skarżył na ciebie. Czy tak bardzo był natarczywy, żeś aż musiała...

— Ciociu! co za myśl!

— Oświadczył ci się?

— Coś podobnego...

— A ty?

— Ja nie mu nie odpowiedziałam.

— Tegoż to tak stęka! Chodź do pokoju, bądź wesołą i dodaj mu serca.

— Cóż z tego ciociu?

— O! cóż ma być? pobierzecie się i będziecie żyć szczęśliwie jak w bajce, otoczeni mnóstwem ślicznych dzieci.

— I bez chleba! — szepnęła Marja.

— A wiesz co krajczy ciągle powtarza?

— Wiem ciociu i wiem, że to mu na nic się nie zdało, ostatek Górowa zabiorą.

— Nie zabiorą, bo Seweryn płaci...

— Ale my tego przyjąć nie możemy — zawołała Marja.

— To na dwoje, moja droga... albo przyjmujemy albo nie... Jeśli się żeni z tobą...

— On ze mną! Ciociu, cioteczko, pomyśl, odebrać mu swobodę, majątek i dać mu w zamian...

— Marja, którą kocha...

— Cóż ta Marja! moja ciociu! dwa ubóstwa w miejscu jednego.

Ośławiona, prześladowana, wyśmiana — i spuściła głowę smutnie.

— O! gdybym była, czem być mogłam, bogatą dziewczką, jakże szczęśliwą, jak szczęśliwą... rzuciła bym się ku niemu...

— To tylko chciałam wiedzieć z pewnością — zawołała Scholastyka — podawajcie poziomki, chodźmy do pokoju... Służę pannie Marji.

— Jeszcze chwilę, niech się uspokoję...

— A! więc jesteś niespokojna? biedaczka! Musimy przecież wyjść...

Marja w duchu myślała:

— On mówi, że mnie kocha... ale to fantazja młodego człowieka, to nie jest gwałtowne, wielkie, silne;

wieczne przywiązanie... Mówił do mnie z takim uszanowaniem, tak ostrożnie, tak bojaźliwie.

— Podają poziomki, chodźmy do pokoju — powtórzyła ciotka. — Seweryn został sam na sam z krajczym... nie bardzo go to ubawi.

Obie wyszły za służącą, która na półmisku wyniosła poziomki do pierwszego pokoju. Rozmowa była zupełnie obojętną.

Seweryn niezdecydowany wyjechał ku wieczorowi, tylko ostatnie wejrzenie Marji głęboko mu w sercu utkwiło. Ono mówiło mimowolnie daleko więcej niż wszystkie słowa — mówiło jasno, wyraźnie, boleśnie:

— Kocham cię...

— Chcą czy nie chcą — rzekł Seweryn jadąc — uratuję ich, zapewnię spokojność... Mnie nic nie potrzeba... mogę pracować. Zostanę lekarzem, wyjadę daleko, na Syberję, na Kaukaz... Kawałek chleba znajdę wszędzie. Przykro mi będzie opuścić to miejsce, gdzie leżą rodziców popioły — ale nad wspomnienia smutne, cóż tu więcej zostanie? Wspomnienia pójdą wszędzie ze mną... Ona będzie spokojną, będzie szczęśliwą... ja... mnie nic nie trzeba.

— Oddalić się od Marji ciężko, boleśnie zostawić ją tutaj wśród tych ludzi!

I przebiegając myślą, to sąsiedztwo zazdrosne, niełitościwe, szyderskie — wzdrygał się.

— Pozostanę — mówił znowu po chwili — bezemnie któż ich tu obroni od napaści? Na jednego hrabiego rachować mogę, że więcej nie zaczepi ich, dał mi słowo, a dotąd przynajmniej dotrzymuje słowa, ale inni...

Gdy tak duma, kłusowanie konia zwróciło jego uwagę,

ktos konny go napędzał; to pan Teodor Doliwa, ze smyczą chartów, w opiętym zielonym surduciku.

— Dobry wieczór panu!

— Dobry wieczór.

— Jak się udało polowanie?

— O! — wzgardliwie rzekł Warszawianin, przygotowując sygaro, które zawsze zapalał gdy był w towarzystwie, lub z kim się spotkał. — Nie mam szczęścia do polowania i pomimo, że kupiłem niesłychanie drogo dwa najlepsze charty w sąsiedztwie... zawsze powracam próżno i śmiech tylko matki mam w zysku. Nie jestem stworzony do polowania.

Pan Teodor chętnie udawał poetyczną duszę.

— Co za śliczny wieczór! — dodał — nie znajdujesz-że pan, że myśliwstwo może być tylko dobrym pretekstem zachwycania się naturą i słodkich dumań sam na sam z sobą?

Seweryn kiwnął głową z uśmiechem.

To niedowarzone pacholę grało dalej poetycznego młodzieńca.

— Myślistwo dobrze się zowie... człowiek myśli gdy jest sam z sobą... A natura! natura! Cudna! nawet w naszym kraju!

— W naszym kraju jak gdzieindziej, ja myślę...

— O! i ja zachwycam się tem co jest własne, ale wyznasz pan...

— Nie byłem w obcych... nie mogę sądzić; ale znając Karpaty z jednej, brzegi morza Czarnego z drugiej strony, Litwę i Podole... nie wiem czy możemy komu piękności przyrodzenia zazdrościć.

— Zapewne — rzekł pan Seweryn, zapalając sygaro — wszakże...

— Słyszałem — przerwał nagle — że pan wykurowałeś hrabiego?

— Zrobiłem co mogłem w niebytności lekarza, ale nie wiem czym mu dopomogłem.

— Pan byłeś u niego?

— Chwilkę...

— Śmiem pana zapytać, czy to prawda, że ta Niemka...

— Co takiego? — marszcząc się spytał Seweryn.

— Że ta Niemka śmiała napastować go. — I złośliwie się uśmiechnął.

— Napastować? mnie?

Seweryn się śmiać zaczął i widząc, że już usłudni sąsiedzi zrobili sobie pasztecik z figla tego, opowiedział jak rzecz była.

— Myśmy słyszeli — rzekł Doliwa — że to wcale było inaczej, że hrabia furjował, że ją uderzył, że pan...

— Daję panu słowo honoru, że było jak opowiadam.

Wyjeżdżali z lasu.

— Mogę pana prosić do siebie? — rzekł Teodor wskazując na czerniejącą nieopodal Pokotyłowszczyznę.

— Jestem nie ubrany...

— Matki mojej nie ma w domu...

— Służę panu...

Nie chciał odmawiać Seweryn, aby się bardziej w tem nieszczęsnem sąsiedztwie nie narazić. Pojechali więc ku Pokotyłowszczyźnie. Opisaliśmy wyżej króciuchno sadybę Doliwów, w której była ochota wszystkiego i pretensji pełno. Najgorszem ze wszystkiego, że długi nie dawały skutecznie rozwinąć tysiąca myśli, które państwu Doliwom przychodziły.

Dziedzińczyk był osztachetowany i osadzony, ale że sąsiadował z folwarkiem, pasły się na nim kury; gęsi i

świnki, na które z wielką furją powstał pan Teodor wprawdzie, ale bezskutecznie. Sztuka grubego płótna wisiała na sztachetach. Brama niby gotyckiego rysunku świeżo poczerniona, na niby żelazną, zamykała podwórze od drogi. Facjata domu zubożonego była markizą z szarej dwudziestki, oszyta życzką ponsową, spartą na słupkach zielonych — i galerją zaszkloną, której koloryt niesłychanie bogaty świadczył o wysokim guście i talenci malarza. W ganku kwiaty!

Tak jest, zeschła róża miesięczna, powiędłe dwa agapanthusy, ogromny aloes, cyprys biedak wychudły i siła geranium, teraz przeistoczonych na pelargonję. W kąciку wstydyły się karolinki z żółtymi jagódkami i jakiś tam jeszcze chwast użyty na zatkanie próżni.

Sień, do której weszli, miała podłogę pomalowaną, ale w niej śmierzdzał łój i pomyje kredensowe do nie wytrzymania. Na prawo były drzwi salonu, ozdobnego w firanki amarantowe z niebieskimi, meble także i parapetowe drzwi z porterją (!) herbowną. Porterja ta szyta była na kazimirku pasową włóczką i wisiała krzywo, biedno, chudo, że aż żal było na nią patrzeć.

W poprzek salonu ni z tego ni z owego wyrwał się tak postawiony fortepian, że kąś ogromny odcinał, dla tego tylko, aby stanąć ukosem. Nic nie przystawało do ściany, wszystko go naśladowało, kanapy, stoły miały minę, jak gdyby zląklszy się czegoś, uciekły na środek. A tak tych gratów było pełno, że z trudnością można się było między nimi przecisnąć. Główny stół okrył się ogromną serwetą do ziemi i nie do twarzy mu z tem było wcale, ale któż wie co serweta zakrywała?? Nad kominem było zwierciadło w ramach — z papieru złoczonego, okryte gazą od tych much niegodziwych, które

dla niczego nie znają należnego szacunku, nawet dla tego co się złotem świeci. Zegar, wyobrażający gmach gotycki z wieżą, stał dwojako, to jest stał i nie szedł. Obok pod kloszami dwa wazon-y z robionemi kwiaty. Na ścianach olejne obrazy, portrety Doliwów z herbami u góry, Magdalena i Michał Archanioł w czarnych ozdobnych swą prostotą i plamami na ramach. Posadzka woskowana ugiwała się elastycznie pod nogami.

Zaledwie weszli w ganek, sługa rozebrany skrył się za szklaną przegrodę i po chwili dopiero ukazał się w zgrzebnych spodniach i migdałowym z *herbami* fraku.

Pani i pan Doliwa znaleźli się w salonie, z tonem powagi i protekcji pełnym przywitali Seweryna. Stary nie żenując się pozostał przy piecu, w szlafroku, rozkazawszy podawać herbatę. Jejmość rozsiadła się na kanapie milcząca, kwaskowata, dająca uczuć Sewerynowi, że śmiał przyjechać w surducie; a chociaż się z tej mimowolnej niegrzeczności wymówił, nie wiele to pomogło.

Poczęła się rozmowa, panie odpusć! po cóż bym ja miał stenografować, gdy tyle jej podobnych słyszeć musieliście, pełnych dumy a uszczypliwych słówek, przekasów, plotek i litościwych utyskiwań pozornych, z pod których tylko złość wygląda.

Każde tam zapytanie, odpowiedź każda, odchrząknięcie, kaszelek, ruszenie ręką, podniesienie ramion, miało głęboko wyrachowane znaczenie.

A ile nakręcał i wysileń, aby się ze wszystkim pochwalić, aby wszystko pokazać! Pan Doliwa chwalił się rodem, stosunkami, znaczeniem, gospodarstwem, majątkiem; pani salonem, fortepianem, biskupem stryjem, siostrą marszałkową, znajomym księciem, kucharzem warszawskim i kto ich tam zliczy — czem! Panicz muzyką,

znajomością Warszawy, czytaniem romansami, poetyczną duszą. A żeby to wszystko w jedną rozmowę złączyć, zamalgamować, zlać, zbić i nigdzie szwa nie pokazać, ile sztuki, ile wybiegów, ile wyszafowanej zręczności.

Im gość poczetniejszy, tem wysilenie to większe. Z prostym bo żydem, widzicie (i żydowi się w takich domach nie darowuje) nie ma ceremonji, bierze się go, prowadzi i sypie mu kolejno wszystko jak z rękawa.

Patrzaj na to, zobacz to, posłuchaj to. Z szlachetką trochę trzeba zachodu, a wyżej, to już mozolna praca doprawdy. Pani Doliwowa nie bardzo się żenując z Sewerynem, doskonale była śmieszna. Przyszło do tego, że dla większej impozycji kazała synowi grać na fortepianie walce Straussa, przez cały czas muzyki jego potrząsając głową z głębokiego uczucia. Gdy skończył, dopiero spojrzała dumnie na gościa, jakby mówiła:

— A cóż kochanku? a co? albośmy nie wielcy ludzie?

Ojciec z gębą otwartą wyekstaszowany także, admirał i w dłonie klaskał.

Podano herbatę.

Któż nas uwolni z niewoli herbacianej? kto nas upoważni do odmówienia bez niegrzeczności tej szklanki wody ciepłej, przygotowanej w kredensie przez brudnego sługę i gwałtem narzuconej, *sub poena indignationis*? Seweryn krztusił się a pił, wylać nie było gdzie. Szczęściem gość jedzie, wszyscy do okien; on mógł podlać nią stojące pelargonjum, któremu nie wiem jak uszła ta ciepła wanna.

— Któż to?

— Kto to?

— Pan Hasling.

Wszyscy siedli robiąc miny wzgardliwe. Pan Hasling

nie bardzo był lubiony i chętnie wyśmiewano się z niego, zwłaszcza u Doliwów, którzy chcieli być ludźmi dobrego tonu i poczynali od nielitościwego z wszystkiego co ich otaczało szyderstwa.

Hasling potknął się na ganku i mało nosem nie zawadził o kolumnę pękłą, tak się spieszył; potem potknął się powtórnie na progu, a pan Doliwa rzekł chrząkając:

— Pijany; będziemy mieli komedję.

— Dziękuję panu za nią — odparła jejmość — połamie mi *membre* i zwała *posadzkę* buciskami.

Meble były tego rodzaju, których sztuka kupuje się po rublu; a posadzkę robił domowy cieśla.

Otworzyły się drzwi i twarz pana sąsiada z oczyma wytrzeszczonemi, z czupryną najeżoną, z gębą otwartą, z wyrazem jakiegoś niepokoju, ukazała się w nich. Wszyscy poznali, że Hasling nie był pijany, jak się domysłali, ale coś mu nadzwyczajnego trafić się musiało, bo wpadł piorunem, jękając się pocałował z odgłosem rękę jejmości, uściskał przytomnych i padł na krzesło zadyszany.

Potoczył wzrokiem.

— Co ci panie sąsiedzie? — spytał Doliwa.

— Co mi! właśnie... właśnie miałem zacząć... Nowina osobliwsza, niepojęta nowina.

Jejmość i jegomość z krzesła się zerwali i podbiegli ku niemu.

— Cóż to jest panie Hasling?

— Rzecz niesłychana... Uważajcie państwo tylko... jeszcze cały jestem jak oparzony... głowę postradałem.

— Coś politycznego?

— Gdzie zaś! Nowina tycząca się nas wszystkich... okolicy.

— Ale mów-że panie Hasling.

— Właśnie chciałem mówić.

Trzeba wiedzieć, że nikt marudniej nie opowiadał, więcej śliny nie łykał, nie chrząkał, nie jękał się, nie gestykulował, nad Haslinga. Uciekano zwykle od niego, gdy mówić począł, bo z szczególnym talentem każdą swą powieść począł prawie od potopu, a żadnej skończyć nie mógł — przerywano, bo końca by jej do sądnego dnia nie było. Zapowiedziana więc nowina, gdyby nie malujące się na całej jego postaci wzruszenie, niepokój — byłaby pewnie rozpedziła wszystkich.

— Z rana wstawszy — mówił pan Hasling.

— Zaczynaj lepiej po objedzie — przerwał pan Teodor.

— Ale proszę mi nie przeszkadzać!

Słówka tu wyrzucić nie można... Zrana tedy wstawszy.

— A czy nie możnaby w krótkości tak, summaryjnie — szepnął ojciec.

— Opowiem jak najkrócej, tylko mi dajcie mówić państwo.

— Otóż tedy... Na czym-że stanąłem?

— Z rana wstawszy! — powtórzył pan Teodor.

— Tak jest, z rana wstawszy, panu Bogu się pomodliwszy...

— Kochany panie, a nie możnaby tych drobnych szczegółów...

— Jak mi Bóg miły, jadę nie nie powiedziawszy, jeśli mi państwo nie dozwolicie *detalicznie* wszystko opowiedzieć.

I ruszył się z krzesła.

— Ale nie gniewaj-że się... siedź, mów, będziemy mieli cierpliwość... słuchamy, herbaty dla pana Haslinga.

— Herbata nie zawadzi! Słuchajcież.

Ciekawość zaostrzona była w najwyższym stopniu. Hasling dopiero postrzegł Seweryna. — A i pan tu? witam!

— Witam!

— I dla pana to także ciekawa nowina!

Seweryn się skłonił w milczeniu.

WIEKKA NOWINA.

— Z rana wstawszy, panu Bogu się pomodliwszy, suknie na siebie wdziawszy, herbatkę wypilem, i że to mi dziś wypadało być u marszałka, ruszyłem za tym przekętym interesem moim w szlacheckiej Opiece... Państwo wiedzą jaki mam interes w szlacheckiej Opiece?

— Wiemy, wiemy!

— Prykaz u mnie się dopomina zaległości, którą Bogiem i kwitem się świadczę, opłaciłem. Tandem zatachlowali sekretarz djabeł wie tam z kim, a mnie każą drugi raz opłacać. Marszałek za mną, podałem do gubernatora... i...

— Ale nowina panie Hasling...

— Powoli, idziemy do niej...

— Jechałem tedy do marszałka...

— I nie dojechałeś?

— Ale proszę mi pozwolić mówić! nie dojechałem; dla czego nie dojechałem, zaraz się to wyklaruje.

— Tymi samymi tedy konietami, tą samą bryczeczką, którą tu jestem, z moim chłopakiem Trofimem... jadę...

— Jedziesz i zajeżdżasz...

— A! na Boga! mówić przestanę...

— Cóż się tak rzucasz i gniewasz...
— Bo mnie to przerywanie mięsza. Na czym-że stanąłem?...

— Jedziesz — stęknął Seweryn.

— Jadę, jadę, jadę, jadę... państwo znają drogę odemnie ku Nakotom, droga piekielna! z korzenia na korzeń, z pnia na pień, z dyla na dyl, stuk, pęc, łup... okropna droga.

Jadę, jadę, przebyłem groblę do Nakotów prowadzącą, szatańską, nabiłem Trofima dobrze w plecy, za każde szturchnięcie, już widzę Nakoty, już się cieszę, że dalej przynajmniej po gładkiej drodze się posunę. Kończy się grobla, tuż karczma... stój! wytechnąć potrzeba, wyciągnąć się... Wyciągam. Aż tu... powóz przed karczmą... Patrzę... nieznajomy. Co za licho. Znam wszystkie powozy w sąsiedztwie; konie pocztowe, powóz nie tworny, ale porządny dość, tylko że obłocony, owalany. Jakiś lokaj chodzi i tabakę zażywa, jakiś jegomość otwiera drzwiczki i wyłazi. Ja... niby za potrzebą zbliżam się, mijam. On do mnie:

— Za pozwoleniem waćpana dobrodzieja!

— Co pan rozkaże?

— Pan z tych stron?

— O milkę...

— Zna pan Górów?

— Jak moją kieszeń... przyjaciel mój pan Kulikowicz tam mieszka.

— A więcej nikt?

— A, pan krajczy!

— A więcej nikt?

— A nikt.

— A kogoż pan potrzebujesz? — pytam tedy.

— Ja tu mam, powiada, interes do — szuka pugilaresu. — Ja jak na szpilkach. Nuż tedy drabować po pugilaresie. — A tak! tak! do krajczego! do jego domu, w jego domu! Nie mógłbyś mi pan dobrodziej rozpoznać drogi?

— Najchętniej, powiadam, ale pan mi za to zechcesz choć nadmienić co to za interes.

— Nie mam w tem sekretu, mówi, proszę na tabaczkę...

I dał mi tabaki, a tabakę miał wysmienitą, że nie pamiętam kiedym taką zażywał, przymówiłem się nawet, że mi trochę dał do tabakierki... Chcą państwo spróbować? — Nikt się nie zgłosił, mówił więc dalej:

— Droga... tedy, mówię, idzie od Nakotów, pod dworu, przy Lamusie kręto w prawo na las. W lesie będzie krzyż, u krzyża dwie drogi, weźmiecie się prawą, prosto, prosto do wsi... Od tej wsi, minawszy trzecią chatę, u starej gruszy...

— Przecież tę drogę wiemy... panie Hasling.

— Ale słuchajcież państwo... na czym stanąłem? A! podle gruszy tedy... podle gruszy w prawo ku błotku na grobelkę, grobelką wprost do pierwszego mostku, potem za mostkiem na lewo i jak strzelił do Górów. A w Górówie dwa dwory, nowy pana Kulikowicza, stary z drzewami krajczego.

— A teraz powiedz mi pan co za interes?

— Pan jesteś sąsiadem? mówi...

— Jestem.

— Ciesz-że się...

— Bardzo mi przyjemnie, że się mogę cieszyć... ale z czego?

— Z tego, powiada, że oto pani wojewodzina za granicą Bogu ducha oddała, bezdzietnie i bez testamentu.

— A dla czegoż mnie to ma cieszyć?

— Skutkiem tego ogromny, kilka milionów złotych wynoszący majątek, spada na synowicę krajczego i pannę Scholastykę...

Wszyscy krzyknęli z podziwieniem.

— Panie Hasling, to bajka, to być nie może! kilkadziesiąt tysięcy, niech sto, ale miliony! Słyszeliśmy o wojewodzinie, ona nie miała takiego majątku. Co się panu dzieje, on żartował z waćpana.

— Gadajcie zdrowi, nie jestem i ja w ciemie bity. Mówię tedy: Żartujesz ze mnie wać pan dobrodziej, to być nie może. A on *ad acta* do kieszeni i prezentuje mi papier stempłowany, w którym stoi wyraźnie: trzy miliony kilkakroć *extra* mobiljów...

— A co! nie nowina! — zawołał.

Frasunek, kłopot, zdziwienie, niedowiarstwo, odmaloowało się na wszystkich twarzach. Jeden Seweryn pobladł bardzo i musiał się zeprzeć na poręczu krzesła. Jejmość chodząc poczęła zamyśloną, jegomość ręce załamał i śmiał się; a pan Teodor czuba muskał i poświstywał.

— Ja zawsze mówiłem — odezwał się — że to było niegodnie, nie pięknie takie awantury wyrabiać, jawne niegrzeczności pannie Scholastyce i pannie Marjannie.

— Cha! cha! — rozśmiał się Hasling — a kto ich więcej narobił od państwa. To ja się tylko za nich zawsze ujmowałem, żaden z moich synów do tego się nie wmięszał.

— Już co to, to wierutne bajki — gorąco zakrzyzczała jejmość — żebyśmy co im zrobili, bo... zawsze byłam dla nich grzeczną.

— I ja — dodał jegomość — świadcę się całem sąsiedztwem.

— I ja — rzekł Hasling — do mnie nie mogą mieć żadnej urazy.

Twarz pana Teodora mówiła wyraźnie choć cicho:

— Pójdę i zwycięzę...

— Bo też to były niegodne te prześladowania — dodał jegomość. — To dobra familja, bardzo zacni ludzie!

— Oho! a pamiętasz pan — zawołał Hasling — coście o nich mówili nie dalej jak przeszłej niedzieli?

— Co? my? a proszę nie bałamucić, jeszcze by kto doniósł, na co sobie mamy robić nieprzyjaciół?

— Panie Hasling! panie Hasling! to się nie godzi! — Hasling ruszył tylko ramionami.

— Moje sumienie czyste — rzekł — nigdy ani ja, ani żadna z moich córek nie odmówiła pannie Marji i Scholastyce miejsca w swojej ławce.

— A któż im odmówił? — spytała kwaśno Doliwowa i ruszyła ramionami sobie. — Zresztą co nam do tego, że pobogacieją... nam to ni śmierdzi ni pachnie.

Pomimo tak wyraźnego zapewnienia, niepokój widoczny na twarzach wszystkich zdradzał, jaki w tym wypadku udział brali. Seweryn, którego wiadomość tak jak kosa podcięła, byłby natychmiast uciekł, ale lękał się, żeby go nie posądzono, iż chce wszystkich uprzedzić do Górowa.

Hasling wypiwszy herbatę, zabierał się jechać nie wiadomo czy dalej dokąd z nowiną, czy prosto do domu, gdy nadbiegł piechotą z bliskiego dworku w płóciennym surduciku, takich-że spodniach i czapce, z fajką na krótkim cybuszku pan Fabjan. Wieść piorunem lecąca doszła była już do niego, chciał się spotkać z Haslingiem

i z własnych ust jego dowiedzieć, czy to prawda była, z czem do niego przyjechał arędarz z Nakotów.

Ukazanie się pana Fabjana przyjęła jejmość ruszeniem ramion z nieukontentowaniem.

— Nie wiedzieć na co ma to się tak rozchodzić — mruknęła.

A wykrzyknik ten nie był bez pewnej rachuby.

— Prawda? — spytał na progu pan Fabjan. — Dobry wieczór państwu! prawda to panie Hasling, co mi mówił arędarz z Nakotów?

— Jak mnie widzisz żywego!

— Ale niech-no mnie pan opowie.

— Posłuchaj... Rano wstawszy...

— E! najniższy sługa, pan zaczyna od rana! niech mi pan powie kwint-esencję! Panna Marjanna miljonowa?

— Nietylko panna Marjanna, ale i Scholastyka.

— Osobliwsza rzecz — zawołał chodząc po pokoju zamysłony przybyły.

Pani Doliwowa odezwała się z kanapy:

— Teraz musisz pan żałować i za siebie i za matkę, żeście tym biednym pannom tyle nadokuczali.

— Ja? — rzekł zatrzymując się nagle Fabjan — ja?

— Pytam się ktoś więcej? Juściż nie my!

— Ani my, szanowna pani! Moja matka do łez się zawsze rozczulała ich pozycją.

— A nie puszczała ich usiąść przy sobie w kościele — dodał Hasling.

— Nigdy! to są potwarze! — zawołał młody chłopiec — szanowaliśmy...

— A coś pan im i krajezemu nawygadywał na kościelnych schodach, nie dalej jak na pierwszy dzień wielkanocy?

— Ja? — powtórzył Pokotyło — ja? niech się pani spyta, kto tam pierwszy grał rolę!

— Mój syn nadto dobrze jest wychowany — odezwała się z urazą pani Doliwowa — żeby się miał mieszać do takich awantur? my umiemy szanować nieszczęśliwych.

Spór ten groził przerodzeniem się w formalną kłótnię, gdy z drugiej strony nadbiegł stryj pana Fabjana, porucznik Pokotyło; zdyszany, spocony i ledwie mówić mogący.

— Słyszeliście państwo — krzyknął w progu — nowinę osobliwszą... nowinę...

Gospodyni domu wyraźne okazała nieukontentowanie.

— Patrzcie, już wszyscy wiedzą! — I odwróciła się od wchodzącego.

— Nowina taka, że do wiary niepodobna.

— Ja pierwszy ją miałem — przerwał pan Hasling.

— I to prawda?

— Sam widziałem tego prawnika, co pojechał do Górowa.

— Sam widziałeś?

— I pokazywał mi papiery.

— Papier — kwaśno przerwała Doliwowa — jeden tylko papier, powiadałeś?

— Papier czy papiery, dość, że czytałem, miljony.

— A! jak-że się cieszę! — zawołał porucznik — teraz zostaną zawstydzeni wszyscy, co tę nieszczęśliwą familję prześladowali! my tylko z Fabjanem wierni byliśmy nieszczęściu.

Przytomni parsknęli, porucznik osłupiał.

— Co to znaczy?

— Cha! cha! cha! — trzymając się za boki wołał

Hasling — teraz wszyscy są dla nich z przyjaźnią i szacunkiem.

Sąsiedzi rzucali na siebie oczyma ognistemi, a pani Doliwowa wyszła czerwona od gniewu do drugiego pokoju, kiwając na syna.

— Mój Teodorku — szepnęła mu — wyprawcie tam jak możecie tych gości... potrzeba się nam naradzić, rzecz nie cierpiąca zwłoki.

— Co mama każe?

— Trzeba ci pomyśleć, żebyś był pierwszy w Górowie, niby o niczem nie wiedząc. Teraz wszyscy rzucają się tam jak krucy na pastwę! Cheiwość obrzydliwa już nimi miota! Szkaradni ludzie! Nam trzeba z taktem i głową postępować. Mój Teodorku, jesteś młody, chwała Bogu przystojny, dobrego rodu, pięknego wychowania; pannie się podobasz łatwo... nie godzi się takiej zręczności opuszczać. Ale nadewszystko o to chodzi, żebyś był wprzód nim inni; i niby nie wiedząc o spadku. Ja także będę. Trzeba się nam naradzić, jak tylko się rozjadą, powiedz ojcu na ucho, żeby ich broń Boże nie zatrzymywał na wieszak... broń Boże! słyszysz? musimy się naradzić!

Szybko wrzuciwszy tę myśl synowi w ucho, pani Doliwowa weszła bokiem do pokoju i siadła z miną obojętności zupełnej na kanapie.

Żwawa sprzeczka tymczasem zajmowała przytomnych, nikt teraz przyznać się nie chciał do prześladowań i niegrzeczności, każdy je zwał na sąsiada. Skutkiem tego zrzucania z jednego na drugiego, skończyło się, że nieprzytomny Kulikowicz musiał wszystko wziąć na swoje plecy.

Ledwie tak uradzono, gdy wózek Kulikowicza stanął przed domem.

— A to kara Boża! nasłanie! — zawołała jejmość.

Jeszcze w sieni Kulikowicz już wołał:

— Prawda to? prawda to? — a Hasling śmiejąc się odpowiedział mu:

— Sam widziałem, czytałem, mówiłem i tabakę zażywałem.

— Osobliwsza rzecz! Upadam do nóg pani dobrodziejki... Ot! niesłychany wypadek.

W tem postrzegłszy Seweryna dodał:

— Nasze układy za nic, ja nigdy nie upierałem się, żeby odzyskać prędko moje. Tyle byłem powolny!

Seweryn się uśmiechnął.

— Alboż nie? Nikt lepiej nie życzył domowi krajczego... dałem im dowody.

— To prawda! — rzekł stary Doliwa.

— Sąsiadując w Górowie, nigdy im nie naprzykrzałem się jak inni, zawsze.

— A trzoda krajczego do tej pory u pana.

— To bez mojej wiadomości! Ekonom... głupi ekonom; zawsze mu wmawiał delikatność! W każdym interesie delikatność to pierwsza rzecz! Ale z tymi gburami!

— Oj! prawda, że z gburami — zawołała rozgniewana pani domu, wstając znowu z kanapy i wywołując Teodora.

— Teodorku! — rzekła szybko. — Już widzę co to się święci! Nam koniecznie potrzeba wszystkich uprzedzić! Ja ci powiadam, że teraz wszyscy pójdą w konkury, a ten podły diaczek Kulikowicz gotów do panny Scholastyki smalić cholewki. Na jutro każ przygotować

sobie nasz kocz... jedź z ojcem. Już ja ojca nasztynuję. Pamiętaj że nic nie wiecie... nie wiecie o sukcesji! Weźmiesz frak nowy od Sokołowskiego, liberję, konie pójda gniade! Każę cię ufryzować... a bądź wesół i grzeczny... Cała rzecz, abyś w oko wpadł pannie i potrafił z siebie zrzucić różne tam drobne niegrzeczności, które z płochości i cudzego poduszczenia mogło się zrobić... Bo może tam co i było, mówiąc między nami!

— O! i dobrze było! — rzekł wzdychając pan Teodor, — gdybym był mógł przewidzieć!

— Gdybym była przewidziała! — stękając dodała Doliwowa, — dawnobym u nich była z wizytą... Ale człowiek nigdy się w porę niczego nie domyśli. Teraz tylko żywo, a jeszcze możemy drugich uprzedzić! A teraz żeby się nie domyślali nadaremnie jakich konszachców... wracajmy do pokoju!

Gdy się to dzieje, porucznik Pokotyło żywo żegna państwa Doliwów i uchodzi uprowadzając z sobą synowca... wychodzą za bramę, chwyta za rękę Fabjana.

— Dusieczko — powiada po cichu — jutro do Górowa my z tobą, weźmiesz z sobą muzyczkę. Trzeba korzystać z pory, ja do panny Scholastyki, ty do pięknej Marysi. A tak, jak gdyby nigdy nic! jakbyśmy nie o tej szalonej sukcesji nie wiedzieli! Rozumiesz?... Chwała Bogu że do tych prześladowań podłych nie należeliśmy! Niech teraz żałują ci co w nie palce umoczyli, my nie mamy sobie nic do wyrzucenia.

— Djabła tam stryjasku, — rzekł naiwnie pan Fabjan. — A owe śmiechy w niedzielę...

— Alboż to ja?

— Ani ja!

— Juściż! to Kulikowicz wszystko robił.

— Nigdyśmy nie byli w Górowie...

— Ja znam trochę krajczego, znajdziemy pretekst. Cała rzecz żeby innych uprzedzić.

— I myśli stryj, że co wskóramy?

— Kochanku! zobaczysz. Niedarmo głowę noszę na karku! Cała rzecz żeby innych uprzedzić, bo to cheiwey, bo to się zaraz tłumem zleci teraz do Górowa... ale my niby nie nie wiemy o tem...

Byli właśnie naprzeciw dworku pani Pokotyło, matki Fabjana i zatoczyli się w dziedziniec.

Patrjarchalny to był jeszcze dziedziniec, ubrany jak Bóg przykazał, w to co do gospodarstwa posługiwało... rzędem naiwnie na soszkach bieliły się motki, tuż na trawie schły czarne hładysze od mleka, dalej próżne nasypki i wywrócone beczki gawroniły się w górę. Między dwoma starymi drzewami sznur zaciągnięty utrzymywał świeżo wymytą i schnącą bieliznę... Na ganku, na ławeczce, pani Pokotyło w szlafrocisku perkalikowym, siedziała i motała nici dla agitacji. Nieopodal od niej chłopak bosi, wiązał niewód. Klucznica dawała jeść indycetom, z wielką uwagą, aby sobie nosów nie porzobiły na miękkiej trawce.

Porucznik ciągnący za sobą pana Fabjana, posunął się żywo do ganku.

— A jak się pan brat miewa?

— Dobry wieczór Jejmości.

— A wie mama nowinę?

— Co za nowinę?

— O sukcesji?

— Na nas! — podskakując zerwała się staruszka.

— Ba, żebyż! ale na pannę Marjanę i Scholastykę, miljony!

- Jezu Chryste mój panie, a tóż zkąd?
- Prawdziwie jak z nieba! ktoś tam umarł... i...
- Otóż tobie śmiech! a tyleśmy się nadrwili z nich!
- My, kochana mamó?
- A juściż kochanku!
- My! nigdy, — zawołał pan Fabjan. — Nawet mama zawsze miała litość nad nimi i wybierała się do nich z wizytą...
- Ja! Fabku? w imie ojca...
- My jutro, — rzekł z cicha porucznik — jedziemy, trzeba z czasu korzystać. Prowadzę Fabjana do Marji... Potrafi się podobać!
- A! ten kotek kochany, komu by się on nie podo-
bał! — składając ręce zawołała matka.
- Ja... przyznam się bratowej... także trochę myślę.
- Panna Scholastyka, nie stara jeszcze, a ja...
- Niewiedzieć co! niewiedzieć co! — śmiejąc się do
rozpuku i klaskając rękami poczęła wołać stara jejmość. —
A to cała komedja (pani Pokotyło była rodem z Galicji
i dla tego mówiła *cała komedja*.) — Ty! panie bracie!
z panną Scholastyką! Cha! cha!

Porucznik cofnął się obrażony widocznie.

- Cóż to tak zabawnego?
- A niechajżeż Fabcio do tej ślicznej Maryni (bo ja
zawsze mówiłam, że Marynia śliczna panienka), ale to-
bie panie bracie...
- Pani bratowa żartujesz sobie ze mnie?
- Ale bo panie poruczniku!
- Cóż mi brak?
- Ale panna Scholastyka, bratuniu?
- Ot... powiem szczerze, że jeszcze wcale przystojna

i co więcej, rozsądna bardzo; a grunt w małżeństwie na
rozsądku, nie piękności.

Stara ruszyła ramionami, porucznik ciągnął dalej.

— Tak tedy, jutro rano jedziemy z Fabjanem.

— Trzeba nam się tylko naradzić jak. Oto jednym
moim powozikiem sprzężem nasze konie do maści, moich
gniadych para, waszych para, moje kłacze w lejc...

— Ale moje w dyszlu nie chodzą...

— A! i moje...

— A cóż będzie...

— Pojedziemy nie maścistemi... Wasan masz w co
ubrać porządnie człowieka?

— Po kozacku!

— Dobrze, to teraz w książęcych domach się prakty-
kuje... po kozacku...

— Poczekajcież no — przerwała jejmość, — trzeba
dla Fabcia kazać wyprać i wyprasować maniszkę...

I wyszła.

— A nadewszystko — dodał porucznik — cicho! sza!
Jedziemy niby gdzieindziej, wstępujemy, a o sukcesji nic
nie wiemy!

— Dobrze stryjasku!

— Dobra noc.

I porucznik pośpieszył do domu.

Wszyscy powoli rozjechali się od państwa Doliwów,
miotani jednemi myślami i z jednym prawie projektem.

Hasling pośpieszył do swojej wioseczki, gadając do
siebie przez cały czas drogi...

— Jadę do domu... starszego syna biorę i jutro do
Górowa. Choć jestem wdowiec ale wyglądam Bogu dzięki
i... nie zgorzej. Gdzie porucznikowi do mnie, choć po-
dobno młodszy! Cicho! rano, niby nic, z Adamem ru-

szymy... Adam chłopiec piękny, dla Marji pretendent! Ja sobie do panny Scholastyki... Zawsze miałem jakiś dla niej szacunek i sympatję! Dobraż bo to panna! i głowa nie lada! Krajczy choć do rany przyłożyć. Bardzo godni ludzie. Adam się podoba! oto! dziewczica z Śliwina szaleje za nim! chłopiec jak róża... A to się tam teraz konkurenci posypia!

Ledwie był w dziedzińcu, zeskoczył z bryczki i nie mogąc tajemnicy utrzymać w sobie, klusem pobiegł do domu.

Dwór Haslingów stał w Olszynie starej. Była to szlachecka zagroda, na lewo i prawo wsią otoczona, z sadem, lamusami, sernikiem, stodołą itd.

Drewniany mieszkalny dwór o dwóch gankach, z pochylonym dachem, otoczony płotkiem z brzeziny, w którym rosły malwy i słoneczniki wspinałe, trochę był z jednej strony zasunął się w ziemię. Dwie panny Hasling w białych spodniczkach i kaftanikach czy kacawejkach perkalikowych, używały świeżego powietrza koło domu. Ujrawszy ojca podbiegły ku niemu.

— Adam w domu? — zawołał zdyszany...

— Nie ma!

— Ot tobie na! a gdzie?

— W Śliwinie...

— Tak! przy owej piękności! a tu! a wy nie nie wiecie!

— Cóż mamy wiedzieć?

— Chodźcie, chodźcie do pokoju! To mówiąc wpadł w ganek na lewo, potknął się na siedzącym w progu kocie, klnął i wpadł uderzając głową o niskie drzwi, do tak zwanego bawialnego pokoju.

Pokój ten z prostym półapem, na którym belki bez

ceremonji wyciągały się z prostą ale czystą podłogą, wybielony świeżo, miał piec kaflowy i kominek zamurowany z parawanikiem szytym ręką starszej córki. Na gzymsie komina leżały dwie żółte tykwy i stali dwaj chińczycy gipsowi, kiwający głowami. Papuga podobno, pstro malowana patrzała w oknie. Hurmem się do niej parobcy schodzili, gdy głową kiwała. Lusterko w ramach mahoniowych od toalety zdobiło komin o alabastrowych kolumnach, z bukietem kwiatów na czole.

Na ścianach dwa ogromne oprawne za szkła arkusze, z cyframi ojca, przez przywiązanych synów odmalowanymi i ofiarowanymi na imieniny jego; wykrzyknikiem *Vivat*, i palącą się na ołtarzach wdzięczności *ofertą uczuć życiowych*, jaśniały.

Dwie rysowane kredką głowy, obok nich umieszczone, talent Haslingów młodych silniej jeszcze dowodziły. Białe franki z czerwoną frendzlą zwieszały się u trzech okien. W kącie komoda czeczotkowa ubrana w filizanki, kieliszki, dwa lichtarze i tacę czerwoną, współ z nowym samowarem, miejsce najwidniejsze zajmowała.

Tu stał i cybuch paciorkami szyty i wszystko, co dom miał najwytworniejszego na pokaz.

Ojciec padł na krzesło ze znużenia i począł stojącym opowiadać córkom, nieprzebaczając najdrobniejszym szczegółom. Panny Wanda i Irena łamały ręce i wykrzykiwały.

— A! papo! a! osobliwość! a! oto zdarzenie!

— Niechaj Omelko siada na gniadego i jedzie za Adamem do Śliwina, żeby zaraz powracał.

— Siodło zabrał gumieny.

— Niech jedzie oklep.

— I gniady kula, — uchyłając drzwi odezwał się Omelko sam.

— To siadaj na dropiatą...

— A to co? — rzekł parobek pokazując bosc nogi.

— Pożycz butów u Franciszka.

— O! właśnie on da!

— Powiedz że ja kazałem.

— Wiele to pomoże!

— Ireno! — zawołał Hasling — ty to ułatwisz, idź, daj Franciszkowi wódki kieliszek i niech Omelko zaraz jedzie, słyszysz? w ten moment!

— A i mnie kieliszek wódki — rzekł stojący we drzwiach.

— Jak powrócisz dwa! — heroicznie rękę podnosząc zawołał pan — i groszy dziesięć.

— No! to jadę! ale panny świadkami co pan obiecał.

— Jedź, a wracaj z panem Adamem... słyszysz!

— Duchem, prę i wracam!

— A Julian? — spytał ojciec.

— Julian poszedł na polowanie.

— A prędzej, — dodała Wanda, — że koło bab co pszenicę dopielają.

— O! to najprędzej — potwierdził ojciec, — zwłaszcza jeśli tam jest Chwedora.

— A! jakże, jest!

— Pewniuteńko koło niej! oj! szalawiła! szalawiła!

— Panny uśmiechnęły się odwracając skromnie.

— Ot i Julian! — zawołała Wanda.

Ogromny chłop, z fuzją na plecach i małą fajeczką w zębach wtoczył się do pokoju, mruczając jakąś piosenkę. Ubranie jego świadczyło, że wracał z polowania.

— Wiesz Julianie, — zawołał szybko ojciec.

— Wiesz Julianie, — zawołały obie panny.

— A co? — spytał nie uchyliwszy głowy myśliwy.

Tu Hasling począł mówić żywo, panny sobie, słowem ledwie się zrozumieć było można.

— A dla czegoż to papa posłał za Adamem? — wycedził Julian przez zęby, — spotkałem Omelka na dropiatej galopem. Klaczy zbawi.

— Bo jutro jedziemy z nim do Górowa.

— A dla czegoż z nim? Patrzajcie! — dodał — zawsze taki starszy u ojca lepszy, a ja...

— Już, już, poczniesz swoje!

— A pewnie że pocznę! Cóż to ja gorszego, żebym nie mógł jechać do Górowa! Adam się bałamuci, a ja...

— A ty latasz za tą...

— Kto to ojcu powiedział?

— Myślisz że nie widziałem?

— No! a gdyby i tak było? Co to ma jedno do drugiego. A ojciec jedzie do panny Scholastyki.

— A tobie dudku co do tego?

— Do tego! albo i do tego! A co na to powie...

— A! trutniu ty jeden! ty jakiś! — zaprzony krzyknął ojciec, dam ja ci tu.

— Otóż to tak zawsze, — mówił Julian — a Adam...

Jak na toż i Adam się w tej chwili przystawił i wszedł do pokoju. Był to drugi tom Juliana z tą tylko różnicą, że dłuższe wąsy i barczystsze plecy.

— Ojciec posyłał za mną? — spytał w progu.

— Bo latasz nie wiedzieć gdzie, a tu...

I znowu poczęło się opowiadanie.

Julian chodził i mruczał po niedźwiedziem; nareszcie zwrócił się do brata.

— Kiedy ty pojedziesz, czemu ja nie mam jechać?

— A jedź sobie!

— A jedź sobie! — dorzucił ojciec; — tylko że na mojej bryczce nas dwóch więcej nie siądzie.

Juljan wyszedł trzaskając drzwiami za sobą. Zaczęła się narada między ojcem, synem a starszemi córkami; Adam pokręcał węża i z tą ufnością jaką wzbudza świeże jeszcze szczęście, uśmiechał się pewnym będąc, że Marię jednym podbije wejrzeniem.

— Spuść się na mnie ojcze, — mówił, — już damy sobie rady, wiemy jak gdzie począć.

— O! ten łotr Adam, — dodała Wanda uśmiechając się, — takie ma szczęście.

— A gdyby się udało — rzekł ojciec, — skaptować jeszcze pannę Scholastykę! wyobraźcie sobie! miliony!

Z tą myślą szczęśliwą i różowemi nadziejami, rozeszli się przygotowywać do jutrzejszej podróży. My powróćmy do Doliwów, u których wielka po wyjeździe Seweryna i Kulikowicza toczy się narada.

Jejmość prezyduje, Teodor pomaga, a pocziwe ojczysko, siedząc wedle zwyczaju zimowego pod piecem, palcami kręci i głową i uśmiecha się.

— Dobry to koncept jejmości — powiada, — gdyby nie dać im poznać że wiemy o sukcesji, nie! nie! wizyta... wizyta!

Ale oni teraz głowy zadra!...

— Czemuż nie! — przerwała jejmość — miliony! Ale dzięki Bogu, mamy także coś za sobą, Teodorek się udał... Nie może się nie podobać Marji! A ród nasz, a ton na którym żyjemy... gdzie drugi dom podobny naszemu w sąsiedztwie?

— Co to, to prawda, — naiwnie wynurzył się pan

Doliwa, — gdzie taki salon jak jejmości? gdzie co podobnego? ja jestem pewny, że teraz wszyscy tam do Górów jak kruki nalecą, ale nie mamy się co lękać rywalów.

— A Seweryn? — przerwał Teodor, — on oddawna stara się i...

— Dajże już pokój! — z gniewem odparła matka, — najprzód, co on ma? nic nie ma, dzierżawca; i powtóre, co za ton? co za mina? gdzież porównanie do ciebie?

— O tem nie mówię — z głębokiem uszanowaniem dla siebie, przeglądając się w zwierciadle, — rzekł Teodor, — ale on zawsze był ze strony Górów i z nimi, oddawna bywa.

— To nie! a myż byliśmy przeciw nich?

— Toż gdybyśmy chcieli, takżebyśmy potrafili upokorzyć. Nam to łatwiej było niż komu innemu; a przecież nie nadużyliśmy naszej wyższości. Zresztą bądź spokojny. Ja sama tam będę i ja to biorę na siebie, ty tylko pannę rozkochaj.

Gdy Doliwowie radzą, konie sprzegają, powóz myją i trzepią; Kulikowicz jedzie wprost do Górów, do swego dworku, w czarnych myślach, podskakuje na bryczce i w głowę się bije.

— A! gdybym się mógł domyśleć... *Zrób mene weszczym, budu bohatym!* Teraz obrażeni być mogą na mnie, chociaż doprawdy nie ma za co; już lepszego sąsiada trudno. A i na te piętnaście tysięcy tak dawno czekam, i cicho siedzę.

Przecież kiedy nikt nie myślał o Marji, ja się już jej oświadczałem, to coś znaczy. Mam za sobą *prioritas* której nikt tutaj nie ma. Lichowi nadało te bydlę zabrać, ale dziś jeszcze wieczór odeszł... i grzeczny list

napiszę, niby nie nie wiem. To może być z dobrym skutkiem; bo wszystkich uprzedzę... Z oczów Doliwom patrzyło, że myśla syna swatać, ale zjedzą... potrafię im usłużyć i dowieść, że wszystkie te sceny były z poduczenia samej jejmości.

I to dobrze że ich mam pod bokiem, będę teraz mieszkał w Górowie i na wszystko patrzył. Zresztą, gdyby Marja nie chciała? Gdyby nie chciała?

Wszakże panna Scholastyka sama mi się oświadczyła. Mam świadków... było tak. Jeszcze nie stara wcale i... Jeśli ma w istocie miljon, a jak Hasling powiada, to przeszło półtora... dla czego bym się z nią nie ożenił? Należałoby sprawić sobie frak nowy. He? A nuż z tego nie nie będzie i nadaremnie się wyekspensuje? Granatowy jeszcze niczego. Dziś tedy bydło odesłać, bo jechać późno i niewypada, a jutro rano...

— E! kto wie! może i nienajgorzej moje interesa stoja!

Tak myśląc, ważąc, rozbierając, dojechał do Górowa Kulikowicz, i nie wchodząc do domu, pobiegł do ekonomu żeby bydło odesłać krajczemu.

Ale na nieszczęście, wedle dyspozycji trzoda odesłana została już do taksy. Kulikowicz mało się nie wściekł. Trzech konnych posłano aby je zawrócić. Ekonom nie mogąc pojąć co się dzieje, sam pojechał za nią.

A Seweryn?

On siadł na konia i poźegnawszy stojącego w ganku Teodora, puścił się kłusem do domu. Młody Doliwa, nie bez celu wyprowadzał go tak grzecznie, chciał zobaczyć, czy nie zwróci się do Górowa. Lecz gdy wszyscy tak pędzą w tę stronę, Seweryn smutny, blady, zgryziony, z bolem głowy powraca do domu. Co dla innych było

ponętą, jemu się nie przełamana stawi przeszkodą. Mógłby on, ubogi, sięgnąć po rękę kobiety, która dając siebie, da bogactwa? Marja mnie nie kocha! powtarza ciągle, Marja obojętna jest dla mnie.

Dopóki mogłem im dopomóc, dopóki byłem im potrzebny, nie opuściłem; teraz jestem wolny.

Z uśmiechem gorzkim na ustach, myśli o jutrze, o tem natrętnem, bezwzględnem parciu się wszystkich tam, gdzie niedawno szyderstwy tylko, prześladowaniem i nie-litościwą wzdargą biegli wyścigając się, na męczeństwo biednej rodziny. Teraz krajczy jest dla nich szanownym starcem, panna Scholastyka pełną rozsądku osobą, Marja aniołem piękności i dobroci.

Kulikowicz nawet należy do szeregu pretendentów... Przebiegając myślą wypadki dnia całego, zamyślony staje przed domem Seweryn... Szczęściem, kobiety ze wsi, chorzy, ubodzy czekali na niego, musiał zapomnieć i o sobie i sąsiadach, zwracając się ku nim.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



El. Orzeszkowa

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom trzydziesty.

MILJON POSAGU

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzone i poprawione przez Autora.

TOM II.

LWÓW.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 10.

1872.

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.





NOWINA W GÓROWIE.

Smutne było życie w Górowie.

My gospodarze, nawet bardzo czynnie zajmując się, tem co się zowie gospodarstwem wiejskiem, ledwie nieustannie nachodzącej pracy, wydołać możemy i dać jej przyzwoity kierunek. Od tego kierunku zależy pomyślność we wszystkim. Z jednakową siłą, jednakimi środki pomocniczymi, na podobnych gruntach, w jednostajnych położeniach, dwa folwarki różnie administrowane, dadzą i odmienny wcale plon i nierówną dozę kłopotów właścicielom. Cóż, gdy gdzie nie ma głowy i gospodarstwo idzie z lichem?

Stary krajezy nie myślał już wcale o gospodarstwie, panna Scholastyka nie wiele do jego pomyślności rozporządzeniami swemi przyczynić się mogła. A wreszcie kobieta tu rzadko, albo i nigdy nie da rady. Nigdy spoczynku, wytchnienia: zimą, wiosną, latem, jesienią, robota zachodzi na robotę, oranie, kosowica, zasiewy, zbiory, młóćba, doganiają się i w kark pędzą; uchybisz w jednym, przepada ci wszystko. Gdzież tu wystarczyć kobiecie? Scholastyka przy najlepszych chęciach, rozpaczała, widząc wszystko lecące ku ruinie. Krajezy ze

swojem przysłowiem, znosił wszystko lekko, jakby go nie już nie dotyczyło, ale też w niczem nie dopomógł. Gadał ci to, prawda z ekonomem czasami, traktował go wódeczką i mówił ostatecznie:

— *Jakoś* to będzie.

I było *jakoś* bardzo nie dobrze!

Na małym folwareczku, najczynnniejszy gospodarz przy długach, dałby sobie radę, ledwie z największą trudnością; cóż dopiero starzec, który cały dzień się modlił, na wszystko odpowiadał. — *Spes in Deo*; z pokoru dalej jak na ganek i to o kiju nie wychodził.

Kobiety patrzyły na to i płakały... upadek zwiastował się bliski, nieuchronny, grozący. Trzebaż było martwić starca, ukazując mu go co chwila?

Biedny stary miał jeszcze tę słabość, że w lesie swoim, który należał do części Górów, widział krocie, i ratunek na wszystko, a w dodatku wieś nową. Lasten najdrożej ceniąc pniowszczyznę wart był parę tysięcy rubli; najwięcej, wyrobiwszy zeń kłody i marłaty i co tylko wyrobić się dało, resztę spławiwszy na drwa do Pińska, może tysiąc dukatów. Krajczy zaś strawiwszy raz cały tydzień na robieniu rachunku, przez przybliżenie z danej ilości morgów, wypisał sobie ile być ma belek, klepki, kłód, murlat, stosów drew i w dodatku smoły z pni, a podsumowawszy rachunek otrzymał krocie.

Te nieszczęsne krocie tak mu się w głowę wbiły, że na nich spał, jadł je, niemi wszystkim usta zamykał, a gdy kto nie dowierzając ruszył ramionami słuchając, wyjmował arkusz papieru i konwinkował.

— Ot, czarno na białem!

Dość że mu fortuny w tym kawałku lasu wymarzo-

nej, wyperswadować było niepodobna. To go ostatecznie zrujnowało, bo spuszczać się na pewny ratunek, o folwarczek pozostały ani dbał, hołdując las swój i nim żyjąc tylko.

Kilka razy miał kupców na niego, ale napróżno przekładano mu że las ustarzeje się i gnilec wpadnie; na wspomnienie ceny, wypędzał żydów i słuchać o sprzedaży nie chciał.

— Dwa tysiące rubli! dwa tysiące rubli? Szachraje! kiedy ja za dwadzieścia nie oddam!

— Ale las starzeje!

— Nie bójcie się! Tem więcej masztów będzie! Trzeba zaś wiedzieć, że naogradzał masztów co nie miara takich, z których dwunasto-calowych belek wyrobić nie było można dłuższych nad trojaki i czworaki; a rachował sobie każdą sztukę ogrodzoną po trzysta dukatów, zła-pawszy nie wiem gdzie, tę cenę bajeczną, której i w Gdańsku wziąć trudno.

Słowem krajczy żył swoim przysłowiem. *Spes in Deo*, nie dodając do niego żadnego innego, do czynności podbudzającego. Długi rosły, zaległości wzrastały się, spokojność uciekła; krajczy uśmiechał się swej myśli.

— Lasem wszystko zapłacę! i gdybym tylko chciał!

Ta myśl dodawała mu siły w przeciwnościach, ale dla nie podzielających jej kobiet, stan majątkowy był strasznym, w domu co dzień mniej wszystkiego, co dzień niedostatek dokuczliwszy; żydzi naprzykrzeńsi, dłużników więcej a więcej. Pustki w szpiżarni, w stodole, w kuchni, w piwnicy!

Panna Scholastyka wzięła się do gospodarstwa ko-biecego, z rozsądkiem, który jej zastępował doświadczenie, z zapałem który rodziła potrzeba. Marja pomagała

jej wesoło i ochoczo. Temu anielskiemu dziecięciu żadne poświęcenie, nie wydało się nigdy ciężarem. Dziecięciu powiadam, bo dorosła miała dziecięcą niewinność, prostotę, pobożność i spokój wewnętrzny. Na czystem jej czole, czytałeś czystą przeszłość. Cierpienia przeszły po duszy, ale jej nie zachmurzyły, nie zamąciły jej, nie wstrzęsły nią; zniosła spokojnie, pomodliła się i uśmiechem witała, te wielkie radości życia, na które tylko dzieci są czułe, tylko dzieci i jenjusz. Dla Marji zachód lub wschód słońca, piękny kwiatek złamany w lesie, ładne dziecię na wsi spotkane, przeczytana książka, były tyłaż chwilami szczęścia. Uszczęśliwiało, bawiło, cieszyło ją wszystko, a tylko cudze nieszczeście dręczyło.

Pomimo że życie w Górowie, coraz większemi ogrodzone było uciski, że każdy dzień mnożył prześladowania, że stali nad przepaścią, Marja ufała Bogu i przyszłości. A co to było za życie!

Co tydzień odwiedziny żydków dłużników, co dwa dni naprzykrzony Kulikowicz, którego ubłagać nie było można niczem, co dni kilka assesor lub egzekucja. Zaległości skarbowe tak były znaczne że żołnierze nie wychodzili ze dworu.

Białej sukni perkalowej na lato, szlafroka na zimę, sprawić już nie było za co, a pokazanie się w kościele, codzień stawało się straszniejszem niepodobieństwem. Nielitościwe sąsiedztwo szydziło i z sukni!!

Jedne odwiedziny Seweryna, jak promień słońca w dzień chmurny, na chwilę rozjaśniały szary mrok tego niezdolnego życia.

Humor panny Scholastyki, był także nie małym lekarstwem, ona w swoim sposobie nie zrażała się także niczem. W uczuciu swej siły, energii swego charakteru,

brała odwagę, której liczne dawała dowody. Ona przyjmowała najprzykrzejszych gości, a przymknawszy drzwi od pokoju krajczego, brała na siebie ciężar najnieznowniejszej, najgłupszej, często najbardziej grubiańskiej rozmowy. W potrzebie, potrafiła też zgromić i zagrozić, skarżyć się, dojechać do marszałka, rozmówić z przejeżdżającym gubernatorem, wysłać list na pocztę do jakiej znaczącej osoby. Słowem, opatrność to ją rzuciła tutaj, na ochronę starca i słabego dziecięcia, Marji.

Po najutrapieńszych przejściach, jeszcze wieczorem, wesołem ich rozechmurzała opowiadaniem.

Tak lata płynęły w Górowie, Marja za całą spuściznę miała dość piękną biblioteczkę, którą dawniej moda złożyła, a teraz ubóstwo z niej korzystało. Panna Scholastyka, której ani rozsądku, ani na swój czas wychowania nie brakło, robiła wybór w tych książkach dla siostrzenicy. Wyrzuciła z niej te dzieła, które w zbiorze królewskiej kochanki znajdować się musiały, których tyle wydał wiek XVIII. Marja nie splamiła się takim czytaniem. W sąsiednim miasteczku potrafiła złoto-brzeżne, safianowe, welinowe edycje głupstw i bredni pseudo-filozoficznych, wymieniać na nowe dobre książki. Zamianami temi żyły obie z Marją. W brzezynie, za dworem stała ławka, tam czytywały długie godziny; tam Marja często ławem okiem patrzyła na świat, który się jej tak piękny, cudny wydawał! Sierota, nie poządała przecież niczego, niczego nie zazdrościła nikomu, krom uścisków matki i błogosławieństw ojca.

Jak łatwo Seweryn i ona zrozumieć się i pokochać musieli... widziecie.

A wstrzemięźliwość, umiarkowanie uczucia przypisze szlachetności obojga. Marja lękała się o przyszłość

jego, on o nią. Oboje nie śmieli sobie powiedzieć że się kochali i oboje w duszy mówili.

— Ona mnie nie kocha!

— On mnie nie kocha!

A co dla innych byłoby rozpaczą, dla nich było prawie pociechą. Seweryn myślał — będzie z innym szczęśliwą! — Ona powtarzała — nie zagrozę mu przyszłości.

Tak dożyli tego pamiętnego wieczora, którego wysłany z Warszawy regent Szarzycki, podżyły już człowiek, przyjechał im oznajmić niespodziewane szczęście, co tak poruszyło całem sąsiedztwem. Tego dnia, żadne przeczucie, żadna przepowiednia nie poprzedziła. Przyszedł jak piorun na nieprzygotowanych. Rzadko komu przychodzi tak szczęście; często przychodzą tak złe wieści.

Krajczy w swoim pokoju mówił wieczorne modlitwy z zabrukanego Horaliku. Panna Scholastyka siedziała w pierwszym na kanapie i patrzyła obojętnie w okno, Marja przechadzała się ze spokojem na czole, ale zamysłona.

Na grobelce ukazał się powóz.

Marja go pierwsza postrzegła.

— A! ciotuniu, ktoś jedzie!

— Nie może być! — zawołała Scholastyka! a! nie-szczęście! pewnie asesor, albo...

— Bryczka kryta, czy powóz?

— Ani chybi, jakiś dłużnik, albo sądowa figura! O mój Boże, a tu w domu nawet herbaty nie ma! Nie! nie! Rosół na wieczór i kasza jagłana!

— Ciociu! powóz i jakiś podróżny.

— A! słyhać dzwonek! urzędnik, zginęliśmy, trzeba odwagą nadrabiać!

— Co tam? — spytał krajczy.

— Wcześniej się jegomość zamknij, bo ktoś jedzie a w domu, nie ma nic.

— Jakoś to będzie. To zamknijcie drzwi.

Powóz zbliżał się coraz, Marja z ciotką ciekawie przez okno mu się przyglądały.

— Pocztą! powóz porządny! któżby to mógł być taki?

— A! moja droga, któż jeśli nie jakiś zwiastun złego? Słuchaj, powiemy że krajczy chory, że w domu przez to nieład. A na wieczór wypadnie dodać pieczyste. O! mój Boże, z kąd ja je wezmę?

Powóz pana Szarzyckiego zatoczył się przed ganek, głos dał się słyszeć w sieni.

— Pan krajczy tutaj?

— Tutaj!

— W domu?

— Jest, nigdzie nie jeździ.

— A panie?

— Jakie panie?

— Panny?

— A i panny są.

— Głos zupełnie nie znajomy! — zawołała Scholastyka, — a tłumoki ogromne... będzie nocował! Jutro rano kawa, której nie ma.

Obu kobietom biły serca z niepokoju gdy powolnym krokiem wszedł regent Szarzycki. Człowiek to był z taktem i głową, umiał sobie w każdym razie postąpić i jeden rzut oka odkrywał mu ludzi i wskazywał co miał i jak powiedzieć.

Spojrawszy na Scholastykę, która przeciw niemu

postąpiła, na Marję, na pokój; domyślił się i ubóstwa i kłopotu.

- Znajduję, — rzekł, — w domu pana krajczego?
- Jest, ale chory staruszek.
- Chory? Pani zapewne jesteś Scholastykaska.
- Tak jest.
- A to godna jej siostrzenica.
- Tak jest!
- Rekomenduję się paniom, jestem regent Szarzycki.
- Zapewne w interesie pan dobrodziej, a krajczy chory.
- To interes który choroby nie wzmoże — rzekł powolnie, — zresztą tycze się więcej pań obu, niż pana krajczego.

Kobiety spojrzały po sobie.

- Niechże pan siada, prosimy.
- Smutną i wesołą razem wieść przynoszę paniom, — rzekł regent.
- Smutną, wierzym chętnie, do takich przywykłyśmy, — odpowiedziała panna Scholastyka, — ale wesołej...
- Istotnie nie zgorzsa i można ją nazwać wesołą.
- Jeśli tak, niech że nam pan jej udzieli łakomeśmy na nią.
- Pozwólcie więc panie, oznajmić sobie śmierć wojewodziny i miljonowy spadek, który na nie obiedwie się utworzył.

Na te słowa, panna Scholastyka krzyknęła ogromnym głosem.

— Jezu Marja! — I poskoczyła ku regentowi.

— Panie, na miły Bóg, nie zwodzisz nas?

To nie jest żadna mistyfikacja, żart, to byłoby okrutnie.

— Wiozę z sobą dowody, będziesz się pani mogła przekonać.

Marja blada jak ściana, stała nieruchoma, nagle rumieniec wytrysnął jej na twarz, przymknęła oczy, pochyliła się. Ciotka pochwyciła ją na ręce.

— Regencie, — zawołała, — każ dać wody... wody, biedne dziecko, znosiła wyśmienicie ubóstwo, ale naglej zmiany, wytrzymać bez omdlenia nie mogło.

Pan Szarzycki otworzył drzwi i zawołał ludzi. Po chwilce Marja otwarła oczy, uśmiechnęła się do ciotki.

— Kiedy tak, mój regencie, to trzeba oznajmić krajczemu. Nie wiesz jaki był nasz stan! jakie położenie, nie możesz miarkować nawet coś nam przywiózł! Krajczy nie słaby! Musiałyśmy ci powiedzieć, sądząc że to który z dłużników.

— Z dłużników!

— Tak jest, mamy ich wielu! Chodźmy Marjo, do krajczego!

I otwarła drzwi powoli, stary złożył książkę, wstał i posunął się naprzeciw wchodzącym kilka kroków.

— Pan regent Szarzycki z Warszawy, — odezwała się ciotka.

— Cóż mi jedna honor widzenia go w moim domu?

— Interesik szanowny panie, ale dość dla tych pań pomyślny.

— Hm! chwała Bogu.

— Powoli regencie, — szepnęła ciotka.

— Kilkanaście tysięcy spadku, — rzekł pan Szarzycki.

— Ot! widzicie! a mówiłem, *Spes in Deo. Deus providebit!* Niechże ucałuję, uściskam!

— A może nawet kilkadziesiąt! — dodał regent.

— Tem lepiej! Dzięki tobie Boże.

- Dość na dziś regencie — szepnęła znów ciotka.
 — A na kogoż to przypada?
 — Zapis na dwie głowy, po nieboszczce wojewodzinie;
 na JMP. Scholastykę i Marję.
 — Oto mi gość! oto mi gość!

A że krajczy nie wiedział co się u niego w domu działo, dodał:

— Podajcież win z lochu! wina! starego!

Wina nie było ani kropli.

— Musimy poczekać aż klucznica powróci — szybko zawołała Scholastyka.

— Siadaj-że regencie, siadaj. Jak-że godne imię pańskie?

— Szarzycki.

— Szarzycki? Czy nie tych co z Sieradzkiego?

— Tych samych.

— O! znajomy ród! stara szlachta herbu Ślepowron. Znam, znam, jeden był łowczym sieradzkim, drugi...

— Ciż sami.

— Ale dajcież choć herbaty.

— Herbata zaraz będzie — dodała ciotka łamiąc głowę co pociąć.

— Regencie, powiedz swoim ludziom, żeby rozpakowali — i dała znak panu Szarzyckiemu, żeby z nią wyszedł.

W pierwszym pokoju zatrzymała go u drzwi.

— Słódko, kochany panie. Jesteś prawnik. prawnik jak lekarz zna wszelkie położenie w jakich się człowiek znajdować może; i żadnego za złe nie bierze. Jesteśmy bez grosza w domu, bez najmniejszych zapasów, krajczy nie o tem nie wie. Będzie to przeciw wszelkim formom

i przyzwoitości, ale muszę się u pana w kwadrans po jego przybyciu zapożyczyć.

Pan Szarzycki uśmiechnął się łagodnie.

— Przewidziałem po części to położenie, chociaż go sobie tak przykrem nie wyobrażałem. Mam z sobą i przy sobie dwa tysiące dukatów, które w tej chwili oddam.

Panna Scholastyka tak była uradowana, że uściskała regenta i gdyby nie był żonaty, mógł był z tego wziąć asumpt do konkurów.

Natychmiast wysłany stary ekonom współ z arendarzem za pokupkami do miasteczka; ale zaledwie z rana nazad z niemi powrócić mogli. Trzeba było zrzeczności ciotki, żeby biednego krajczego niedostatkiem domowym nie zawstydzić. Przyspieszono wieczerzę, zagadano sprawę, stary nie dowiedział trochę i tak to jakoś przeszło.

Pan Szarzycki z ciekawością, z zajęciem człowieka, którego wszelki niespodziany obraz zajmuje; wpatrywał się, przysłuchiwał.

— Śmierć wojewodziny! była bardzo w porę! — rzekł w duchu, gdy się rozechodzili wieczorem.

Marja z ciotką poszły do swego pokoju, tam dopiero swobodnie rozmówić się, rozważyć nowe położenie swoje, pomyśleć o przyszłości mogły. Mało jest ludzi, którzy by od tak naglej zmiany zawrotu głowy nie dostali. Przejście w chwili z niedostatku dokuczliwego do bogactwa, jest może najrzadszym wypadkiem, i pomimo wszystkiego, co się pospolicie o wzgardzie pieniędzy mówi, najsilniej dotykającym; pieniądz tak zmienia człowieka! jego położenie towarzyskie, jego zalety, jego wady, jego zamiary, tak całkiem w nowem świetle stawia; wszystko

się tak mieni z przybyciem jego lub brakiem!

Nie dziwujcie się, że panna Scholastyka nawet, dla której przyszłości nie wiele pozostawało, całą noc wesoło się śmiejąc i rozprawiając nie spała.

Marja słuchała jej, rzadko wrzucając słówko i powtarzając tylko:

— To sen chyba! to sen!

— Ale nie sen, kiedy mam tyle pieniędzy w rękę! — mówiła ciotka.

— I czyli nie sen, to niepojętego coś.

— Pan Bóg spojrzał na nas.

— Gorzej to czy lepiej?

— Ja nie wątpię że lepiej. O! jakże się wesoło mścić będą nad naszymi kochanymi sąsiady!

I śmiała się i puszczała w domysły, przypuszczenia, projektu.

Śmierć wojewodziny, która tak nagle zmieniła dwie egzystencje, kobiety obu im nieznajomej, lecz nawet wycisnąć nie mogła. Wojewodzina... najbliższa krewna Marji i Scholastyki, nie bawiła w kraju. Zimy przepędzała w Paryżu, a lato zwykle we Włoszech. Była to kobieta dawniej sławna z piękności, głośna z dowcipu i dziwnych życia wypadków. Dwa razy szła za mąż i rozwodziła się, nareszcie za trzecim owdowiała. W pięćdziesiątym roku życia była jeszcze tak piękną, że ci co ją znali, nad trzydzieści kilka lat nie mogli jej przypuścić. Pierwszy mąż zaniedbał ją i porzucił dla aktorki, drugi miał podobno słuszne powody prośnienia o rozwód, gdyż wojewodzina w kilka tygodni po ślubie żyć z nim nie chciała! trzeci, wojewoda, kochał ją zapamiętale, bez wzajemności i zmarł jak młokos rozpaczając, że łatwiej mu było rękę jej niż serce pozyskać. Po śmierci

trzeciego męża, wojewodzina wyjechała z kraju. Ale, jakżeśmy powiedzieli, była jeszcze w pięćdziesięciu latach tak piękną, tak świeżą, że mnóstwo pretendentów o rękę się jej ubiegało. Ona nie przyjęła ofiary żadnego; wolała pozostać swobodną wdową. W ostatnich latach jakiś markiz przebywał z nią we Florencji; i głośnem było, że miała mu cały majątek zapisać; nagle śmierć zniweczyła ten zamiar i wielką fortunę wojewodziny, pomnożoną zapisami dwóch pierwszych mężów, zwróciła na tych, co się jej najmniej spodziewali. Spadek więc na pannę Scholastykę i Marję przychodzący, oplakiwanym być nawet nie potrzebował dla przyzwoitości, był to jeden z tych niespodzianych, wesołych spadków, co to się tak rzadko trafiają.

— Wyobraź sobie Marjo — mówiła ciotka — zdumienie, osłupienie, zazdrość, konfuzję naszych kochanych sąsiadów! A! zapomniałam o Sewerynie, co z nim zrobimy?

Marja zarumieniła się, dawno ona pomyślała już o nim.

— Będzie to coś na kształt powieści Marmontela — dodała Scholastyka — cnota wynagrodzona! przesładowcy upokorzeni! Biedny nasz pocziwy Seweryn, jak-że się rozraduje, zadziwi.

— Wczoraj odjechał tak smutny.

— Ciagle mi powtarzał, że go nie kochasz!

— Ciociu! przypomnij mu com mówiła wczoraj!

— Doprawdy, tak mi się wszystko w głowie zmieszało, że nie wiem.

— Mówiłam, gdybym była bogatą dziedziczką... jakże szczęśliwa narzuciłabym się jemu.

— Ani słowa przeciwno temu. Wątpię, żebyś kiedy

pocziwszego i szlachetniejszego człowieka znaleźć mogła. Cała rzecz, że on teraz może cofnie się.

— Jakto ?

— Najnaturalniej w świecie, póki mógł dać nie brać, stał przy nas, a teraz...

— Ale moja ciociu!

— A! moja Marjo! nie frasuj się wcześniej, będziesz miała w czem wybierać! Ty! umieram ze śmiechu gdy wspomnę, że i ja nareszcie pretendentów do mojej ręki, wielbicieli mieć będę. Spoglądałam w lustro i nie mogę się wstrzymać od śmiechu. Wyobraź sobie Maryniu u mego boku wzdychającego kochanka. Wszystko teraz będzie pięknem, wybornem, doskonałem, ile to rozumu, dowcipu, wdzięków nam przybyło!

— O mój Boże! — dodała z westchnieniem — jakież to smutny byłby świat i ludziska, gdybym nie miała takiej dla niego wzgardy, że mnie tylko rozśmiesza.

A koniec końcem, dobrze się to stało. Będziem mieli wyborną komedję.

GOŚCIE. — SĄSIEDZI.

Nazajutrz ledwie na dzień się zabierało, powrócić ekonom z miasteczka, wiozący zapasy jakich dom potrzebował. Wykupiono zastawione sreberko i inne porządki. Panna Scholastyka nie spała jeszcze i przeze gnawszy Marję, która padła znużona na łóżko, nie rozebrana i rzucała się i płakała w śnie niespokojnym; sama wyszła rozporządzić się.

Teraz, o dziwy! wszystko szło jak z płatka, ludzie służyli raźniej, ochotniej, inaczej, w niczem najmniejszej

nie doznawała trudności, koni, posłańców, sług nie brakło. Czarodziejsko składało się wszystko.

Dziwna gorliwość ożywiała ludzi począwszy od starego ekonoma do chłopców dworskich; nowina ta zelektryzowała każdego i dwoiła ich.

Scholastyka patrząc na to, uśmiechała się smutnie, jak nigdy w przeciwnościach, było coś upokarzającego w tej sile pieniędzy, porównanej z siłą obowiązków tak niewielką!!

Słońce wschodziło jasne, wyiskrzane, świetne i świeciło na rosie pozawieszanej w trawach i liściach obficie, gdy posłaniec na zmęczonym koniu dobiegł do wrót górowskiego dworu, oddał karteczkę i uciekł. Panna Scholastyka patrzyła na to. Przyniesiono jej list. Był bez podpisu i w tych słowach:

„Mnóstwo osób wybiera się dziś do Górowa; nowina obeszła sąsiedztwo piorunem, każdy teraz chce być pierwszym i zasłużyć się. Życzym rozpatrzeć się dobrze w tych, których podły interes napędzi państwu i rozeznąć ich od prawdziwych przyjaciół. Prawdziwi nie czekali wiadomości żadnej i nie nie wiedząc o tem, co ich spotyka, pospieszyliby jedynie z potrzeby serca.

Prawdziwy przyjaciel.“

List ten charakterem umyślnie zmienionym napisany, najpociesniej wymyślony, miał tylko na celu uprzedzić o przybyciu gromadnem sąsiadów i sztuczkę im wyplatać.

Łatwo się było domyśleć, że ktoś mający się za najbystrzejszego, najdowcipniejszego, pchnął posłańca raniem, wcześniej rozpoczynając szkodzić drugim i zasługiwać się.

Panna Scholastyka przeczytała, uśmiechnęła się i pobiegła z listem do Marji.

— Pokazuje się — mówiła w duchu — że nie czekając dłużej, dziś jeszcze oblężenie się zacznie! Doskonale! Lecz cóż za bezwstyd, co za...

Ledwie tych słów domówiła i miała wejść wewnątrz do domu, gdy ryczenie bydła zwróciło jej uwagę. Od dworu pana Kulikowicza pędzono trzodę tryumfalnie. Ekonom jechał za nią osobiście i oddał list u bramy, list pisany na bibulastym, z wielką pracą scyzorykiem ociętym papierze, w krzywej kopercie, z pieczęcią ogromną i intytlacją:

Jaśnie Wielmożnemu...

W liście tym wymawiał się Kulikowicz, że trzodę pod niebytność jego na odłogu zabrano, że nigdy w sąsiedztwie nieprzyjemności i sporów nie chciał być promotorem, że ją, zgromiwszy ekonoma, odsyła i przeprasza. Dodał nareszcie, że ufa, iż JW. krajczy potrafił ocenić postępowanie jego z sobą, pełne uszanowania i względów dla jego osoby. W dopisku krzywo i pośpiesznie dodano: Domowi JW. Pana składam najgłębsze uszanowanie.

— Wczoraj czy pozawczoraj oświadczyłam mu się — śmiejąc się rzekła w duchu ciotka — teraz gotów mnie wziąć za słowo... O! mój Boże, jak-że ci ludzie podli...

Ekonom Kulikowicza miał dyspozycję czekać na odpowiedź i spytać, czyliby pan krajczy, mając gością w domu, nie potrzebował czego?

Panna Scholastyka odpowiedziała z podziękowaniem tylko i odprawiła oficjalistę, który dawniej dumnie i krzykliwie mijał dwór krajczego, a teraz zniżał się do kolan najpokorniej.

Ranek zbiegł na przygotowaniach i porządkowaniach w domu; krajczy wstał i od dawna po raz pierwszy miał ulubioną kawę w swoim starym, srebrnym na krzywych nóżkach, podaną imbryczku. Stary na widok sprzętu tego, który mu dawne czasy przypominał, rozplakał się.

Marja i Scholastyka tymczasem naradzały się. Jak postąpić z natrętami, którzy nie omieszkają nadbiedz.

— Pomścim się najlepiej — zawołała Scholastyka — każdego przyjmijmy jak najgrzeczniej, dając mu nadzieję najlepszą, kołysząc go pierwszeństwem przed drugimi; jak gdybyśmy dawniejsze prześladowania komu innemu przypisywały... a potem?... Osadźmy ich na koszu i niech sobie siedzą szczęśliwie.

Ja pierwsza rozplomienie dziś serca wszystkich i raz przynajmniej w życiu pozwolę sobie słodkich oczeki...

Wiesz Marjo, wyborna rzecz takie niespodziane dzieństwo? Czego to człowiekowi teraz nie wolno?

Około dziesiątej nie dalej, wystrojony w frak granatowy z złocistymi guzikami, w podobnej spodnie, kamizelkę jedwabną i halsztuk potężny, w rękawiczkach, nowych butach, a co najdziwniejsza, z czystą chustką od nosa wyglądającą z kieszeni, nadjechał najpierwszy Kulikowicz.

W ganku spotkała go już panna Scholastyka.

— Przyjeżdżam — rzekł całując ją w rękę z przyciskiem sąsiad — wyeksकुzować się, przeprosić. Te było.

— Wszakże odesłane, nie mamy najmniejszej pretensji, ale bardzo nam miło szanownego sąsiada... widzieć.

Szanowny sąsiad wyrósł na ówieré łokcia, a spojrzawszy na uśmiechającą się i pełną niebiańskich nadziei twarz Scholastyki, rzekł w duchu:

— Dobra nasza! dobra nasza.

Kłaniając się więc i pogładzając włosy świeżo wodą zdrojową przymuskane, wszedł do pokoju, w nadziejach najzuchwalszych, szczęśliwy!... Spojrzał w zwierciadło, a przywykły twarz swą widzieć nie ogoloną i brudnymi gałganami otoczoną, znalazł ją promienną blaski dziwnymi, wytłumaczył sobie pięknoscią własną, uprzejme przywitanie.

— Wolałbym pannę Marję—rzekł—ale zobaczymy...

Ciotka wysilała się na zdradzieckie grzeczności, Kulikowicz rósł jak na drożdżach i szalał... Ścisnął krajczego, który zrozumieć nie mógł, z kąd mu tak nagle przyszła czułość, przystawiał krzesła, dowcipkował, śmiał się, parskał, słowem, był tak doskonale śmieszny, że można go było wybornie za biletami pokazywać.

Czoło się jego schmurzyło dopiero, gdy pierwszy powóz zaturkotał u ganku.

Druga wizyta! Dwóch Doliwów...

Stary Doliwa w zielonym wice-mundurze z krzyżem, ogolony prześlicznie, czupryna do góry, kapelusz odwieczny w rękę, laska z ogromną gałką (prezent synowski), żabot świeży na piersiach, uśmiech w spalonych od fajki ustach. Pan Teodor cały w garderobie warszawskiej, obeisło, spięto, obciągnięto, pachnąco, wytwornie.

Włosy szczególnem staraniem utrefione, ufiksowane, popodstrzygane.

Stary kocz umyty, odświeżony. Konie w wyszwarcowanych chomatach, brzozy cegłą wypolerowane; słowem jak z igły. Zobaczywszy to ciotka, położyła się prawie od śmiechu na kanapie. Doliwowie bowiem byli w istocie najzaciętszymi przywódcami wszystkich prześladowań sąsiedztwa.

— Pani — rzekł sentymentalnie Kulikowicz — ot co robią pieniądze, jacy teraz grzeczni!

— Zażartujemy i my z nich! — odpowiedziała Scholastyka.

Gość, który to poufałe zwierzenie wziął za dowód łaski, zatarł ręce i uśmiechnął się złośliwie. Drzwi się otwarły i przybyli weszli. Stary Doliwa tak po nierównej posadzce spieszył się do ucałowania rączek, tak był kordjalny, afektu pełen, że mu się przejętemu rolą swoją łązy w oczach kręciły. Scholastyka dygała, wdzięczyła się, dziękowała i brała grzeczności za dobrą monetę.

Raz tylko namarszczył się stary i młody, a to gdy ujrzeli Kulikowicza, wyświeżonego jak na Wielkanoc i już pierwszej od nich przybyłego. Skłonili się sobie wzajemnie, ale z zaciętymi usty.

Teodor dumnie i szydersko, stary złośliwie, Kulikowicz filuternie.

Ciotka poszła wezwać Marji i Szarzyckiego. — Chodźcie na komedję — rzekła — już się sąsiedzi zjeżdżać poczynają... Na Boga cię proszę Maryniu, Maryniecuku, kochaj wszystkich i bądź tak grzeczna, tak grzeczna, żeby każdy miał nadzieję, żeś tylko na niego czekała.

Marja rozśmiała się serdecznie.

— Chodźmy! chodźmy!

Przez czas niebytności panny Scholastyki, goście poszli przywitać krajczego i obsypali go grzecznościami. Stary płakał i ścisnął powtarzając:

— Mój mości dobrodzieju! mój mości dobrodzieju!

Doliwowie udawali by byli chętnie, że o sukcesji nie wiedzą nic wcale, ale im Kulikowicz zawadzał, młody zaraz porachował się, że już z tej beczki zaczynać nie było można; ale stary raz wytkniętej przez żonę trzy-

mając się drogi, nie opatrzył się dobrze i w chwilke potem, gdy ciocia z najzimniejszą krwią zaczęła opowiadać o spadku, wykrzyknął:

— Doprawdy! my nie o tem nie wiedzieliśmy!

— Jak to panie! kiedy wczoraj—przerwał neliitościwy Kulikowicz — Hasling w domu państwa tę nowinę zwiastował!

Stary Doliwa zakrztusił się, zapyrzył, młody drgnął na krześle, a Kulikowicz zwycięzko prychnął. Ciotka wstrzymywała się od śmiechu jak mogła i zatarła ten pocieszny epizod.

Wszakże humory Doliwów wielce za nim szwankowały i gdyby nie jątzące i podbudzające wspomnienie milionów, możeby się już cofnęli. Ale ciocia była tak uprzedzająca, grzeczna, tyle słodkich komplementów powiedziała im obu, krajczy tak ich wyściskał — że odwagi nabrali. Teodor zbliżył się do Marji i kołatał dowiecipnemi słówkami do jej serca.

Pozostawało staremu Doliwie, wedle dyspozycji żony, od której nie ważył się, spuszczać na swój rozum, nigdy odstępować, pozostawało mu wymówić się jeszcze, na cudze karki zrzucając, z dawnych niegrzeczności i prześladowania. Począł więc kołować, chodzić, deptać i zawracać tak zręcznie, że nareszcie dopadł przedmiotu i wykrzyknął:

— O! jakże boleliśmy, o! jak cierpieli!

— Wierzym temu najzupełniej i nigdyśmy najmniej o uczuciach ich nie wątpili — zawołała Scholastyka...

Doliwa rzucił okiem radośnem na Kulikowicza, a w wejrzeniu ich taka nienawiść się odmalowała, iż najmniej biegły wyczytałby z niej grożącą w przyszłości burzę.

Zabawiwszy kilka godzin i spieszny interes wymyśliwszy, Doliwowie, uradowani wsiedli do koczka i odjechali.

Za bramą ojciec zdjął wice-mundur a włożył tarcatkę płócienną, syn zamienił wytworną garderobę warszawską na bluzę domorosłą i poczęli się wzajemnie pocieszać.

— Co za osoba pełna rozsądku, gustu, dowcipu! ta ciotka! co za kochany ten krajczy!!

— A Marja papo?

— O! wiem, że ci w oko wpadła! widzę, widzę, a i ona ci się uśmiechała!

— Zdaje mi się...

— Byliśmy najlepiej, najlepiej przyjęci...

— Oni ani na chwilę nas nie posądzali o te głupstwa...

— Widocznie...

— Ale Kulikowicz! O! łotr! poczekajno! damy my się jemu we znaki. Tak mnie skonfundował niegodziwie...

— Uważał papa, jak to grzecznie panna Scholastyka zatarła?

— Mówię ci, że to jest najgodniejsza osoba... co za takt! Słowem, interesa na najlepszej stopie. A Kulikowicz! poczekajno... kiedy ty tak, to i my wiemy co robić!... Damy ci fernepiksu!

Zaledwie przebrawszy się, na powrót siedli do koczka, spotykają Haslinga. — Gniew i śmiech razem ich bierze; a było przynajmniej śmiać się z czego.

Stary i dwóch młodych, jak śledzie na bryczce upakowani, jechali do Górowa; stroje wszystkich okazywały wielką podobania się pretensją. Stary Hasling, który się nie tał, że myślał o Scholastyce, kraśniał jasną kamizelką, chustką, zielonym frakiem, profuzją dewizek na

żoładku. Młodzi pofryzowani, z polepionemi wąsami, w ciasnych butach, wydawali się jak woskowe figury, na pokaz ubrane. Szpilki sióstr paradowały na chustkach i kołnierzykach. W twarzach dwóch braci zazdrość wazjemna i milczący gniew się malował.

Spotkawszy się z Doliwami, namarszczyli; Doliwowie rozśmiali się z politowaniem.

— A! i panowie do Górowa? — rzekł stary.

— I panowie z Górowa! — zawołał Hasling.

Powitali się, jak by się pozjadać mieli.

Kulikowicz także powracał do siebie i nadszedł na to.

Wziąwszy się za boki, stanął na drodze i śmiał na głos cały.

— Co to panu? — rzekł Hasling.

— A! jak-że się nie mam śmiać! I panowie tu?... Dziś wszyscy jak do cudownego obrazu do Górowa się zjechali! Czy odpust? czy co?

Nie odpowiadano mu nic, bryczka potoczyła się dalej.

Oczyściwszy się w ganku z pyłu i błota, weszli.

Marja pomimo jakiegoś niepokoju i smutku co ją dręczył, musiała na widok tych trzech odwiedzin uśmiechnąć się. — Ciotka trzymała się serjo i poważnie jak mogła. Pan Szarzycki patrzył i oczom nie wierzył.

— Państwo mieliście wiele miłości i szacunku w sąsiedztwie — rzekł za trzecią wizytą do Scholastyki — wszyscy spieszą dzielić ich szczęście i winszować.

— Jak pan widzisz — odparła ciocia — bardzośmy szczęśliwe z sąsiedztwa!

Haslingi udawali jak umieli, że nic o żadnym wypadku nie wiedzieli, odmalowali swe odwiedziny jako dawne należne uszanowanie dla domu, który czcili wysoce.

— Jesteśmy o tem najmocniej przekonane.

Hasling przysiadł się do ciotki, dwaj panice obiegli Marję: rzucając na siebie zjadliwe i pełne wzgardy spojrzenia. Ale Marja znużona wyjść musiała i rzucić ich na pastwę krajczemu, który usadowiwszy na kanapie zajął rozmową o swoim lesie i masztowych sosnach w nim obfitujących. Scholastyka zaś tak niezmordowanie, serdecznie starego uściskała Haslinga, że pod koniec rozmowy wdowiec najpewniejszy był, iż serce jej posiedzie bez najmniejszej trudności. Wyciągnawszy więc kołnierzyki wysoko i potarłszy bokobrodów, począł już spokojny bawić dla przyzwoitości pana Szarzyckiego i trochę go badać.

Miano obiad podawać, gdy koczobryk panów Pokotyłów, spóźnionych z powodu złamania sztelwagi, którą dorabiać musiano, ukazał się w ulicy.

Spotkali się oni w drodze z Doliwami i Kulikowiczem i prawie pokłócili.

— Osobliwsza rzecz! — zawołał nieumiarkowany Doliwa — jak teraz wszyscy się ciągną do Górowa.

— Prawda, że to osobliwość! — odparł Pokotyło. — Panowie już wracają, rano wstali! Cha! cha! Jak to fortuna wszystko zmienia! A dawniej co to się wyrabiało w kościele?...

— Pan Fabjan najlepiej to wie!...

— Nie lepiej od pana Teodora.

— Osądzą to w Górowie...

— Osądzą...

— Życzym sukcesów! szczęśliwej drogi!

Dalej spotkał ich i zatrzymał Kulikowicz, ale nie śmiechem już, tylko gniewem.

— I oni jadą! i oni jadą! — zawołał — to już dziś cały świat będzie w Górowie.

— Cóż to, waćpanu tylko wolno? — spytał porucznik. — Przecież nie myślisz w swoim długu tradować Scholastyki i Marji!

— Kto wie komu co przypadnie!... A pośpieszajcie, bo tam i Haslingi już siedzą! Żywo, żywo, żeby panny nie pouciekały.

W dość złym humorze Pokotyłowie zajechali, ale Scholastyka niezmordowana w grzecznościach, potrafiła obu rozruszać.

Przy obiedzie, po kilku wina kieliszkach, porucznik rozjątrzony niegrzecznością Doliwów i Kulikowicza, wyprowadził na scenę dawne niegrzeczności, zwalając je na nich. Haslingi potwierdzali, zostawiając sobie na później złożenie winy choć w części na Pokotyłów.

— Państwo nie wiedzą co to są za ludzie ci Doliwowie? — rzekł animując się porucznik. — Ludzie niebezpieczni!

My najlepiej ich znamy, żyjąc w jednej wsi, panu Bogu wiadomo, co od nich doznajemy... Jeżdżą koczem i chomąty w brzącach, a długi przez wierzch głowy. Sama całym domem kręci, męża za nos wodzi, na panią choruje, mąż tylko fajkę pali pod piecem i słucha co mu każe. Syn próżniak, Warszawianin, świszczypałka.

— Niby to ma talenta — dodał pan Fabjan — młóci po fortepianie, ale kiedy przyjdzie do tańca zagrać, taki bez mojej muzyki się nie obejdzie. Mógłbym przekonać, bo Janek zawsze z floterwersem jeździ i gdyby państwo pozwolili...

Ciotka zajadała swój śmiech chlebem, a pan Fabjan schował muzykalny popis na drugi raz.

Zalecania się najpocieszniesze i obmowy niepomowane i objad i po obiedzie zajęły. Pokotyłowie nagradzając sobie późne przybycie, najdłużej zabawili.

Haslingowie nie chcąc ich zostawić póty siedzieli, póki i tamci nie ruszyli się do wyjazdu. Komedja panny Scholastyki zaczynała ją nawet utrudzać, a pan krajezy i Szarzycki poszli spać, nie mogąc końca jej doczekać.

Nareszcie poglądając jedni na drugich, mnąc czapki w rękę, Pokotyłowie pożegnali i odjechali. Za nimi Haslingi. Można było odetchnąć.

Kulikowicz na grobli do dworu wiodącej stając, oczekiwał ich z nowymi żartami i przycinki. Tem zaś zjadliwiej szydził, im bardziej był niespokojny z powodu przeciągniętych odwiedzin.

Pożegnano się wcale niegrzecznie i każdy do domu pospieszył; każdy w najróżowszym zresztą humorze i najlepszych nadziejach.

Intrygi tylko wszyscy zarówno zdawali się obawiać. Zaledwie w domu każdy począł rozmyślać głęboko nad tem, jakby drugich usunąć i pozbyć się współzawodnictwa.

Marja cały dzień oczekiwała Seweryna.

Mimowolnie sąsiedzi się wygadali, że był u państwa Doliwów, kiedy pan Hasling przybył tam z wieścią niespodzianą.

A więc wiedział o szczęśliwym wypadku?

— Przybieży, przyjedzie podzielić się naszą radością — mówiła w sobie Marja dzień cały.

I każdy turkot powozu, każde drzwi odemknięcie, odwracało jej spojrzenie, omylało ją nadzieją próżną przybycia Seweryna. Nareszcie całe sąsiedztwo przesunęło się wystawując na śmiech politowania, z pospiechem

niepojętym biegąc dnia jednego tam, gdzie od lat kilku nie bywał nikt; wieczór się zbliżał, Seweryna nie było.

Marja musiała powiedzieć sobie: — Nie przyjedzie! — I dodała: — A... więc jutro!

Ale i jutro całe przeszło na rozmowach z panem Szarzyckim, porządkowaniu i oczekiwaniu. Tylko pani Doliwowa uznała za słuszną swoją przytomnością Górów zaszczyścić.

Jakże była miluchna, czuła i słodziutka dla Scholastyki, z jak macierzyńskimi uczuciami dla Marji! to się opisać nie daje. Jej pargaminowa, pomarszczona twarz, wiecznie łagodnie się uśmiechająca, tym uśmiechem kłamanym, co nikogo nie uwodzi, i tego dnia jeszcze heroiczniejszą anielską oddychała słodyczą.

Jej usta zacięte, ciągle się ku uszom przeciągały, a płowy wzrok wygasłych oczu latał na szpiegi...

Odwiedziny nie były daremne. Przebiegła kobieta wzięła do serca co jej Teodor mówił o pierwszeństwie Seweryna w tym domu. Nic nie odpowiedziałwszy na to synowi, pojechała osnuwszy projekt wygadania w pół cicho pannie Scholastyce wszystkiego, co tylko najjaśniejszego na niego w sąsiedztwie chodziło.

O kimże źle nie mówią? Jedno słówko wyrzeczone rośnie jak lawina w górach szwajcarskich i wzrasta w olbrzymią plotkę, która jak lawina!! — zasypuje czasem całe familje i niszczy na wieki spokój całych rodzin. W sąsiedztwie chodziły dwa tłumaczenia procesu Seweryna z hrabią z powodu Anusi i odwiedzin świeżych w Śliwinie, ze sławną mistyfikacją, przerobioną do niepoznania.

Pani Doliwowa zgrabniutko naprowadziła rozmowę

na Seweryna i poczęła naprzód wychwalać jego rodziców z uczuciem głębokiem.

— Co też to byli za zacni ludzie! w jakiej z nimi żyliśmy przyjaźni. Sama... anioł dobroci i poświęcenia! A jak wychowali to dziecko, z jakim staraniem, troskliwością i ofiarami! Nic ich dla dopięcia celu tego nie kosztowało. To też — dodała głębiej jeszcze z uczuciem wzdychając — stracili wszystko. Ale mieli pociechę doczekać się owocu swych starań w synie, który jest młodzieńcem pełnym nadziei.

— Cóż to się jej stało? — pomyślała Scholastyka — że go chwali?

Ale zaraz dodała pani Doliwowa:

— Jakże mnie martwi, że zdaje się schodzić z dobrej drogi...

— Jesteśmy u celu... rozumiem — pomyślała ciotka. Marja była tuż blisko, i zdaje się, że rozmowę wymierzono, aby ją i ona słyszała, a choć dalszy ciąg opowiadania półgłosem i w sposobie zwierzenia się nastąpił, nie mogła nie słyszeć go, ujęła tuż bliską robotę Marja, której uwaga imieniem już Seweryna obudzoną została.

Opowiadanie jejmości, chociaż tyczyło się w części znanego wypadku wszakże tłumaczyła go dla górskich mieszkańców wcale w nowy sposób; a choć nie mieli ochoty wierzyć w prawdę słów kochanej sąsiadki — któż z nas mimowolnie nie ulega często złemu, jakie się o uszy jego o osobach najdroższych mu obija?

— Wielka szkoda chłopca — mówiła sąsiadka — przez przywiązanie dla jego rodziców, mogę powiedzieć, obchodzi mnie jak własne dziecko... Ten hrabia go zgubi.

Już i pierwsza sprawa nie była całkiem czysta — rzekła potrząsając głową i z cicha niby, a tak mierząc

głos, żeby niby nie dla Marji mówić, a przecie dać się jej słyszeć. Ta Anusia nie była na nieszczęście obojętną. Ale tego rodzaju fantazje w jego wieku się przebaczały. Ludzie to okrywali i ja sama najpierwsza ekskuzowałam go jak mogłam, ale między nami mówiąc, miał się do tej tam Anusi. Była u niego we dworze i nie wysmienie wyszła... No! ale to zawsze wybaczone młodemu i rzuconemu tak bez opieki, bez przewodnika.

Biedny chłopiec! To gorzej, że teraz się zaprzyjaźnia z hrabią... A wiadomo co za jeden nasz pan Śliwiński! Sodoma i Gomora u niego! Seweryna tam ciągną, poją, a w takim towarzystwie wiadomo, że nie do czego dobrego się idzie. Pani słyszała co się zdarzyło, kiedy hrabia nogę zwichnął i Seweryna tam uprosił jako trochę doktora?

— Wiem tylko że pojechał — odpowiedziała zimno Scholastyka.

— Ale to wyborna komedia! Muszę pani opowiedzieć chociaż tę trochę... Ale... muszę powiedzieć, kiedy już wspomniałam, żebyś pani nie myślała, że to co jeszcze gorszego. Pokazuje się, że hrabia musiał tam podpoić swego lekarza... A jest tam (to pani zapewne wiadomo?) faworyta hrabiego, Niemka, nieszporna dziewczyna, bezwstydną zalotnica, jak się pani zaraz przekona. Seweryn wtedy chłopiec, widać że podpojony i podjurzony, począł jej robić grzeczności, awanse. Niemce też tego tylko i potrzeba. Słowem, pani dobrodziejko, poczyną go intrygować, zaczepiać, korzystając z tego, że hrabia leży w łóżku, że zwichnięta noga i ruszyć się z niego nie może. Już nie wiem jak to tam było (tu zniżyła głos znowu), ale pan Seweryn znalazł się w jej pokoju, a co

gorzej, w jej... łóżku! Uważa pani co to za paskudna kobieta!

— To być nie może! — zawołała ciotka...

— Ale jak mnie pani żywą widzi... I to jeszcze nie koniec... Hrabia dowiaduje się o tem od sług, czy od Wiły... idą i zastają go... Scena...

Panna Scholastyka powstała, chcąc przerwać opowiadanie, które ją oburzało i widząc uciekającą Marję do drugiego pokoju, w tem pani Doliwowa znowu wzdychając dodała:

— Co za szkoda chłopca! Zgubi go to złe towarzystwo! Ale to jest coś we krwi, i ojciec był także kobieciarz niepomiarowany, tysiące miał awantur...

I z pod oka rzucając wejrzenie na pannę Scholastykę, spostrzegła sąsiadka oburzenie, zdziwienie i nieukontentowanie malujące się na jej twarzy.

Cel był dopięty, potwarz rzucona, rozmowa odwróconą została na inny przedmiot.

Marja w swoim pokoju gorzkiemi łzy płakała! Słyszała wszystko.

— A! wiem teraz dla czego nie przyjeżdża, wiem... pewnie mu weselej w towarzystwie hrabiego i panny Tekli... O! niech się bawi! nie chcę go widzieć, niech nie przyjeżdża więcej! Zapomnę o nim... wyrzeknę się go.

I płakała...

Powóz pani Doliwowej, która bardzo bolała nad tem, że się z Marją pożegnać nie mogła, wytoczył się w tej chwili z dziedzińca i ciotka weszła do pokoju. — Marja otarła szybko zapłakane oczy.

— Co ci to? — spytała Scholastyka.

— Nie ciociu! trochę głowa mnie boli.

— O i mnie także, to kochana sąsiadka rozbiła mi ją plotkami. Biedny Seweryn, wzięli go na zęby.

Marja nie nie odpowiedziała.

TEKLA DROLLING.

Hrabia ze spuchłą jeszcze trochę nogą leżał ubrany na łóżku w swoim pokoju... Jedną ręką podtrzymywał głowę wzniesioną na poduszkach, drugą bawił się uszami przepysznego wyżła kurlandzkiego, który łapę poufale położywszy na pościeli, mordę sparłszy na niej, w oczy poglądał. Firanki rozsunięte wpuszczały pomarańczowy blask zachodzącego słońca. Pusto było w pokojach, w sypialni tylko otaczali łożo pańskie rotmistrz Wiła, Durczyński i trzech pomniejszej podkomendnej hałastry.

Zegar wybił dziewiątą.

Hrabia ziewnął głośno, Durczyński zawołał.

— Dziękujemy!

— Za co u licha?

— Za poziewanie JW. grafa... Jest to dla nas bawicieli jego dowodem, jak skutecznie na polepszenie humoru wpływamy.

— Nudzisz mnie conceptami swemi mój Durczyński... Sto razy słyszałem to podziękowanie i sto razy pytałem cię o znaczenie i sto razy zawsze mi jedno odpowiedziałeś... Strasznie się powtarzasz! Nudzisz mnie... nużę się.

— Nudzim się! — cichutko rzekł stary.

— A to idź do djabła! — odparł hrabia...

— Gdybym drogę wiedział.

— Poszedłbyś?

— Poszedłbym, bo jak mnie JW. pan odpędzisz, chyba djabeł mnie przyjmie. Stary, głupi, niedołężny...

— Dodaj nudny, mój Durczyński...

— A więc i nudny? Gdzież się podzieje?

— To prawda! Siedź więc sobie gdzie za piecem i motaj na palec nowe concepta, ale mi się ze starymi nie popisuj!

Durczyński szturechnął swego sąsiada, którego pospolicie zwano w języku dworu i znano pod nazwiskiem (na które się wabił nawet) Gapimuchy...

— Waćpan mnie zastępuj.

Gapimucha śmieszył hrabiego swoim głupstwem jak pierwszy mniemanym dowcipem. Był to wysoki, chudy, z rękoma ogromnemi, nogami półkokciowemi, szyją długą, nosem sterczącym i peruką rozstrojoną, zawsze otwartą gębą, młodzieniec, któremu nie piątej, ale wszystkich pięciu brakło klepek. Posłyszawszy że miał zastępować tego, którego za Salomona uważał, cofnął się przelekniony i począł się, tuląc w kułak śmiech, tak śmiać, tak śmiać, że pantomina i przeraźliwym chichotem rozśmieszył pana grafa.

Towarzysze wypchnęli go na środek.

— Zastępujesz dzisiejszy wieczór Durczyńskiego, bierz że na pazury, — rzekł mu Wiła...

Hrabia zawołał — tańczuj!

Gapimucha uciekł do kąta...

Cała ta scena, passowania się, wypychania, śmiechu, wpředce znudziła pana.

Ziewnął powtórnie szeroko.

Durczyński milczał.

— Czemuż nie podziękujesz? — spytał Hubert.

— Nie ma za co!

— Co za nudy! co za nudy! — powtórzył gospodarz wyciągając się.

— O nie tylko tę nogę obwiniać potrzeba...

— Noga moja mało mnie bawiła — przerwał graf.

— Ale ona nie daje się ruszyć, wyjechać...

— Nudziłbym się wszędzie jak się nudzę tutaj. Bo do stu kaduków od niejakiego czasu nic mnie nie zajmuje, nie bawi... Polowanie, konie, wy wszyscy...

— A kobiety?

— Wszystkie kobiety są jedną kobietą — odrzekł pan, tylko coraz inna maska.

— A panna Tekla?

— Przejadła się i ona! — szepnął Wiła...

— O i jak! A ruszyć się nie mogę żebym się z jej czułością nie spotkał... Żeby też nic nowego na świecie znaleźć już nie było można?

— Ja myślę, że znalazłoby się — rzekł rotmistrz.

— Naprzykład?

— Potrzeba by pomyśleć:

— Podróż za granicę?

— A miałem ich dość! wszystkie kraje są jedną ziemią, a trochę odmienną dekoracją i różnemi aktorami jedną grającemi komedją...

— Polowanie?

— Fi! rzecz stara jak świat i nudna jak świat!

— Konie?

— Wyborna zabawka dla masztalerzy i *gentleman-riders* gdzie się można zakładać, latać i przynajmniej kark skrócić... Ale u nas?

— Żadna nowa twarzyczka?

— Wszystkie mówiłem ci są jedną kobietą...

— Do licha! — rzekł Wiła, — to już mi się przebiera... ale... Co się tycze kobiet.

— Daj mi pokój... Tekla mi obrzydziła wszystkie.

— Hrabia chcesz się jej pozbyć?

— Alboż jest sposób?

— Tysiąc...

— Wiesz, to by mnie mogło zabawić!

— Doprawdy? a więc co zaszkodzi spróbować?

— Rotmistrzu, nadto się ryzykujesz! podejmujesz się rzeczy niepodobnej!

— Hrabio! nie nie ma niepodobnego dla człowieka, który ma silną wolę...

— Hm! myślisz?

Rotmistrz wskazał dworowi aby się usunął, i na dany znak czereda cała pod przewodnictwem Durczyńskiego, który maszerował majestatycznie-błazeńsko, wysunęła się za drzwi.

— Myśl mi przyszła wyborna... Panna Tekla sama wyjedzie.

— Jakto? rozkochasz ją?

— Ja! uchowaj Boże!

— Ożenisz się z nią?

— Panie hrabio, poświęcenie moje dla niego, nie sięga tak daleko...

— Cóż u licha!

— Będę hrabiego żenił!

— Mnie? cha! cha! wiesz myśl doskonała! mnie! mnie! ożenić! A z kimże?

— O! partja wyborna, panna miljonowa.

— Hrabia nie nie wiesz, a ja dopiero dziś o tem języka dostałem... wielkie odmiany zaszyły w sąsiedztwie. Wszyscy są na stopie wojennej... Ważny zaszedł wypa-

dek. Dwie panny Górowskie, siostrzenica i ciotka.

— A! też same...

— Też same, niestety! otrzymały bajeczny, ogromny, milionowy spadek, po krewnej zmarłej we Włoszech...

— Jakiej?

— Wojewodzinie...

— Rozumiem! Nie wiedziałem że to było tak bliskie pokrewieństwo. Rotmistrzu! zleśmy zrobili!

— Żle ale się stało, będziemy się starać poprawić. Jak skoro sąsiedzi dowiedzieli się o tem, obojętność, nienawiść, niegrzeczność zmieniły się nagle w żarliwą przyjaźń, serdeczną sympatję i nadskakiwanie do śmieszności posunięte.

Od dni kilku wszystko co żyje jeździ, intryguje, rusza się, wysila na pozyskanie drogiej przyjaźni.

— A! i chcesz mnie razem z tem towarzystwem posłać do Górowa?

— Hrabio, gdyby tylko uczciwy pretekst wynaleźć.

— Niepodobna!

— Mnie się zdaje że znajdziemy...

— Zmiłuj się, a okrył byś mnie śmiesznością.

— Sztuka na tem, żeby uniknąć śmieszności. Widzisz teraz hrabio myśl moją. Panna Tekla słysząc o odwiedzinach, staraniu i projektowaniu małżeństwie, rozgniewa się i...

— Zrobi scenę, rozplacze się i zostanie na miejscu...

— Być nie może! wyjedzie... niechybnie! Duma jej się poruszy...

Hrabia zamyślił się...

— Probój rotmistrzu, — rzekł, — ale cię uprzedzam, że nie pojedę do Górowa okryć się śmiesznością, jak te szerepetki. Potrzeba mi pretekstu, który by te odwie-

dziny usprawiedliwił w oczach moich najprzód, potem w oczach wszystkich... Inaczej nie ruszam się z miejsca. Powtóre, będzie to tylko sposób pozbycia się panny Tekli... ale żenić...

— Któż to radzi? — spytał rotmistrz...

W istocie przeciwne było interesowi pana Wilę, ożenienie hrabiego... Każda kobieta byłaby się natychmiast tego doradcy i zręcznego faktora pozbyła; przy każdej straciłby część tej władzy w domu, z której wybornie umiał korzystać. Nie myślał więc rotmistrz wcale żenić Huberta, ale chciał wyprawić pannę Teklę, której wpływ długim pobytem, słabością charakteru hrabiego wzmagający się, zaczynał stawać groźnym. Klucze, kasa, zarząd domowy, powoli nieznacznie przechodziły z rąk faworyta w ręce faworyty, trzeba więc było usunąć niebezpieczniejszą co dzień rywalkę... Projekt pana rotmistrza oparty był na znajomości charakteru Niemki, dumnej w głębi i tem dumniejszej, że położeniem swem upokorzonej. Dla pojęcia tej pozornej sprzeczności charakteru ze stanem panny Tekli, musimy dać wam poznać jej przeszłość.

Panna Tekla Drolling była rodem z Wiednia, z tego Wiednia, w którym tak łatwo o piękne kobiety, a tak trudno... nie mówmy lepiej o co trudno. Matka jej była żoną ubogiego oficera, który całe życie strawiwszy na służbie, wysłużył wreszcie rany na starość. Smutny osiadł ojciec jej w Wiedniu nie wiedząc co począć; bo ośmioro dzieci obsiadły go prosząc chleba powszedniego! Drolling nic im dać nie mógł nad ubogie utrzymanie i niepewną nadzieję polepszenia bytu. Nieustannie zaprzątniony myślą umieszczenia gdzie swoich dzieci kosztem rządu, całe życie trawił na pisaniu i podawaniu bezsku-

tecznych prośb, z którymi wartował u drzwi wszystkich możliwych... ale napróżno!

Zwątpiwszy po kilkoletniej warcie w przedpokojach ministrów, aby co z tych starań przyjść mogło, Drolling zaczął dawać lekcje fechtów.

Ale płacono mu tak tanio!

Nędza zaglądała uchylając drzwi do domu, w którym codziennie rosły dzieci, ubywało grosza, przybywało długów i ciężarów, zmniejszało się nadziei. Trzy córki, pięciu synów po śmierci matki, zostały na wyłącznej pieczy starego Drollinga, który fechtował się z uczniami swymi i z biedą jak mógł, ale bieda często go *dotykała*. Starsza córka Róza wzięła zarząd gospodarski w domu.

Róza była piękna, jak Tekla, jak Adelajda, ale najzalatniejsza ze wszystkich.

Jej przykład stał się wzorem dla młodszych sióstr.

W domu wprawdzie mniej niedostatek czuć się dawał, ale co się działo za domem? zkąd płynęły pieniądze, stroiki, protekcje i nieznani dotąd przyjaciele?

Róza nie mówiła, ojciec się też nie pytał; tylko czasem wieczorem sparłszy się znużony na komodzie, wpatrując w portret nieboszczki mruczał.

— Dziwna rzecz! miałem ją całe życie za dobrą gospodynią, a przecież za Róży daleko dostatniejsi jesteśmy, choć nic więcej nie mamy a więcej daleko potrzebujemy. Dziwna rzecz!

Stary nie uważał, że Róza całe wieczory pędziła za domem, na przechadzkach, wracała czasem w nocy i nieraz odprowadzaną była przez nieznaną młodzież aż do drzwi mieszkania na trzeciem piętrze.

Nikt przecie z tej młodzieży nie ukazywał się jako starający o jej rękę, nie bywał w domu i nie poznawał

z kapitanem Drolling. Gdy Tekla podrosła, poczęła ją z sobą brać na przechadzki Róza... Ale łatwe zaloty nie podobały się dziewczynie, która naczytawszy się, jak tylko czytać potrafiła, książek miłosnych, wielką kupą po matce pozostałych, chciała kochanka i wyglądała dziwnych przypadków.

Los jej życzeniom uczynił zadosyć.

Naprzeciw domu, którego trzecie piętro zajmowali Drollingowie, był paradny hotel Wenecki.

Mnóstwo cudzoziemców w nim stawało. Jednego ranku, karetą sześcią końmi ciągniona z hukiem zatoczyła się pod kolumny i Róza z Teklą ujrzały wysiadającego z niej mężczyznę jeszcze świeżego i prawie młodego, którego z pokłony gestami, gospodarz na pierwsze piętro zaprowadził, instalując w najparadniejszym apartamencie. Mężczyzna ukazał się wkrótce w oknie, ujrzał trzy piękne siostry Drolling twarzyczki, ciekawie ściągnięte w jednej ramie i uśmiechnął się. Róza uciekla, dwie młodsze pozostały.

Wieczorem starsza wiedziała, że przybyły do hotelu nieznamy podróżny, był bogatym polskim grafem.

Wzięła Teklę pod rękę i wyszły na przechadzkę. Zaledwie ukazały się we drzwiach gdy z przeciwnej strony... traf czy wola!... sprowadziła hrabiego Huberta. Z początku trzymał się w pewnym oddaleniu, ale Róza tak często się na niego oglądała, że w końcu zbliżył się do nich.

Tym sposobem zrobiono znajomość.

Hrabia dowiedział się kto były nieznanome i pytając czy może je odwiedzić, odebrał odpowiedź zabraniającą. Róza odmalowała mu ojca swego fehmistrza, najniwieńszą w świecie istotę, jako najsroźszego tyrana.

Komuż by to, pytam, apetytu nie dodało? Hrabia począł siedzieć w domu, patrzeć oknem i pilnować przechadzek Róży i Tekli.

Z Różą prędko zrobiona ścisła znajomość, czuła przyjaźń i poufale stosunki. Ludzie mówili (czego też ludzie nie mówią) że go wieczorami odwiedzała w weneckim hotelu, ale z Teklą nawet rozmowy zawiązać nie potrafił.

Tekla, której wyobraźnia grała za każdą nową, blisko zjawiającą się postacią, widząc hrabiego nadskakiwania, wzięła je za znak przywiązania heroicznego, platońskiego ku sobie!... zakochała się... Róża tymczasem... ale zostawmy ją na boku.

Jakkolwiek nieśmiała i uczuciem onieśmielona jeszcze, Tekla przecież wejrzeniami gorącemi dała poznać Hubertowi, co w niej wzbudził.

Nauczony taktyką Róży, chciał hrabia zbliżyć się od razu poufale do siostry, ale jakże się zdziwił, gdy tu całkiem inne usposobienia i stan rzeczy! Tekla traktowała go jak kochanka, nie jak zalotnica. Zdumiał się Hubert, a pochlebiała mu ta miłość piętnastoletniej, niewinnej dziewczynki.

Róża postrzegła łatwo, co się koło niej działo, ale nie była zazdrosną i postanowiła siostrze pomagać; myśląc w duchu że jeżeli jej w domu nie stanie, lżej będzie wszystkim, że się z nią może graf polski ożeni, że ona familją wesprze. Zresztą malowała sobie jak mogła swoją obojętność dla siostry; i w końcu była pewna, że z przywiązania zbliża kochanków.

Jako dobra siostra, rozmówiła się z hrabią. Hubert w oddaleniu ukazywał piękne rzeczy... może ożenienie, a pewnie zabezpieczenie losu Tekli; siostrze zaś obowiązującej się ją namówić i nakłonić do wyjazdu z panem

hrabią, piękny, bogaty ofiarował podarek, podarunkowi całus towarzyszył. Róża pośpieszyła do domu.

Tam cicho, w kąciку rozmówiły się dziewczęta.

— Ten polski graf kocha cię...

— Wiem! — odpowiedziała Tekla i rozplakała się.

— Czegóż płaczesz? tem lepiej!

— Tem lepiej? ach! dobrze ci to mówić.

— Cóż z tego? on cię tak szczerze, tak serdecznie kocha! może się z tobą żenić.

Róża na w pół wierzyła temu.

— Wiesz co mi mówił?... Myśli cię porwać i uwieść.

— Od was! od kraju!

— Z nim!

— Później się z tobą może ożenić...

— Czemuż nie teraz?

— A! teraz... teraz nie może, ma ojca czy stryja bogatego, bardzo bogatego, który by go pewnie wydzieńczył.

— Ale ten stryj nicby nie wiedział o naszym małżeństwie?

— Tak się to zdaje, Teklo, o wszystkim się ludzie dowiadują...

— Dowie się więc że z nim pojedę...

— Choćby się dowiedział, pomyśli że to kaprys przełotny i gniewać się nie będzie...

Tekla się zamysliła...

— Jak radzisz mi siostro?

— Ja? nie umiem radzić! Żal mi się rozstać z tobą!

— Jakbyś zrobiła na mojem miejscu?

— O! ja! — zawołała Róża — pojechałabym z nim.

— A jeżeli on mnie porzuci... zaprze się... Ach! w obcym kraju, to okropnie...

— To być nie może! On! tak dobry, tak wspaniały, tak przywiązany do ciebie! to być nie może!

— A jeśli się... potem żenić nie zechce?

— Moja droga, — odpowiedziała Róża — to od ciebie zależeć będzie, nie jesteś dziecko...

— Ale ja go kocham, — naiwnie odparła Tekla, — możeż myśleć o sobie ten kto kocha prawdziwie? Dam się uwieść, porzucić, opuścić, nie potrafię nie wymóżyć na nim.

Róża usta zacięła i pomyślała. — Gdybym była na twojem miejscu!

— A więc siostruniu?

— A! sama nie wiem! Opuścić dom, braci, siostry, ojca... i pojechać tak w świat straszno, straszno...

— Odmawiasz więc?

— O! pozwól! nie przyrzekam, nie odmawiam! Głowa mi się zawraca...

Róża obojętnie wstała.

— Słuchaj, — rzekła po chwili zbliżając się, — namyśl się... Jeżeli ci miłość doda odwagi, ja za ciebie zrobię z nim umowę. Nie może się ożenić z tobą, nie może nawet dać ci przyrzeczenia na piśmie, niech da przynajmniej posag wielki.

— Siostro! — zawołała Tekla z gniewem — ja się nie sprzedaję!

Róża zapłoneła. — Zapewne, ale gdy będziesz miała zapis wielki, to go podbudzić może do dotrzymania ci słowa...

— Rób co chcesz, ja go kocham — dodała idąc ku oknu młodsza — ja go kocham i nic nie wiem, nic nie rozumiem więcej!

Tegoż wieczora Róża była długo w Weneckim hotelu

i przyniosła siostrze brylantowe kolce, śliczny pierścionek i arkusz papieru. Na nim był zapis, który hrabia nierozważną ręką nakreślił. Nazajutrz mieli wyjeżdżać. Kolce dostały się Róży... pierścionek przycisnęła Tekla do serca; a o zapisie byłaby zapomniała, gdyby siostra co z niego użytku zrobić tutaj żadnego nie mogła, nie zawiązała go w węzełek malutki, zawierający całe mienie biednej dziewczyny.

Nadszedł wieczór, a choć oknem hotelu patrzył rozmiłowany hrabia, Tekla na myśl odjazdu... płakała...

Żegnała ona wszystkich, wszystko, ulice, przecho-dniów, wieżę św. Szczepana, braci, siostry... miejsca, ludzi, sprzęty! Jakiś instynkt mówił jej w duszy — źle robisz!

Czemuż nie posłuchała tego głosu i poszła za drugim, co go głuszył i wołał:

— On cię kocha!

Czarodziejskie słówko! Nazajutrz zmrokiem Róża z Teklą wyszły na przechadzkę w przedmieścia. W jednym z ogródków gdzie muzyka zwykle grywa i lud się weseli, czekały dziewczęta, na karetę hrabiego. Tekla płakała rzewnie i były chwile że chciała uciekać do domu. Rózi także kręciły się łzy w oczach i już nie wiedziały co robić z sobą, gdy trąbka zabrzmiała, powóz zaturkotał... on nadjechał.

Tekla pojechała.

Nazajutrz rozpacz w domu, stary Drolling rwał siwe włosy z głowy... Ucieczka Tekli okryła je niesławą.

Róża opisywała miłostki hrabiego polskiego z siostrą w których się wszelkiego udziału zaparła.

Dalszej historii Tekli domysleć się łatwo. Hrabia który jej nigdy duszą nie kochał, zobojętniał dla niej.

przecież sumienie nie dozwalało mu jej porzucić. Życie z nią coraz się cięższem stawało. Tekla bowiem dopominała się przyrzeczeń skutku, męczyła przywiązaniem swem, stałością i wiarą której nie zaprzysiągłszy, dotrzymywała. Kilkakroć hrabia wystawiał ją na ciężkie próby, ale zawsze wyszła z nich zwycięzko.

Tak się miały rzeczy, gdy rotmistrz Wiła zaprojektował pozbycie się Tekli wyżej opisanym sposobem.

Hrabia nie tań przed sobą że to przedsięwzięcie trudnem było, a może: — Któż wie? mimo że mu się naprzykrzyła kochanka, sumienie szeptało, iż porzucić jej się nie godzi...

Ludzkie serce... przepaść — powiedział poeta; — ileż to razy za nim ten ogólnik, tę frazę zużytą powtarzać musimy.

Gdy nie ma kogo kochać... tęskni,

Gdy długo kocha jedno... tęskni,

Gdy się z nim rozstanie... tęskni.

Hrabia znużył się Teklą, a chwilami myślał wszakże: gdy jej niestanie, nudno mi będzie! I mimo tej myśli pracował aby się jej pozbyć.

— Nie będzie ta, będzie druga!

Mówił sobie z uśmiechem. Kto wie? ta druga może mnie zabawi, rozerwie, odżywi?

Wszystko nieznanne i przyszłe ma urok szczególny; człowiek w nim zawsze widzi swój ideał, który jest wprawdzie wyrażając się po prostu *niebylicą*, a przecież wyglądamy odwiedzin jego całe życie.

— Tak tedy hrabio — mówił dalej Wiła, — rozpoczynamy działać.

— Czeka! czeka! jakże mnie wprowadzisz do Górowa?

— Naradźmy się... Gdybyś naprzykład hrabia poje-

chał przeprosić za moją niedorzeczność, za ową wizytę? Hm?

— Dla czegoż teraz? nie wprzód! Głupio kochany rotmistrzu!

— Masz hrabia słusznosc... A nie ma tam z wojewodziną jakiego pokrewieństwa, zatem i z nimi koligacji, styczności? Panowie, — dodał, — zwykle są trochę krewni...

— Gdyby i tak było, — rzekł Hubert, — bo babka moja i matka wojewodziny były stryjeczne siostry... dla czegożbym dopiero po sukcesji miał się o tem dowiedzieć?

— Rzecz naturalna! Boś hrabia nie wiedział że miały jakąkolwiek styczność z wojewodziną...

— Pretekst i oczywiście kłamstwo! Blichtry! kochany rotmistrzu! Szukaj czego innego w głowie...

— Gdybyś hrabia, jadąc przez Górów, wywrócił się, potłukł...

— A! ba! stara jak świat sztuka! wszyscy się na niej poznają. To trzeba by coś lepszego.

— Przychodzi mi na myśl! O! wybornie. — I Wiła klasnął w ręce z całą siłą.

— Nie strzelaj, a mów, zobaczymy i osądzim, pewnie przedwcześnie się cieszysz.

— Zdaje mi się że nie! Znalazłem sposób. Trzeba wiedzieć (o czem wszyscy wiedzą prócz hrabiego) że stary krajezy ma jedną słabość.

— Jakąż słabość?

— Kocha się...

— Kocha się? przecież kochanku...

— Kocha się hrabio, ale w kawałku lasu, który mu został przy Górowie. Ten kawałek sośniny i dębiny,

hodowany i pielęgnowany jak oko w głowie, szacuje on na krocie, kto wie czy nie miljony.

— Ale cóż mi z tego!

— Ba! ten lasek jest w dyferencji ze Śliwinem; używalność przy nich niby, ale niemniej zowie się to dyferencją i ojciec pana hrabiego stracił w procesie, jak mi mówił Ławryńkiewicz, z piętnaście tysięcy... Szukali kopców w mogiłach...

— Ale ojciec mój przegrał.

— Przegrał? niezupełnie, nie łatwiejszego jak podnieść proces! w pierwszej instancji tylko przegrano...

— Ale cóż mi z procesu!

— Już cię jasno jak na dłoni. Dla interesu można pojechać do Górowa. Wyniosą się pozwy i napisze się list do krajczego, naznaczy się dzień zjazdu w Górowie... A kto raz tam był, wszak może być i dziesięć, zwlekając układy i wyjaśnienia interesu. Tymczasem pannie Tekli można szepnąć...

— A ona mi oczy wydrze!

— Hrabio! zdaje mi się żeśmy się postarzel!

— O mój drogi! i bardzo...

— Więc dajmy pokój i siedźmy cicho popijając ciepłe piwko u komina...

Hrabia milczał i myślał, a po chwili:

— Wiesz rotmistrzu, to nie jest zły projekt. Jeśli się uda... jeśli mi Niemkę wykurzysz, cztery kasztanki twoje!

Wiła się skłonił a pomyślał w duchu:

— Coś więcej zyskuję nad nie, bo znowum pan w domu... Zje licha żebym potem wpuścił niebezpiecznego ptaszka. Będę ostrożny... Anusi wiele zechcesz, ale tych pań co to w brylanty i kaszemiry się stroją... wara!

— A więc, — rzekł Hubert — jutro dać dyspozycją Ławrysiewiczowi, aby pojechał i pozwy wniósł... tak, żeby pozew poprzedził mój list.

— Nic łatwiejszego... ale na proces potrzeba pieniędzy...

— Dam...

W tej chwili drzwi się otworzyły i Dureczyński spytał:

— Czy można? Idę się skarżyć na ekonomówne.

— A! daj mi pokój ze swemi błazeństwami i idź spać! fuknął Hubert. Stary zamknął drzwi i poszedł z nosem spuszczone.

INTRYG I.

W kilka dni potem krajczy zdziwiony, odbierał pozew. Wszelki inny byłby go nie poruszył wcale, nadto do nich przywykły; ale pozew o lasek! o ten drogi lasek, który go tyle kosztował! którym żył i oddychał! Stażec zerwał się z krzesła i zawołał:

— Panno Scholastyko! to okropność!

— Co się stało! — spytała ciotka widząc go niezwykle poruszonym...

— Co? co? *Spes in Deo*, to szalony! Hrabia pozywa mnie o lasek! tyle lat milczenia, używalność, posiadanie! Ojciec przegrał! To Ławrysiewicz baki mu świeci, aby wydrwić co... Pozywają! pozywają!

— Nie martw-że się Wpan przedwcześnie, — zawołała Scholastyka. — Teraz damy sobie rady, mamy pieniądze...

— Ja nie mam pieniędzy!

— To ja pożyczę a ewikeja na lasku!

— Ale po co mi koszt i kłopot. Nocy nie będę miał spokojnej... Mój lasek! krocie, krocie. Przewąchał że mam w nim tyle masztów, bo Hryć powiada że ogromnie ich wiele się kwalifikuje na to! Oszalał, oszalał...

Słowem, krajczy tak uczuł ten pozew, że ciocia musiała dla uspokojenia wezwać prawnika, pana Piotrusińskiego, którego przypilnowawszy w sieniach nim wszedł do pokoju, wyuczyła co miał staremu mówić.

— Mów pan, — rzekła — że hrabia przegra, choćby tak nie było... Gdyby wygrał, jeszcze mów że przegrał; gdyby zajął lasek, mów że go nie zajmie, stary nigdy nie jeździ, nie wiele mu życia zostało, nie godzi się by się tą lichotą martwić i życie sobie skracać.

Ale stary, odżył uderzony w lasek...

Pan Piotrusiński zmagał się na dowody że z procesu nic być nie może; krajczy roił i ukazywał mu niebezpieczeństwa. Na starych mapach stało „*Dyferencja*“, od dwóchset lat była o to kwestja... Gromady Śliwina i Górowa przysięgały obie a dukt oznaczony w starym dokumencie z powodu wyschnienia wodociecicy użytej na młyn i odwróconej, z pewnością oznaczyć się nie dawał.

Krajczy żywo był niespokojny.

Nazajutrz nadszedł list hrabiego.

Po tytule następowało:

„Tyle lat przeżywszy zgodnie w sąsiedztwie, z prawdziwą przykrością przychodzi mi zakłócić spokojność JW. pana i wywołać dawno zapomniany proces. Lasek graniczący z Śliwińskimi borami z dawna za własność naszą uważany, za ojca mojego pod procesem zostający, którego ustąpić bez ostatecznego rozstrzygnięcia drogą jakąkolwiek nie mogę i nie powinienem... staje się dziś powodem

sporu, nad którym ja pierwszy ubolewam.

Wskreszenie kroków prawnych, zechcesz mi JWpan darować, zważając że człowiek ma obowiązok szanowania i utrzymywania własności swej jaką w spadku otrzymał i jeśli jej pomnożyć nie umie, uronić przynajmniej nie powinien. Boleję nad tem, ale widzę konieczność dopominania się o to, co za swoje uważam.

Rozpoczęty proces przykry mi jest i bolesny, a że nie chciałbym zasłużyć na imię pieniacza, chętnie wszelkie przyjazne ukończenia przyjmę. Czy nie moglibyśmy zdać się na arbitrów? albo nie zdało by się JWpanu dozwolić mi przejrzenia jego dokumentów, gdyż raz przekonany że nie mam za sobą ani prawa, ani prawności chętniebym od pretensji odstąpił. Jeśli mi JWpan pozwolisz służyć sobie w Górowie, może się porozumiemy.

Oczekując łaskawej odpowiedzi, miło mi wyznać uszanowanie i poważanie z jakimi zostaje

Jaśnie wielmożnego pana

Dobrodzieja

najniższym sługą

Hub. hr. Śl.....“

Listu tego redakcją zajmowali się wspólnie rotmistrz z panem Ławrysiewiczem.

Adwokat nie mógł nic zrozumieć, śmiał się z pozwów i wzruszał ramionami, ale robił co kazano.

Krajczy jak skoro list odebrał, przeczytał i zapomniawszy na srogą urazę jakiej doznał od hrabiego, siadł i odpisał zapraszając go na dzień jutrzejszy do Górowa.

List ten staroświeckim trybem ułożony wart jest umieszczenia.

„Jaśnie Wielmożny

Hrabio!

„Przyjmując *cum gratitudine* wielce drogą propozycją JW. hrabiego, amikalnego ukończenia interesów w mowie będącego, którą za dowód szacownej jego łaski rachować ośmielam się, spieszę rewersyjnie chęcią gotową ku zgodzie i świętemu pokojowi odpowiedzieć...

Dnia zatem jutrzejszego, t. j. *ultima presentis* z szlacheckim objadkiem oczekiwać będę, pochlebając sobie, że wejrzenie na dokumenta i fascykuły tej sprawy tyżące się, przekona o słuszności praw moich.“

Zakończenie listu, wedle tradycyjnego prawidła, ściśle zastosowane zostało do pisma hrabiego i prawie tąż samą formułą go zamknęło.

Starzy nasi ojcowie i dziadowie pilnowali tego bardzo, zwłaszcza odpowiadając osobom mało znajomym, aby tak się podpisać jak się do nich podpisano; z respektem, szacunkiem, poważaniem, uszanowaniem, najniższym służą, służeczką, bratem i t. p.

Hrabia odebrawszy odpowiedź, pokazał ją Wile uśmiechając się, a ten pokręcił wąsą zwycięzko.

— Płyńmy — rzekł.

— Płyńmyż.

Zadysponowano kocz wiedeński, cztery konie szpakowate, wielką liberję i panu Ławrysiewiczowi, aby był gotów na dziesiątą. Pan Wila byłby jechał, ale mu przyzwoitość w tym domu pokazywać się nie dozwalała.

W Górowie wielkie przygotowania. Panna Scholastyka krwawo i śmiertelnie obrażona, postanowiła pokazać hrabiemu, że postępowanie jego dawniejsze wymie-

rzane zostało na osoby, które wcale na nie nie zasłużyły. Wykreśliła więc sobie sposób postępowania i siliła na to, aby zamożność domu pokazać.

Posłańcy rozbiegli się na wszystkie strony. Książę F... musiał dać kucharzy, zakupiono w miasteczku co tylko było można dostać, najwytworniejsze wina, porcelanę, srebro, szkła, meble. Dom w dwadzieścia cztery godzin ubrał się do niepoznania. Ludzie najęci wystąpili w czarnej ale z cienkiego sukna i jednym krojem liberji. Przepyszny angielski dywan zaścielał całą podłogę. Mahoniowe meble zajęły pierwszy pokój, portrety rodzinne ze wszystkich zakątków, strojne w nowe ramy, umieszczono w bawialnym. Zaproszono pana Piotrusińskiego dla porady, a Seweryna dla towarzysztwa.

Ale list panny Scholastyki nie zastał go w domu.

Krajeży żegnał się widząc tyle przygotowań i odmian.

— Zrujujemy się — mówił — *spes in Deo*, nieochoybie.

— Nie bój się panie krajeży, wszystko z moich, gotowych pieniędzy.

— Ale do czego taki ekspens?

— Mam swoje powody!

— Swoje powody! Wola waćpanny... ale robię uwagę... To *luxus* niesłychany...

Panna Scholastyka zamilkła — Marja dobrowolnie i za poradą ciotki, w czasie bytności hrabiego, pokazywać się nie miała...

Gdy powóz najwytworniejszy hrabiego posuwa się ku Górowu, rotmistrz pokręciwszy wąsą, wsuwa się do pokoju panny Tekli.

— Dzień dobry pani!

— Dzień dobry...

— Co tu u pani słyhać?

Rotmistrz westchnął i usiadł.
— Nie, kochany rotmistrzu... Ot kwiatki mi nie tak idą jak powinny.
— Doprawdy? rok niedobry!
— Dokąd to hrabia wyjechał?
— Nie wiem — zakłopotanie udając, cicho rzekł rotmistrz — nie wiem... chociaż...
— Chociaż co?
— Chociaż się poniekąd domyślam!
Pokiwał głową.
— Tak to u tych panów! służ! służ! nadskakuj! daj mu życie... a on ci na końcu tyłem się powróci.
— Cóż ci to rotmistrzu?
— Pojechał do Górowa... Nie mi...
Westchnął znowu.
— Napadło cię dziś wzdychanie...
— Pani nic nie wiesz?
— Powiedz-że mi, coś takiego?
— Gdybym wiedział że mnie nie wydasz...
— Tajemnica! mów śmiało! komuż-bym ją powiedzieć mogła? Gdybym chciała nie ma komu...
— Ba... jest to rzecz taka, że pierwszy hrabia, gdyby się dowiedział...
— Cóż to być może?
— Jedynie szacunek jaki mam dla pani...
— Rotmistrzu! bałamucić mnie chcesz!
— Nie... ale ostrzedz...
— Znowu jaka Anusia?
— O! gorzej! sto razy gorzej... Pani wiesz co się dzieje w Górowie...
— Nie nie wiem. Nie jestem ciekawa i nikt mi nowin nie przynosi.

— 55 —
— Panna synowica krajczego odziedziczyła miljony!
Brwi Tekli zmarszczyły się.
— Hrabia pojechał do Górowa, wiesz pani po co?
I spojrzał jej w oczy.
— Chce się żenić! uważa pani?
— To być nie może! — zawołała Tekla.
— O! o! znam ja ludzi! i choć mi nic nie mówił, widzę co się święci...
Tekla spuściła oczy, rzuciła o ziemię trzymany w ręku bukiet i zawołała:
— Chce się żenić? A ja? a ze mną co zrobi?
— Nie wiem... miarkuję wszakże...
— Że mi zechce dać konie, powóz i coś tam na drogę, abym sobie pojechała? nieprawdaż?
Rotmistrz ruszył ramionami.
— Zobaczym, czy się tak łatwo mnie pozbyć.
— A jeśli zechce zapewnić jej los...
— Jakto rotmistrzu?
— Jak? juścić pewnie nie inaczej jak pieniędzmi.
— Niech je sobie schowa! Nie potrzebuję pieniędzy!
Ale to fałsz, to ci się przywidziało, być nie może.
— Niech mi się przywidziało.
— Zkąd pewność, że się starać myśli?
— Właśnie żem prawie pewny... Przebąkiwał, dawał do zrozumienia...
— Któraż kobieta odważy się go przyjąć... któż nie wie, że ja tu jestem?
— O! miła pani — przerwał rotmistrz udając smutne oburzenie — mitra hrabiowska...
Tekla potrząsała głową.
— Nie wierzę temu! Nie wierzę póki mi sam nie powie... A! naówczas...

— Cóż naówczas?

— Naówczas plunę mu w oczy jako podłemu i pójde naga, pieszo z tego obrzydłego domu.

Wiła wasy pokręcił.

— W istocie — dodał — przywiduje mi się zapewne, nie ma nic pewnego! Nie chcę uwierzyć rzeczywistości, to by było tak niegodziwie... Dzień dobry pani. — I wyszedł.

Rzucona myśl nie poszła na próżno. Tekla nie wyszła na objad, dzień cały została w pokoju i płakała.

Tymczasem w Górowie przyjmowano Huberta grzecznie, ale zimno i dumnie.

Ciocią kierowała przyjęciem. Mało mówiąca, ostra, złośliwa nawet, starała się dać uczuć gościowi, że go przyjmuje grzecznie; bo ludzie dobrze wychowani do ostatnia są grzeczni — ale nim gardzi. Hrabia od dawna nie był tak zmieszany i stracił na ten raz zwykłą przytomność umysłu i pewność siebie. Napróżno wyglądał wyjścia Marji, Marja nie ukazała się. Konferencja prawna spełzła na niczem i hrabia przyrzekł za dwa dni przyjechać znowu ze swemi dokumentami, których umyślnie zapomniał. Po pierwszym przyjęciu nie bardzo mu się już jechać chciało, ale począwszy, chciał dojść do jakiegokolwiek końca. Rotmistrz powtórzył mu swoją rozmowę z panną Teklą.

— Niech mi zresztą plunie w oczy — zimno rzekł hrabia — byleby sobie z Bogiem powędrowała.

Zaprzęgano konie na drugie odwiedziny do Górowa, gdy Wiła wsunął się do pokoju Tekli i szepnął jej w ucho:

— Patrz-no pani, znowu jedzie!

— Dokąd?

— A dokąd-że, do Górowa. Ławrysiewicz mi mówił, że już się ma około intercyzy...

W tej chwili sam hrabia wyświeżony, uperfumowany ukazał się na progu.

— Dokąd-że to pan jedzie?

Wiła usunął się i umknął.

— A! do Górowa z powodu... procesu!

— Tylko procesu?

— Zdaje mi się...

— W Górowie jest panna bogata?

— Jest...

— Pan się o nią myśli starać?

— Zkąd to wiesz? — udając pomieszanie, zdumienie, zawołał hrabia.

— A! więc tak jest! — przerwała Tekla.

Hubert spuścił oczy.

— A gdyby tak było — rzekł — gdyby tak było!

— Cóżbym ja w tym domu znaczyła?

— W tym domu? zapewne... Ale gdzie indziej. Słuchaj Teklo, mówmy rozumnie.

Niemka cała w płomieniach cofnęła się na krok.

— Słucham pana!

— Przeżyliśmy lat kilka... mnie czas z siwym włosem myśleć o ożenieniu stosownem.

— W czas się opatrzył!

— Ja nie chcę twojej krzywdy!

— Cóż to się nazywa moją krzywdą?

— Nie chcę cię opuścić, porzucić, i jak inny by uczynił, zapomnieć i na przyszłość...

— A cóż chcesz uczynić?

— Chcę cię, jak słuszna, wyposażyć, zapewnić ci los i powrót do kraju...

Oczy Tekli zaiskrzyły się ogniem dumy obrażonej, gniewu, rozpacz.

— Powróć do niego pieszo! — zawołała — powróć! Dziś jeszcze, w tej chwili!

Nic nie chcę od ciebie!... Uwolnię cię od ciężarów, ale pomstę Bożą zostawię na głowie twojej... Zginiesz marnie jak pies...

To mówiąc wskoczyła we drzwi i pobiegła w dziedziniec, w jednej sukni tylko, jak stała; nie oglądając się za siebie i nie odpowiadając na wołanie hrabiego, który stał wryty, doprawdy pomiészany i nie wiedząc co robić.

— A co? poszła? — spytał nadbiegający rotmistrz.

Hrabia mruknął niewyraźnie.

— Poszła jak stała! nie nie wzięwszy!

— Ona powróci! powróci!

— Posłać za nią konie! — dodał hrabia gniewny. I wszedł zachmurzony do pokoju. — Nie pojedę do Górowa...

Wyprządz konie i napisać, że przepraszam, żem chory.

Wiła spostrzegłszy zły humor pański, sam popędził za uciekającą, pewny będąc, że ją do powrotu namówi.

Na długiej grobli wiodącej ze Śliwina do wioski, którą dzierżawił Seweryn, napędził Niemkę idącą żywo, całą we łzach.

— Co to jest? gdzie pani bieżysz? — zawołał — hrabia posyła za nią?

— Nie jestem poddaną grafa — odpowiedziała — wróć do niego i powiedz mu, że brzydzę się nim jak najpodszybnym z ludzi, nim, tobą, wami wszystkimi.

— Oho! z wysokiego tonu pani poczyną! Ale daleko!

to myśli tak zajść w szlafroczy, bez grosza, pieszo w kraju, gdzie u wrót pierwszej wioski zapytają o paszport i przytrzymają?

— Zajdę do pierwszego dworu, nikt mi kawałka chleba i dachu nie odmówi... będę żyć jałmużną.

To mówiąc posunęła się żywiej, a rotmistrz skrobiąc się w głowę zatrzymał, myślał.

— Panno Teklo — rzekł — niech-że pani się namyśli i szaleństwa nie robi!

Niemka nie odpowiedziała.

— Konie za panią idą...

Nie.

— To idź-że do diabła! — zawołał faworyt odwracając się i spiesząc ku dworowi. — Gonić za tobą nie będziemy.

W pierwszym zapale, wyrwawszy się Tekla, biegła raczej niż szła, a gniew, oburzenie sił jej dodawały; ale wkrótce znużona, zapłakana, upaść musiała na ziemię pod drzewem. Było to na wpół drogi między Śliwinem a Tarnoborem — Seweryn jadący konno do folwarku drugiego, najechał na siedzącą, i zamyślony o mało nie spadł, gdyż klacz mu się spłoszyła.

Spojrzał i naturalnie stanął.

— Co to jest pani? — spytał.

— Co mi jest? — zawołała porywając się Niemka. — Widzisz... Jestem wypędzona, bez dachu, bez pomocy, bez opieki. Sama w świecie...

Łzy znowu potoczyły się po twarzy.

Nie powiem, jak zwykle poeci i powieściopisarze, że piękna była we łzach...

Sąż łzy piękne, sąż twarze piękniejsze, gdy je smutek wykrzywia, czerwieni i mieni. Tekli wcale nie do twarzy we łzach było: nosek się czerwienił, lica

płoneły i oczy tonęły w gorącym płaczu, który je pozabawiał blasku. Seweryn wcale też nie dla jej wdzięków ulitował się nad nią.

— Cóż pani poczniesz z sobą?

— Nie wiem. Wybiegłam jak stoję, nie mam nic... nie myślałam dokąd się udać, gdzie się podziać...

— Ale przecież?

— Pójdę żebrać...

Seweryn, który bolał nad sobą właśnie i cierpiał od czasu jak Marja stała się dla niego nieprzystępną otrzymanem dziedzictwem, skłonny był w tej chwili do litości.

— Wracam do domu — rzekł nie zastanawiając się. — Przyszłę konie po panią.

W Tarnoborze zostaniesz pani póki zechcesz. Ażebym zaś ludzie przeciwko temu nie mówić nie mogli, nie zsiadając z konia, wyjeżdżam do drugiego folwarku.

Tekla nic nie odpowiedziała, co chwila jaśniej widziała, że rady sobie dać nie potrafi; nie mogła odrzucić pomocy, którą jej ofiarowano. — Seweryn zawrócił i popędził ku domowi.

W oddaleniu czatujący rotmistrz dostrzegł spotkania, domyślił się rozmowy i pospieszył do hrabiego.

— A wie graf co się stało?

— Cóż się stało?

— Panna Tekla poszła do Tarnoboru...

— Kazałem posłać konie za nią, zawrócić ją tutaj.

Słyszałeś waćpan?

Rotmistrz nie śmiał przebaknąć, tak piorunującym te słowa wyrzekł Hubert głosem; wyszedł. Ale z za drzwi odezwał się cicho:

— Spotkała się z panem Sewerynem.

— Posłać konie za nią! — zawołał hrabia.

Rotmistrz zastał przed stajnią kocz gotowy, sam siadł na kozłach i poleciał cwałem. Ale nim się to stało, nim dobiegł do miejsca, gdzie porzucił Teklę, nadeszły konie Seweryna i zabrały ją do Tarnoboru.

Hrabia przechadzał się gniewny i zasepiony po pokuju. — Rzucił cybuchami i psy potraçał — nikt z sług w oczy mu zajrzeć nie śmiał, gniew jego bowiem był straszny, choć krótko trwał.

Słowa Tekli, jej duma, jej postępek wzruszyły go do głębi; żałował swego kroku. Chciał się jej pozbyć, ale wcale nie w ten sposób, zbogaconą, wynagrodzoną, spokojną, uśmiechniętą myślał ją odprawić do Wiednia. Przywiązanie jej, oburzenie, szlachetność, zawstydzaly go. Przebiegał myślą całe życie z nią spędzone i nic nie mógł znaleźć do wyrzucenia. Sumienie gryzło, co chwila wyglądał, niepokoił się, rotmistrz nie wracał.

Nie spotkawszy się nigdzie z nią na drodze, Wiła popędził do Tarnoboru.

Hubert niecierpliwił się i przeklinał; silnie wzruszony, zaczynał przypuszczać, że ta kobieta, z którą lat kilka spędził, była dla niego koniecznym warunkiem życia, szczęścia.

Próba go o tem przekonywała — potrzeba jej było, żeby niepoznane szczęście, w sercu będące, wyraźnie mu się objawiło.

Człowiek się zwykle tem srożej gniewa i większą winę na drugich składa, im sam czuje się winniejszym. Tak właśnie Hubert wściekał się na rotmistrza.

— Jego rada, jego sprawa! szalony żem posłuchał! Ja bez niej żyć nie będę, nie mogę... jak psa go wypędzę... jak psa.

I biegał z pokoju do pokoju, patrzył na drogę, Wiła nie powracał.

Tekla była już w Tarnoborze, a Seweryn siadał na konia, mając natychmiast odjechać do drugiego folwarku.

Znał on sąsiedztwo i już po czynie przychodziły mu na myśl tłumaczenia, które niechybnie powstać z niego miały. Uczciwy człowiek, spokojny na sumieniu, nigdy się taką uwagą od dopełnienia powinności nie odwiedzie; niemniej wszakże Seweryn uczuł się niespokojnym. Nie przewidywał co jeszcze nastąpić miało.

Rotmistrz nadjechał i wysiadł rzucając lejce słuzącemu.

— Przepraszam pana — rzekł do Seweryna — jestem wysłany przez hrabiego po pannę Teklę, która w chwilowem rozjątrzeniu podobno tu się schroniła.

— Panna Tekla Drolling jest tutaj...

— Chcę się z nią zobaczyć.

— Proszę za mną.

I Seweryn wprowadził go do pokoju, w którym zastali ją leżącą na kanapie i rzewnymi łzami płaczącą.

— Hrabia oczekuje na panią! — rzekł rotmistrz — prosi, wzywa...

— Nie jestem ani poddaną hrabiego — zawołała porywając się kobieta — ani w żaden sposób mu podległą... Rozkazów nie przyjmuję... wracaj waćpan ząd przybyłeś.

— Co pani jest? co pani jest? — rzekł przybliżając się Wiła. — Pani się gubisz! hrabia w gniewie.

— Rady nie potrzebuję, gniewu się nie lękam; idź wać pan...

— Pani jesteś w obłąkaniu, życzę się z krwią zimną zastanowić, na czem się to skończy.

— Wszystko się skończyło — przerwała Tekla.

— Przestrzegam panią — dodał eksasperując się rotmistrz — że jeśli jechać nie zechcesz, gwałtem ją wezmę...

— Gwałtem! — zawołała kobieta — jestem pod opieką gospodarza i on nie da dopełnić gwałtu...

Seweryn skinął głową i dodał:

— Przepraszam pana rotmistrza i hrabiego, ale każdy w mojem położeniu toż samo by uczynił... Ażebym nie był podejrzany o żadne mniej chlubne powody obrony, sam wyjeżdżam, ale dziesięciu ludzi postawię na straż i gwałt tu stać się nie może.

— Szanowny sąsiad bierzesz na serjo fantazję panny Tekli...

— Kobieta ucieka się pod moją opiekę rotmistrzu, powiedz, co byś uczynił?

— O! ja — rzekł wzruszając ramiony Wiła — znając co za kobieta...

— Podły służalec! — zawołała zgrzytając zębami Tekla.

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć co za kobieta... dość, że kobieta.

— Pozwolisz pan sobie powiedzieć, że bierzesz ciężar, którego wagi nie czujesz dziś, a który może go przywalić w przyszłości.

— Czynię com powinien.

Rotmistrz powtórnie ruszył ramionami ze wzgardą. — Egzageracja! — rzekł — egzaltacja! Ale wola pańska...

Uklonił się i odjechał.

Seweryn w oczach jego siadł na konia i ruszył także.

JESZCZE TOŻ SAMO.

W Górowie z nieszczęśliwym tym spadkiem nowe wyrosły strapienia i kłopoty. Interesa, przyjęcie gości, nowe i stosowne do położenia teraźniejszego urządzenie domu, czas zabierały, techną i spocząć nie dając. Wierzyiele krajczego, jego ubóstwem dawniej wstrzymywani, teraz się cisnęli bezustannie. Panna Scholastyka upadała pod ciężarem nowych prac i obowiązków.

Dodajmy, że przysposobione jej dziecię, ukochana Marja, co dzień bladła, smutniała i kilka razy na dzień zalewała się łzami. Seweryn nie przyjeżdżał.

Co gorzej, dziwne wieści o nim krążyły.

Biedne dziecię powiadało sobie, że trzeba o nim zapomnieć — a płakało. Było to pierwsze przywiązanie Marji! Wierzyła na chwilę, potem wzdrygała się i odpychała pogłoski niepocziwe, chodzące w sąsiedztwie i z szczególnem staraniem szybko przynoszone do Górowa.

Widząc jak starania wszystkich nie wiodły do niczego, wszyscy się nareszcie zgodzili na jedno: Panna Marja kochała się w Sewerynie, a ciotka nie chciała zapewne iść za mąż, póki by siostrzenicy nie wydała.

Tak w wysokiej swej mądrości wyrzekła pani Doliwowa i wszyscy za nią powtórzyli: Tak jest! tak jest niechybnie!

A zatem należało działać przeciwko panu Sewerynowi. Działano też... o! i skutecznie!

Nazajutrz po opisanych wyżej wypadkach, stary kocz Doliwów toczył się do Górowa w popołudniowej godzinie.

Zwyczajko rozsiadła się w nim jejmość brzemienna wielką nowiną, którą pielegnowała, którą w głowie swej

stroila, przestrajala, wykręcała, układała, ażeby jak najważniejszą, stanowczą uczynić.

Zapowiedziała najprzód sobie, żeby nie wspominać o wyjeździe Seweryna z Tarnoboru, po wtóre, połączyć historję drugą z pierwszą, o której była mowa, po trzecie, tak mówić, aby Marja słyszała.

Nielitościwa jęzka wiedziała, domyslała się, jaki skutek pierwsza jej powieść uczyniła na Marji, postrzegła ją bladnącą, wychodzącą spiesźnie dla ukrycia pomieszanja, łez, wrażeń odebranego. To nietylko nie powstrzymało jej od ponowienia czynności, ale ją podbudzało ku niej jeszcze. Wyznajmy, że działając dla dobra syna, nie mogła okrutniej zadać fałszu nazwaniu swego macierzyńskiego przywiązania — miłością!

Wprawdzie wilczyce przynoszą swoim małym zakrwawione poszarpanych bydłał wnetrznosci! Pani Doliwowa tak serdecznie chciała te miliony przelać na głowę Teodorka, ukochanego Teodosia!

Scholastyka kocz jej ujrzawszy, pobladła, zagryzła usta, wzdrygnęła się, ale mogłaż nie przyjąć odwiedzin? Na wsi poczytuje się to za srogą obrazę, cóż dopiero, gdyby się tego dopuścili świeżo z bogaceni? Włożono-by to na rachunek dumy ich. — Niestety! niewolnikami jesteśmy zawsze i wszędzie!

Pani Doliwowa weszła uśmiechająca się, promieniąca, jasna jak słońce, strojna w pomarańczowe wstążki.

Zły to był znak! Harpie cieszą się gdy lecą za pastwą i trzymają ją w szponach, a nasza słodziuchna sąsiadeczka w pomarańczowych kokardach zasługiwała na ten przydomek mitologiczny. Gdyby u nas można było zrobić ilustrowane wydanie, z jakąż rozkoszą

wyrysowalibyśmy wam wyraz twarzy pani Doliwowej, wchodzącej do salonu.

— Jak-że zdrowie kochanej pani?

— Tak dawnośmy się już nie widziały!

— Droga pani!

— Jak-że mi miło...

Poczem nakrzywiwszy się i nawykrywiawszy, usiadła na kanapie.

Marji nie było, obejrzała się.

— A panna Marja?

— Nie bardzo zdrowa...

— Jak-to? nie ukazuje się nawet?

— Owszem, ale dziś nie wiem z pewnością...

— I cóż to jest?

— Jakieś osłabienie; podobno użycie wód będzie nakazane...

— O! doprawdy! Na tak długo stracilibyśmy przyjemność widzenia ich.

Scholastyka tylko się uśmiechnęła, w pół dziękując, w pół złośliwie. Nic ślepszego, żaden kret nawet, nad człowieka zapalczywie dążącego do celu — pani Doliwowa nic nie zobaczyła w tym uśmiechu, nawet tego co było widocznem.

Rozmowa poszła zwykłą drogą.

Podano herbatę, Marja weszła, sąsiadka zarumieniła się i po przywitaniu najczulszem, już miała *ex abrupto* przystąpić do opowiadania; gdy Hasling świeżo ogolony, wystrojony, oczywisty pretendent do cioci, nadjechał z ogromnym bukietem kwiatów.

Po ten bukiet jeździł nieszczęśliwy wdowiec dwie mile i zapłacił zań dwa złote. Ale też widzieć go było i podziwiać. Ogromne dahlje, i co tylko najkraśniejszego

znalazło się w książęcym ogrodzie, błyszczało w nim spakowane najniezgrabniejszym sposobem.

Ciocia odbierając dar, parsknęła mimowolnie. Doliwowa usta zacięła szydersko, Hasling niecierpiany był od niej, a znienawidzony od czasu spadku gorzej jeszcze. Sąsiedztwo, a zwłaszcza Doliwowie, uważali go za coś tak dalece niższego od siebie, iż starania jego jawne w Górowie niecierpliwiły ich. — Śmiał stawać w jednym rzędzie z nimi — z nimi! Wzdrygnęli się na to zachwalstwo!

Potrzebowaliśmy o tem nadmienić, aby następującą wytłumaczyć rozmowę, w której Hasling grał rolę na wieki zabijającą go w oczach Pokotyłów, Doliwów, Kulikowicza. Oni wszyscy uradzili usunięcie Seweryna, on nie wiedząc o tem, a może nie widząc potrzeby (gdyż na ożenienie synów przestał być rachować i liczył tylko już na swoje —), poszedł wbrew wszystkim.

Oto jak się rzeczy miały.

Podano herbatę...

Ciocia gospodarzyła, krajczy kawę w milczeniu popijał. Marja usunęła się na stronę i szyła w krosienkach ze spuszczoną głową. W pół cicho ozwała się pani Doliwowa:

— Państwo wiedzą o wypadku pana Seweryna?

Marja zadrżała, ale niżej jeszcze głowę spuściła, ciotka poruszyła się żywo. — Cóż się stało?

— O! ja to zawsze prorokowałam — dodała sąsiadka — skutek tych częstych odwiedzin u hrabiego nadszedł, to było nieuchronne.

— Ostatnią razą — mówiła — państwo wiedzą co się wydarzyło z panną Teklą? — wszyscy milczeli.

— Teraz to coś gorszego. Pokazuje się ze wszystkiego, że Seweryn wpadł w oko Niemce... Hrabia zazdrośny zrobił jej scenę, a ona wprost uciekła do Tarnoboru!

Hasling śmiał się.

— Czego się pan śmieje? — spytała serjo pani Doliwowa. — Kończę opowiadanie. Zaledwie umknęła, po-goń za nią... Nadjeżdża rotmistrz, wyrzuca na oczy pannie Tekli jej postępowanie... ta zmieszana już się decyduje wracać do Śliwina, ale pan Seweryn nie dozwala, opiera się, kłóci i siłą odpiera rotmistrza. Słowem, piękna Niemeczka mu została.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Hasling.

— Czego się pan śmieje?...

— A! a! bo to ktoś pani niepocziwą bajkę splótł...

— Proszę pana — zaczerwieniona odezwała się sąsiadka — to jest impertynencja.

— Żadna *impertencja* mościa dobrodziejko, bo to wszystko bajka...

— Jak pan to śmiesz mówić?

— Śmiem, bo na połowę oczyma mojemu patrzałem, a połowę z ust najinteresowańszych, bo od hrabiego słyszałem.

— Pan byłeś u niego?

— Za interesem; ale taki był poruszony, że wszystkim opowiadał kto chciał słuchać.

— Więc nie tak było? — spytała Scholastyka.

— Całkiem przeciwnie. Hrabia pogniewał się na swoją Niemkę, ta dumna i zła z domu jak stała uciekła, sama nie wiedząc dokąd bieży. Na wpół drogi spotkał ją płaczącą pod drzewem jadący konno Seweryn Kotlina. Zaczęła przed nim na swój los narzekać, że się nie miała gdzie podziać... Co było robić? he? musiał jej

powiedzieć: Jedź pani do Tarnoboru, ale żeby ludzie nie brali na języki, ja przeniosę się do Glinek. Cóż się tedy dzieje? Hrabia wysłał za nią rotmistrza, ten goni i dogania aż w Tarnoborze. Ale panna Tekla nie chce jechać i łaje... Wiła, nie w ciemę go bito, myśląc, że pannie chce się być zmuszoną, powiada: Ja gwałtem cię wezmę.—Ona na to: Nikt mnie gwałtem nie zmusi, bo jestem pod opieką pana Seweryna, a pan Seweryn potwierdza. A co było robić?

Doliwowa złośliwie się uśmiechnęła.

— Pan Wiła odjechał z kwitkiem, a Seweryn w jego przytomności, zawsze żeby ludzie nic nie gadali... ruszył do Glinek. Ot, jak było.

— Znać że pan Seweryn ma w panu gorliwego przyjaciela i obrońcę... winszuję mu, ale ludzie inaczej to opowiadają...

— Ludzie, pani dobrodziejko, opowiadają jak im z tem lepiej, wygodniej.

Konwulsyjnym ruchem rąk szarpnęła jejmość chustkę na sobie, zżymnęła się i siadła dalej na kanapie.

— A więc nam zapewne powie i dalszy ciąg historii?

— Nie wiele, bo nic nowego nie zaszło.

Hrabia parlamentuje; panna Tekla gniewa się niby jeszcze i siedzi w Tarnoborze, Seweryn w Glinkach ciągle.

Marja podniosła rozjaśnione oczy i wejrzenie jej wesołe nieco, spotkało się z ciotki umyślnie posłanym wzrokiem. Scholastyka mówiła jej: — A widzisz. — Ona odpowiadała: — Daj Boże!

Nie potrzebuję mówić, że Doliwowa skwaśniała, schmurniała i kilka tylko słów odezwała się w czasie bytności Haslinga; widocznie starała się go przesiedzieć.

Nareszcie podniósł się i wziął za czapkę myśląc żegnać. Ciocia przez wdzięczność, że zaprzeczył opowiadaniu Doliwowej, pożegnała go tak grzecznie, tak uprzejmie, że w istocie staremu mogła się głowa zawrócić, a sąsiadka burzyła się z gniewu. Marja uśmiechnęła mu się także słodziuchno i nie wiedząc jak zapłacić za trochę nadziei, prosiła, aby się córkom kłaniał i przywiozł je kiedy do Górowa.

Hasling śpiewał mazurka siadając na bryczkę, tak był szczęśliwy.

Ale Doliwowa została.

Długo, długo milczała, gryzła usta, ruszała się, miętoszyła, aż nareszcie — wznowiła opowiadanie, popierając je dowodami.

Nikt nie słuchał!

— A to tak! — zawołała w duchu jejmość — rozumiem! Sewerynek wam w głowie, ale my go zajeździm. I szybko pożegnała spiesząc do Pokotyłowszczyzny.

Jegomość siedział na ganku z fajką, gdy żona wracała, poznał zły humor i pospieszył drzwiczki otworzyć.

Milcząca wysiadła i weszła do pokoju. — Tu rzucając kapelusza na kanapę, rzuciła okiem dumnie.

— Gdzie Teodor?

— Co tobie *Maszerciu*?

— Co mi? co mi? słyszysz, że pytam o Teodora?

— Todziunio na polowaniu... ale po niego posłać można...

— Nie potrzeba.

— Gdybyś mi powiedziała przynajmniej co się stało?

— Tobie! alboż masz głowę do czego innego jak do fajki i kabały?

— *Maszercia* w złym humorze? — pokornie rzekł mąż.

— Bo mi chybiono!

— Kto? gdzie? Jezu Marja! tobie! — zawołał chwytając się za głowę Doliwa i fajka mu z rąk wypadła. — Tobie?

— Tak! mnie!

— Ale któż?

— Ten niepocziwy szoldra Hasling...

— A a a! on! on! I cóż to było?

— Wystaw waćpan sobie, ja opowiadam historję tej Niemki z Sewerynem, a ten śmie mi mówić, że nie tak było i wykręca ją po swojemu... Słowem, com rachowała na tę historję... to z niej jeszcze Seweryn może skorzystać!

— Śmiał ci zaprzeczyć? — powtarzał mąż.

— A żebyś widział, jakie tam temu trutniowi grzeszności robili!

— Jemu? cóż to znaczy?

— Czy ja wiem! może pochlebić się umiał tej starej... temu granadjerowi w spodnicy... którą Teodor nazywa...

— Więc cóż każesz lubeczko?

— Teodora! Teodora niech zawołają!

Doliwa wybiegł i posłał ludzi po Teodora.

— Wódki kolońskiej mi waćpan przynieś — zawołała gdy wszedł — poduszkę moją pod nogi, poduszkę pod bok i kawę dawać...

Trzeba było widzieć jak z fajką na ogromnym cybuchu, którą urywanym sposobem niósł niekiedy niespokojnie do ust, aby nie zagasła — pan Doliwa związał się za flaszki, poduszkami i kawą.

Jejmość leżała zła i gniewna... W miarę jak się coraz myślami gryzła, zrzucała czepek, kołnierzyk, chustkę, rozpięła suknię, pozdejnowała trzewiki i rozpięła włosy. Straszna była! a! straszna! i nie dziw że stary Doliwa w kąciku siadłszy, fajkę z największą dyskrecją palił, cicho się i spokojnie trzymał i na rozkazy tylko zdawał się oczekiwać.

Teodor się opóźniał, zaczęto się niecierpliwić; nareszcie psy zaszczekały w ganku — to on! — Matka zerwała się z kanapy; ojciec z kąta.

— Wystaw sobie...

— Wystaw sobie...

— Milcz waćpan, to do mnie należy...

Stary wzruszywszy ramionami poszedł do kąta, matka zaczęła opowiadać synowi. Ten słuchał gładząc brodę.

— Jedź mi waćpan do tego szołdry, nie pocziwego i wyzwij go... Gdybym ja nawet mówiła nie tak jak było... co miał za potrzebę zawstydzić mnie i w oczach ludzkich przeczyć.

— Hasling nie wyjdzie, to darmo — rzekł ojciec z kąta cicho.

— Myślisz?

— Nie wyjdzie mamó, w przeszłym roku...

— A prawda, tem lepiej wyląjesz go...

— Zapewne, a dwóch synów dragalów, co strzelają jak K... a biją się w pałasze jak N...; z tymi będzie do czynienia.

— Ja się nie boję! — rzekł zuchując Teodor.

Matka zamyśliła się.

— Dajże pokój! mam na nich inny sposób pomścić się, zobaczymy.

I siadła na kanapie.

— Poślijcie po Kulikowicza.

— Cóż to będzie? — spytał syn.

— Brzydziłam się zawsze tym człowiekiem, — odparła niby do siebie jejmość, ale kiedy mnie zmuszają do tego, podam mu rękę. Zresztą nie gorszy Diakowicz od tego szołdry... Nic nie mam przeciw niemu. Zna przynajmniej winne dla nas uszanowanie. Ubrdał sobie wprowadzić nedorzeczne staranie w Górowie, ale o to mniejsza.

Ruszyła ramionami!

— Tem gorliwiej pomagać nam będzie...

— Ale w czymże? — rzekł ojciec troskliwie...

— Waćpanu w głowę wszystko potrzeba kłaść łopata... Czyż się nie domyślisz?... Kulikowicz weźmie na siebie potwierdzenie mojej powieści w Górowie; boć panna Tekla dotąd zostaje w Tarnoborze. Powtóre, niech się trochę powścieka ten Niemczyko, namówi się Kulikowicza aby mu się ostro o swoje dopominał.

— O co?

— Waćpan zapominasz, że wszyscy w sąsiedztwie są winni Kulikowiczowi, i Hasling siedm tysięcy... wyrobiono nawet podobno tradycją, ale się do czasu wyprosił... Ale poczekajcież.

Pan Teodor wyszedł posłuszny matce, wysłać za Kulikowiczem ale wprędce powrócić.

— Kazałem pilnować, — rzekł — z rana pojechał do Górowa, a wieczór miał tu być w swojej części, dla skończenia ze Szmulem o arędę.

— Dziś tedy wieczór ułożymy się...

Gdy się to dzieje w jednym dworze, panowie Pokotyłowie po wieczornej przechadzce ze strzelbami na plecach, zjawili się w ganku. Zaproszono ich do środka

dla nowej narady, wystawując Haslinga jako nieprzyjaciela całego sąsiedztwa i spokoju publicznego.

— My — zawołała pani Doliwowa wszyscy jesteście przyjaciółmi i nie chcemy sobie szkodzić. To nie sekret, że Teodor starał się o pannę Marję nim na nią spadek ten przyszedł; a inni (spojrzała na Fabiana) dopiero się opatrzyli gdy pobogaciła... Inni (zwróciła głowę ku porucznikowi) myślą że i panna Scholastyka jeszcze nie postarzała. Może być że to wszystko jest śmieszne i nie na rękę nam, ale nie uważajmy na to i z kim żyliśmy jesteśmy w przyjaźni... Niech panna decyduje... Co się tyczy Haslinga to intrygant, pochlebca i szkodliwy człowiek... Na niego wszyscy powinniśmy mieć baczność...

- I skonfederować się — rzekł z pod pieca mąż.
- Jako przeciwko publicznemu nieprzyjacielowi.
- Potrafić mu okazać co o nim myślimy.
- A jeśli się obrazi? — rzekł głos z pod pieca:
- Niech wyzywa...
- On! ba! nie... ale syn który...
- My do synów nie mamy pretensji... Syn za ojca nie odpowiada...
- Tak... ale syn za ojca ująć się może?...
- Hm! My z nimi nie mamy do czynienia.
- Ale oni z panami mieć mogą?
- Waćpan jesteś tchórz! — przerwała żona.
- Nie... tylko ostrożny, a ostrożność nie wadzi nigdy...
Wszyscy zmilkli.

Jejmość widocznie strawić nie mogła poniesionego w Górowie wstydu... Wieczorem zjawił się Kulikowicz, nowe opowiadanie i narada nowa... Uradowany z przypuszczenia do tajemnicy spisku, nadęty swoim znacze-

niem, uspokojony tem, że synowie czepiać się go nie mogli, bo nikt wierzyciela na pojedynek nie wyzywa, wprzód nie opłaciwszy (co było w stanie Haslinga niepodobieństwem), podjął się działania i działania czynnego.

Gdy tak sąsiedztwo burzy się i niepokoi, ustawicznie zwracając oczy na Górów, któremu spocząć ciągle odwiedziny na chwilę nie dają... w Górowie smutno, pomimo przybyłych dostatków...

Krajczy procesem nastraszony o ukochany lasek, zachorował. Słabość ta bezimienna, choroba starych, której zdeterminować nie można; wyzucie z sił, gorączka, kaszelek... Z krzesła przeniósł się do łóżka. Panna Scholastyka i Marja pielęgnują go i starają się usunąć pierwszą przyczynę, niepokój o lasek. Pan Piotrusiński zaręcza, że odebrać mu go nie mogą. Krajczy głową tylko kiwa nie dowierzając.

A u łoża starego, co troskliwie teraz dowiadujących się przyjaciół? Od dziesiątej rannej do późna stoją powozy na dziedzińcu, pełne gości pokoje... Marja napróżno i zawsze napróżno jeszcze szuka oczyma Seweryna...

Nie ma go... Tylko goście szepczą, że bezskutecznie parlamentuje hrabia, bo panna Tekla postanowiła zostać u niego.

Wieczorami widząc siostrzenicę smutną, zamysloną, mało mówiącą i nie dającą się niczem ożywić, ciotka wysila się na różne sposoby pocieszenia.

Sprowadza jej książki, czyta, dowcipuje znużona, z uczucia obowiązku, z dobrego serca. Ale ani rozmowa, ani książki, ani nawet nowy wiedeński Stejna fortepian, który zastąpił stare piano Marji... nie mogą ją zająć, nie umieją rozweselić...

Marja wzdycha, wspomina o klasztorze.

Na to wspomnienie ciotka rozśmiała się serdecznie.

— Kochanko, zkadże to powołanie tak nagłe? Mówmy przecie otwarcie...

Gniewasz się na Seweryna, nieprawdaż?... Te dziecinne plotki niecierpliwią cię, myślisz że przestał myśleć o tobie?... Nie spuszczaaj oczów! czytam to nie z nich ale z całego postępowania twojego... Droga moja Maryniu... bodajby takie kłopoty i zmartwienia! Małoż znasz Seweryna, abyś go posadzać mogła? Podobnież to do niego co o nim mówią? Sama powiedz. Widzisz... milczysz... nie ma w tem sensu.

— Ale dla czego nie przyjeżdża?

— Przyznam ci się, że przy tym potopie gości, jaki mamy, nie dziwię się Sewerynowi, iż w ich liczbie stanąć nie chce. Nie śpieszy się, aby i jego nie posadzono o bezwstydną chciwość.

— Moja ciociu, my... my, mogliżbyśmy to pomyśleć, gdy ostatek oddawał, dla zapewnienia nam spokojności!

— Dumny, boi się, aby nie pomyślano... I właśnie gdy wszyscy lecą, spieszą i cieszą się... on się usunął.

— Cóż, na zawsze! A! moja ciociu przyznam się, że nie pojmuję przywiązania, które dumie ulega. To duma, to próżność tak się bać o siebie...

— Pozwól że duma szlachetna...

— Nie, nie powiem tego...

— Bo się gniewasz?

— Może...

— Cierpliwości Maryniu! cierpliwości! Niegodziwa! Tęskni, nudzi się, przy takim konkurentów doborze!

I ciocia serdecznie się rozśmiała...

— Posłuchaj tylko... na czele pan Teodor! z nieoszacowaną matką, z lubym ojcem! Co za familja na para-

wan Maryniu! Maryniu! Maryniecuku! roześmiej-że się przynajmniej!

A! przecie!... powtóre pan Fabian, który co chwila chce ci grać do tańca i komponuje dwa razy na dzień siurpryzy z flotrowersem i skrzypcami. Kochanie, cenić ich nie umiesz. O poręczniku nie mówię bo ten do mnie należy wyłącznie. Wczoraj zachwycił się moją ręką. Widziałam że z tego tematu zabiera się na straszne warjacje i umknęłam. A Kulikowicz, a Haslingi! Mamu doprawdy czem się bawić... Maryniu Seweryn na potem, bo to na serjo... Bawże się proszę... Już ja ci twego zbiega dostawię... Nie bój się... nie długo wytrzyma, przyjedzie.

— Tylko proszę cioci...

— O! o! bądź spokojna, nie skompromituję cię, możemy jeszcze poczekać.

SEWERYN.

Nazajutrz, rano, raniuchno wstała Marja, krajczy spał jeszcze, ciocia już biegła po domu; słońce wśród gęstej mgły wiosennej wznoszącej się po nad wody i błota, i osłaniającej w pół przezroczystą niebieskawą szatą dalekie gaje, wierzbowe groble i chaty wioski, wznosiło się powolnie. Jeszcze rosy perliste świeciły na trawach w cieniu pozostałych, kwiaty, krzewy, bory tchnęły tą wonią niepochwyconą, orzeźwiającą, której żadna sztuczna najwytworniejsza zastąpić nie potrafi. Marja wykradła się do brzeziny za dom.

Teraz ciocia zrobiła z niej ogródek. Rozwalono płoty dzielące brzezinę od sadu, a kręta uliczka obiegała

w koło po zaroślach, wysypana piaskiem, ostawiona ławeczkami.

Na jednej z nich usiadła Marja... było to właśnie miejsce, gdzie się ostatni raz z Sewerynem widziała... Myślała o nim, zawsze o nim, o nim tylko. Łzy zakreśliły się w jej oczach.

Nigdy mu tego nie daruję — zawołała. — Tak długo, tak uparcie nie dać nawet wiedzieć o sobie.

Rzenie konia przerwało myśli... tentent od strony boru dał się słyszeć... ale że kilka razy i pan Teodor tędy konno przejeżdżał, a godzina była ranna bardzo, nie dowierzając pobiegła ku drodze.

— To on!...

— A! przecież! Seweryn mówił z gumiennym, niepostrzegając Marji.

— Jak się ma pan.

— Chory.

— Bardzo chory?

— Kto to może wiedzieć, — rzekł stary, — kiedy ci panowie jak chorzy? Oni się kładą, byle palec zaświe-rzbiał! Krajczy nasz leży, ale chwalić Boga, nie niebezpieczny...

— Obudził się już?

— Podobno nie jeszcze.

— Mój kochany... gdybyś się wrócił a dowiedział. Panie wasze pewnie śpią, a ja bym się tylko ze starym panem chciał zobaczyć.

— To tak! — zawołała gniewnie Marja biegnąc do domu.

— Ciociu! ciociu!

Scholastyka spojrzała i zgadła...

— Przysięgnę że Seweryn przyjechał! Inaczej pa-trzysz...

— Tak! przyjechał! Ale nie wie ciocia. Słyszałam rozmowę jego z gumiennym, chce się tylko widzieć z stryjem i wrócić.

— O! zapewne! — przerwała ciotka... i wybiegła w ganek.

Właśnie gumienny wchodził.

— Idź powiedz panu Kotlinie, że krajczy chce się z nim widzieć i czeka na niego... nie mów nic o mnie, słyszysz?

— Ide.

— Nim ty się ubierzesz... ja się z nim muszę rozmó-wić... I weszła do bawialnego pokoju; Marja pobiegła do siebie z bijącym sercem... i otwierając drzwi raz jeszcze... dodała.

— Ciociu... nie puszczaj go!

— Bądź spokojna!

Do pokoju krajczego potrzeba było koniecznie prze-chodzić przez bawialny, Seweryn zjawił się wkrótce na progu; zmieszał na widok cioci i zaczął przeproszać.

— To ja przepraszam, że mu zapieram drogę do kraj-czego i krajczy spi...

— Ludzie mi powiedzieli...

— Musieli się omylić... niech pan siada.

— Ale tak rano... niech pani daruje!

— A! porzuciłżebyś te ceremonje swoje! nie mogąc wytrzymać, — odezwała się Scholastyka. — Nieznośny jesteś z niemi...

Ot, powiedz mi lepiej... co się z waćpanem stało? nie byłś... Ile czasu! Godzi się to? Czyż dla panny Tekli godzi się o dawnych zapominać przyjaciółach?

Na to imie zczerwieniał biedny chłopiec, zmieszał się i dodał szybko.

— Pani... pani także mnie posądzasz?

— A! spodziewam się! Mając w domu damę jeszcze tak niebezpieczną jak ta! I tyle czasu nie pokazywać się w sąsiedztwie, to coś znaczy.

— Bardzo nieszczęśliwie sądzą mnie państwo... panna Tekla Drolling siedzi wprawdzie u mnie, ale ja mieszkam w Glinkach i od czasu jej schronienia nie byłem w Tarnoborze...

— I nie byłem w Górowie...

— To co innego...

— Radabym wiedziała?

— Mielście państwo aż do zbytku gości.

— Tak... bez których byśmy się obesзли.

— Zapewne! i bezemnie! — rzekł Seweryn...

— A zapewne! i bez niego! — dodała ciotka — bomyśmy ogromnie podumiały od czasu jak nas nieznajoma krewna zbogaciła... osądził ci nas ślicznie, dziękujęm pokornie... Oj! panie Sewerynie, panie Sewerynie! serjo by się gniewać można.

— Za co?

— Za dziwne wyobrażenia jego! Cóż to się u nas zmieniło? Czemu nie byłeś tak długo... Powiem panu otwarcie... zmartwiłeś Marję... bardzo niepotrzebnie... A w jego niebytności...

Seweryn ucałował podaną rękę...

— Nie bądź-że dzieckiem proszę... Teraz jesteśmy swobodniejsze, szczęśliwsze... chcesz-że dla tego nas odbiedz! Marja cię kocha.

— Pani! to być nie może.

— Pytam się kochanego pana, po co bym mu taki fałsz mówiła? kto odemnie lepiej o tem wiedzieć może?

— Zapewne... wszakże...

— Wszakże, nie męcz waćpan i siebie i nas bezpotrzebnie... Dobra jest bardzo szlachetna duma, ale w miarę... nikt pana z innymi gośćmi terazniejszymi nie porówna... pamiętamy dobrze, żeś był z nami przeciwko wszystkim, gdy nie było koło nas nikogo, i chciałeś dla nas poświęcić... wszystko co miałeś... Wdzięczność nakazuje...

— Przepraszam panią, ja nie nie chcę być winien wdzięczności.

— A! rozumiem!

— Tego się lękam.

— Nie masz się waćpan czego lękać... Albo i dziś, co znaczyło, żeś chciał się tylko z krajczyną widzieć?

— Słyszałem, że był chory...

— Więc koniecznie chcesz tylko w biedzie się pokazywać, a z nikim nie podzielić dobrej chwili? Dziwak jesteś, mój kochany panie Sewerynie... bardzo cię szanuję, ale wiele do niego mam pretensji... Siadaj... i nie rusz mi się ztąd, krajczy spi, Marja się ubiera, każę tu podać herbatę.

W chwilę potem wszyscy siedzieli u okrągłego stołu, ale Marja jeszcze udawała rozgniewaną na Seweryna. Ciotka swoim sposobem starała się ich zbliżyć; nakoniec dopiąć tego nie mogąc, powstała i rzekła:

— Nie udawajcież, proszę, gniewu... powiedzcie sobie, że się kochacie, a ja was pobłogosławię!

Seweryn spojrział na Marję.

Ona spuściła oczy, ale uśmiechnęła się mimowolnie.

— Zgoda? nieprawdaż? — spytała Scholastyka po-
wrotnie.

Ciche pocałowanie podanej ręki zwiastowało pożądane
pojednanie.

— No, teraz jestem o was spokojna i idę dysponować
objad...

To mówiąc ukloniła się i wyszła.

Ta chwila, którą sam na sam z sobą spędzili ko-
chankowie (co za wyraz niegodziwy, bez którego się
przecież obejść nie można), była jedną z najrozkoszniej-
szych w ich życiu. Pierwszy raz nie lękając się narzu-
cania Sewerynowi, wynurzyć mu potrafiła Marja i objawić
jaką była; pierwszy raz on także uniesiony, porwany
przywiązaniem, szczęśliwy, zapomniawszy na to co go
otaczało, potrafił powiedzieć: kocham—z tym wyrazem,
z uczuciem, wejrzeniem, które wątpliwości nie zostawiała.
I nie nie stawało im na drodze i przyszłość jasna, spo-
kojna, piękna otwierała się szeroko przed nimi.

Jedno przy drugim z rękoma splecionymi, cicho
rozmawiając jakby się podsłuchania lękali, bez poru-
szenia, bez pamięci na to, co ich otaczało, przesiadzieli
godzin kilka. Krajczy wstał dawno i modlił się, powoli
o kiju przechadzając przed oknem otwartem. — Ciotka
przesunęła się przez pokój kilka razy, oni tak byli sobą
zajęci, że jej nie widzieli.

Nareszcie powtórzone umyślnie chrząkania i kaszle
starca, ściągnęły Seweryna dla dania *dzień dobry* kraj-
czemu; Marja jakby zawstydzona, uciekła ze swoim
szczęściem i zamknęła się w swoim pokoju. Ciotka we-
selsza także uwijała się.

— Konia pana Seweryna — powiedziała głośno na
ganku gumienemu — zamknąć na klucz w stajni, dać

mu owsa, siana, wody, ale go nie podawać aż za mojem
pozwoleniem... Słyszysz waćpan?

— Słyszę i spełnię.

Seweryn tedy musiał pozostać dzień cały.

Wieczorem gdy odjeżdżał — ciotka znowu wzięła go
na stronę.

— Cóż myślisz? — spytała — wiesz teraz, spodziewam
się, że Marja cię kocha? co będzie dalej?

— Nie wiem.

— No to ja ci powiem. W tych dniach oświadczysz
się krajczemu.

— Ale.

— Bez żadnego *ale* spodziewam się... O weselu po-
mówimy. Tymczasem zrobim pyszne zaręczyny, na
które muszę sprosić całe sąsiedztwo... Ale cicho! o tem
ani słowa, gotuję im miłą siurpryzę. Wiesz co z nami
dokazywali, kiedyśmy byli w położeniu ciężkiem... po-
zwól mi małej zemsty... Ja się na nich mszczę
grzecznością i nadziejami, któremi szafuję... Zobaczysz.

Seweryn się uśmiechnął.

— Wystaw sobie panią Doliwową na zaręczynach!!

Uszczęśliwiony odjechał Seweryn, ale uspokojony
teraz o tłumaczenie pobytu panny Tekli w Tarnoborze,
pospieszył się tam dowiedzieć.

Jej już tam nie było.

Hrabia Hubert, jak wszyscy ludzie słabego cha-
rakteru, zaledwie pozbywszy się Niemki, którą chciał
wyprawić, ale wcale w inny sposób, postanowił ją od-
zyskać. Rotmistrz powróciwszy raz pierwszy z niczem,
wyprawiony został z gniewem i zabroniono mu poka-
zywać się aż dopełni woli pańskiej, aż powróci z panną
Drolling. Stary lis wpadł w własne sidła. Kto inny na

jego miejscu pożegnał by hrabiego, ale Wile gdzież się było podziąć, co z sobą począć?

— Panie hrabio — rzekł — sam chciałeś.

— Chciałem do stu katów, ale nie chcę teraz, niech wróci.

— A gdyby przyjęła jaką ofiarę i przyzwolicie odjechać do Wiednia namówiła się?

Hrabia nic nie odpowiedział.

Rotmistrz wyczekawszy u drzwi na odpowiedź, której nie otrzymał, odszedł i udał się znowu do Tarnoboru.

Ofiarował pannie Tekli cztery konie, powóz i tysiąc dukatów, ale Niemka kazała go wypchnąć za drzwi.

Nazajutrz Wiła powrócił znowu, rachując, że kobiece gniewy, rozpacz i heroiczne postanowienia zwykle trwają nie długo.

Ale na ten raz się omylił — powrócił jeszcze z niczem.

Tymczasem panna Tekla miarkować zaczynała, że nie ma z sobą co począć. Pozostać długo u pana Seweryna nie mogła, jechać dalej nie miała o czem, nie miała do czego. Listy sióstr i braci, które z rzadka odbierała, nie zapowiadały polepszonego bytu. Familja po śmierci ojca się rozpierzchnęła i utrzymywała jak mogła. Róża z Adelajdą należały dawno już do baletu i ciężkie wiodły życie... Bracia służyli wojskowo, utrapiony chleb pracy jedząc.

Samotna rozmyślając, ochłodziła Niemka i gdy Wiła po raz czwarty przyjechał, zmieknąć się dała i namówić do powrotu. Warunkami było: zapewnienie jej spokojnej przyszłości, przeproszenie i coś trzeciego czego nie chciała rotmistrzowi powiedzieć, zostawując do swego przybycia do Śliwina.

— Niech wraca, zgoda na wszystko! — rzekł hrabia,

który uczuwszy przez dni kilka samotności, jak mu jej brak było, wysłał natychmiast karetę do Tarnoboru.

Rotmistrz całą tą sprawą wielce był niezadowolony. Lękał się zgody i nie bez przyczyny. W czasie niebytności starał się wprowadzić zastąpić Niemkę domoroslą ekonomówną, ale hrabia patrzeć nawet na nią nie chciał. To było najgorszym znakiem; Wiła domyślił się, że Tekli już z domu nie potrafi wyrugować, że panowanie jej restaurowane, silniej jeszcze niż poprzedzające ugruntuje się.

Na grobli pieszo wyszedłszy, spotkał powracającą Hubert. Burzliwe z początku było przyjęcie, z dała przypatrywał mu się rotmistrz i przeklinał dzień, którego się w to wniósł.

— Hrabio — odezwała się podając mu rękę Tekla. — Pamiętasz, że gdym jechała z tobą, obiecałeś ożenić się ze mną... żeś mi znaczny uczynił zapis, który zdarłam. Nie jestem chciwą, nie możesz mi wyrzucać niedochowania wiary... dla czegoż chciałeś mnie odepchnąć?

Hrabia złożył wszystko na rotmistrza.

— Jesteś słaby i powodujący się jak dziecko — odparła Tekla — za pierwszy warunek kładnę oddalenie pana Wiły.

Słowo?

Hrabia zachwiał się.

— Wahasz się, żegnam cię...

— Cóż on ci szkodzi? jak się bez niego obejść?

— Wybieraj! ja lub on?...

— Tekło, czyż koniecznie?

— To moje ostatnie słowo... Przyrzekasz?...

— Przyrzekam.

— Na honor!

— Nie umiem dwa razy słowa przyrzekać... Oddałę go.
— Po wtóre, ażebym strawiwszy młodość, nie wróciła opłakiwać jej w nędzy, zapewnisz mi...

— Co zechcesz...

— Umówim się także o sumę. Naówczas ja także będę mogła opuścić cię kiedy mi się pobyt w Śliwinie naprzykrzy i wrócić do swoich!

— Zostaniesz zawsze ze mną...

— Zawsze? wątpię! Zobaczymy! Znużyłeś się mną... musim się rozstać.

Wsiedli do powozu i odjechali. Cały wieczór spędził Hubert sam na sam w pokojach panny Tekli, i nikt ze dworu przypuszczony nie był.

Nazajutrz rotmistrz wezwany rano do sypialnego pokoju, usłyszał czego się spodziewał — pożegnanie. W nagrodę wiernych usług, dał mu hrabia dożywociem dzieśnię chat w Polesiu.

Wiła zgrzytał zębami, ale opierać się nie było można. Tekla pilnowała, aby odjechał we dwa dni, lękając się zrozpaczonego człowieka.

Cztery kasztanki wspaniale darowane, poniosły go w daleką stronę. Durczyński uśmiechał się, zazdrościł trochę i skrobał się w głowę.

Tekla objęła rządy domu z nową władzą, nie mając już współzawodnika i przeszkody.

Nie potrzebujemy dodawać, że hrabia zrzekł się procesu z krajczym i formalnie go zakwitował, co mu zdrowie na jakiś czas powróciło. Ławrysiewicz sporządził zapis dwóch kroć sto tysięcy dla panny Drolling, który hrabia przyznał w ziemstwie. — Tak wszystko wyszło na korzyść ulubienicy i jeden tylko Wiła szwankował, jeżeli to szwankiem nazwać było można.

DOLIWOWIE.

Od ostatnich odwiedzin Seweryn ośmielony, zachęcony przez ciotkę, wezwany słodkim głosem Marji, która go prosiła, aby częściej bywał; począł odwiedzać Górów jak dawniej.

Dnie płynęły jasne, ciche a krótkie jak błyskawice. Któż takich dni choć kilku nie miał w swoim życiu? Któż ich nie pamięta, nawet gdy mu szron siwizny na głowę spadnie — na wspomnienie złotych chwil owych, przelotnych a nigdy nie zabitych, łza mu się ciśnie do oczu...

Nigdy — nigdy już one nie wrócą dla niego.

Powtórzy się miłość, ale nie wrócą dni pierwsze — druga już nie jest tą naiwną, pierwiastkową, pół dziecinną i tak zaufanie, tak nierozumnie a rozkosznie patrzącą w przyszłość, druga rozumie jutro, druga pamięta wczoraj, porównywa, przeczuwa — pierwsza nie ma i początku, w koniec nie wierzy, żyje sobą cała.

Pierwsza miłość spija się w życia początku, szybko, niepowrotnie, a szczęśliwy komu była ostatnią! Bo druga, trzecia, czwarta nie nasycą go lepiej, a zatrą pierwszej wspomnienie. — Pierwsza, jedyna!!

Gdy spojrzę na pierwszą miłość dwóch młodych, niewinnych istot, poglądam na nią z czcią, ze łzami w oczach, z wzruszeniem i szacunkiem. Tylko poczciwi kochają. Podli poczynają od rozpusty i na niej kończą.

Ale i pierwsze i następne odwiedziny Seweryna nie przeszły niepostrzeżone.

Pani Doliwowa mszcząc się na Haslingu, miała czas przecie zwrócić oczy na to co się działo w Górówie. —

Seweryn przyjeżdżał rano, bawił do późna. Często we dnie z Marją siadywali sami w ogrodzie lub jej pokoiku. Poufałość ich, wesołość, nie uszły bacznych oczu.

Niespokój owładał straszną sąsiadką.

Teodor wzgardliwie się uśmiechał, zaufany w swą brodę, wasy i talenta, których urokowi oprzeć się, wedle niego, było niepodobna.

— Jedź-bo i waćpan do Górowa — mówiła matka. — On tam słyszę siedzi dnie całe. Taki dobry Teodor mój jak i on.

Co to on lepszego! A natręt! W pierwszych dniach... cicha woda... usunął się był i nie pokazywał, myślałam, że ma rozum, ale nie, taki włazi nam w drogę...

A to słyszę całe dnie siedzi, pannę bałamucić... Nie pojmuję ciotki, która na to patrzy i dozwala.

Człowiek tak podejrzanej moralności!

Jedź-bo i ty Teodorze, jedź rano i siedź dłużej.

— Raz byłem rano, ale czekałem godzinę, póki się panna Scholastyka ukazała i z nią samą przesiedziałem aż do objadu... panna Marja... wyszła tylko na objad i znikła potem...

— A widzisz!

— Ale była chora!

— Chora, czemuż słyszę Seweryna zawsze przyjmują?

— Kto tam wie! ludzie przesadzają... A powiem mamie, że jej spojrzenie na mnie coś mówi...

— No, to kiedy uważasz... to się oświadczyć, ale pozwól... ja.

— Nie wypada mamie, zbyt rychło.

— Zapewne, formalnie się oświadczać, ale gdybym ja, tak po staropolsku, poufale spytała Scholastyki, czy możesz mieć jaką nadzieję?

— Jak mama uważa.

— Już spuść się na mnie, nie będzie to źle! Zobaczysz... Po objedzie pojedę.

Jakoż po objedzie pojechała; konie już doskonale drogę znały i furman nie pytał nawet dokąd jechać.

Zmarszczyła się pani Doliwowa, zastawszy Seweryna. Ten przywitał ją grzecznie.

— Dawnośmy pana nie widzieli...

— Gospodarstwo... zajęcia...

— Słyszeliśmy coś i o *przykrości* (z przyciskiem), jaką pan miał z tą Niemką...

— Wybacz pani, nie miałem innej przykrości nad to, żem kilka dni przemieszkiał w Glinkach.

Pani Doliwowa uśmiechnęła się, usiadła przy ciotce, Seweryn z daleka przy Marji, poczęli rozmawiać cicho.

Wyteżyła ucho jejmość, ale nie złapać nie mogła, prócz znaczących wejrzeń i poufałości, do jakiej Teodor dotąd dojść nie mógł. Korzystając z czasu, poczęła swój interes.

— Pozwól pani... mam kilka słówek...

Należałoby mi z krajezym pomówić, ale widząc jego zdrowie, nie chcę go zatrudniać... Do niej więc się obracam...

Był to zwyczaj u nas, że gdy młodzieniec poczynił staranie, zwykł był pytać, czy może bywać i mieć jaką nadzieję... Nie tajno pani, że mój Teodor uczęszcza do ich domu...

— Nie od dawna...

Jejmość się zaczerwieniła. — Tak jest — rzekła — ale coraz częściej. Jego odwiedziny dowodzą... że w tym domu radby sobie szukać losu i szczęścia przyszłego...

mnie jako matce wolno spytać, czy nie będzie mu wzięte za złe, czy może mieć jaką nadzieję?

Scholastyka udała, że doskonale zrozumiała, udała, że ją to zażenowało i spuszczać oczy, odezwała się:

— Prawdziwie... tak krótko się znamy... nie umiem zaręczyć... nie mogę powiedzieć stanowczo... Ale z przyjemnością widzę w tym domu pana Teodora...

— Ot tobie! Do siebie wzięła! — rzekła w duchu jejmość. — Co tu począć?

Ciocia nielitościwa kończyła:

— Decydować się tak szybko niepodobna, musimy poznać się lepiej i wzajemnie ocenić. Przy tem wielka różnica wieku.

Sąsiadka cofnęła się na kanapie i zacięła usta.

— Wzięła do siebie i chce złapać chłopca! ale zje licha...

— Pani — rzekła głośno — zapewne nie wyrozumiałaś mnie...

— Owszem, aż nadto... ale decydować się...

— Ja tego nie wymagałabym... Staranie mego syna o pannę Marję?

— O pannę Marję? — z podziwieniem odezwała się ciocia — Marja jest zbyt młoda...

Doliwowa zmlkła i ucięła, Scholastyka także.

— Ani chybi, ten upiór (starsza pewnie odemnie, chce się wprzód wydać sama), Teodor jej mężem! To być nie może!

A! a! — Ale nie tracąc przytomności dodała szybko — zawsze państwo łaskawie mi obiecujecie przyjmować mego syna?...

— Jak wprzód tak teraz...

— Trzeba więc poszukać narzeczonego dla starej!

Nieszczęściem w oko jej wpadł Teodor — mówiła sobie odjeżdżając. — Bieda! Gotowa się była rozkochać... Proszę! ktoby się był spodziewał. Nowy sęk.

— Wiesz co? wiesz co? — zakrzyczała do męża w ganku, wysiadłszy z powozu — wszak to podobno (po cichu) stara pannica rozszałała się za Teodorem...

— Co mówisz!!!

— Ale tak! tak! dała mi do zrozumienia i to, że nie pójdzie Marja wprzód za męża, aż się ona wyda...

— Ot! proszę! W starym piecu djabeł pali...

— Istotnie! klęska! nasłanie! Co tu począć? Trzeba forytować Kulikowicza czy kogo?

— Jak uważasz Maszerciu, jak uważasz!

— I powiem ci, że się trochę zawiodłam, bo myślałam: Taka rozsądna osoba... w moim wieku... nie pójdzie za męża, spadek na Marję...

— Przyznam się duszce, że i ja na to rachowałem. Tracim górą półtora miljona.

— Tracim, oczywiście! — rzekł stary z westchnieniem kiwając głową i drapiąc uciekającą fajkę. — Ale mówisz, że stara kocha się w Teodorze?

— Zdaje się! to fatalnie...

— Hm! gdyby tak młody chłopiec!

— Już to powiem ci, po Teodorze każdy się źle wyda.

— A! bez kwestji... ale nie powinna być wymagająca, pierwsza partja w sąsiedztwie nasz syn!

Oboje zamyślili się bardzo.

— Już jak jest to jest, niech Teodor bywa i stara się podobać Marji. Resztę biorę na siebie... choćby wykraść, jeśli tego będzie potrzeba!... Ale Teodor nie bierze się dość gorąco, nie bywa dosyć często... A ten Seweryn! Ja się go boję...

- Jak-że go możesz porównywać!
- Zmiłuj się waćpan, są osoby tak złego gustu!
- I to prawda.

Ostatnie wyrazy z wzruszeniem ramion i takim wyrzeczone były politowaniem, że nie wiem jak się patrzeć na siebie, nie śmieli.

Wieczorem nadszedł Kulikowicz i Pokotyłowicie.

Rozmowa była pełna umiarkowania, nie wydała się z pierwszym krokiem swym pani Doliwowa, wiedziała, że odkrycie to byłoby pobudziło wszystkich do naśladowania. Dawała tylko do zrozumienia Kulikowiczowi i porucznikowi, że panna Scholastyka pragnie i myśli wynieść za mąż. Oba przyjęły tę wiadomość z uśmiechem zadowolenia.

Kulikowicz bowiem także od niejakiego czasu zwrócił oczy na ciocię, siostrzenica wydawała mu się za młodą, zbyt wiele przewidywał trudności. Wieczór zszedł na wiście, przy którym naturalnie o niczem nie było mowy tylko o Górowie i trochę o Haslingu, przyciśnionym już przez wierzyiciela i w wielkim kłopotcie.

— Gdzie pan będziesz jutro? — spytał obojętnie porucznik Kulikowicza.

- Ja? zapewne do miasteczka pojedę! a pan?
- Ja w domu mam do czynienia.
- A pan Teodor?
- Wybieram się na polowanie.

Nikt prawdy nie mówił — wszyscy wybierali się do Górowa; jakoż Kulikowicz ukończywszy wiścika, nocą jeszcze pojechał i stawiał się nazajutrz rano.

Ciocia przyjęła go bardzo grzecznie, ale widząc, że i on myśli się oświadczać, tak zręcznie zagadywała, iż mu nie dała nic powiedzieć. Około południa, z wielkiem

podziwieniem gościa, zjawił się porucznik.

Po pierwszym przywitaniu — spojrzeli na siebie współzawodnicy.

- Pan miał być w miasteczku?
- Pan miał być w domu?
- Inaczej się złożyło...

Spoglądając na siebie z ukosa, chodzili.

Nadjechał Teodor z nowymi walcami, które sprowadził umyślnie z Warszawy dla Marji.

- A i pan tu?
- Jak widziecie...

Wszyscy wzajemnie wyprawiali się wzrokiem, mową, bo zawadzali sobie — wszyscy siedzieli do późna. Marja na chwilę tylko weszła do salonu, nie przyjęła nót, które Teodor rzucił na fortepian nieukontentowany i wkrótce wyszła. Każdy chciał coś stanowczego tego dnia powiedzieć, nikt się na to zebrać nie potrafił. Odjechali rozjątrzeni.

— Co za natręstwo! — mówił wróciwszy Doliwa — chwili nie ma, żeby nie naciskali... techną nie dadzą... pełno ich ciągle...

— Śmieszni ludzie! — odparła jejmość — prawdziwie za nimi nic człowiek począć nie może. Jak-że przyjęła cię Marja?

- Jak zawsze... dobrze...
- A nóty?
- Ceremonjowała się...
- No! ale zostawiłeś?
- Zostawiłem.

— Jednak to prezent co dwadzieścia kilka złotych kosztuje... a tutaj ich nie dostać za żadne pieniądze!

Kilka tygodni upłynęły bez żadnej ważnej zmiany i nowin.

Wszyscy się niecierpliwić zaczęli, każdy był dobrze przyjmowany, a nikt krokiem dalej nad grzeczność postąpić nie potrafił.

Jedni składali na drugich i coraz ukośniej poglądali na siebie.

Teodor zauważał nareszcie, że Seweryn lepiej od niego uważany, częściej bywał i zdawał się wyścigać wszystkich.

Jednego wieczora przebąknął o tem przed matką.

Pani Doliwowa namysliła się.

— A no! — rzekła — to nie ma sposobu... potrzeba go odstręczyć.

— Jak? — spytał Teodor.

— A jak-że... pokłócić się, wyzwąć.

— Wyzwać! — kręcąc wąsy, rzekł Doliwa — a nuż co z tego wyniknie?

— Co może wyniknąć?

— Seweryn nie zleknie się...

— No... to się będziecie bić... trzeba, aby jeden ustąpił, bo oba sobie wadzicie... Czy nie wiadomo jak u nas pojedynki się odbywają? kilka butelek szampańskiego wszystko skończy...

— Ale nie z Sewerynem.

— Waćpan się widzę boisz — kwaśno rzekła matka.

— A jeżeli tak! — zawołał Doliwa — zobaczmy, jutro go wyzwę.

— Masz waćpan do wyboru, albo się z nim rozprawić, albo udać się do panny Scholastyki, która ma skłonność dla niego.

— Mama żartuje.

— Serjo mówię, rób sobie co chcesz, mnie już od tego wszystkiego głowa boli... Nie mieszam się więcej. Masz swój rozum, rządz się nim.

Teodor milcząc uszedł, nazajutrz pojechał do Seweryna.

Zastał go w Tarnoborze.

Wszystko tu dziwiło przybysza. Dom Seweryna niepodobnym był żadnemu ze znajomych sąsiedzkich domów. Pierwszy to raz Teodor go odwiedzał i co krok się dziwił.

Porządek, czystość, rzadkie u kawalera, panowały wszędzie. — Wielki salon ubrany był skromnie, nie bijąc w oczy, ale bardzo przyzwoicie: piękny fortepian wie-deński zajmował w nim pierwsze miejsce. Stosy nót zalegały stoliczek przy nim stojący.

Przez drzwi otwarte widać było małą biblioteczkę, kilka wzorów machin na stoliku i apteczkę w kącie domową. Nigdzie tego nieładu, rozproszonych sprzętów, sukien, bez których, myślał Teodor, kawalerskie mieszkanie obejść się nie może. Wszędzie widać było porządek, spokojną rozwagę, przewodniczące ułożeniu, umieszczeniu najmniejszej rzeczy. — Kilka świeżych książek otwarte leżały na stole salonu, Doliwa, który wcale inaczej spodziewał się zastać dom dzierżawcy, nieprzyjemnego doświadczył wrażenia; mimowolnie był zmieszany, czuł wyższość tego człowieka. Z wyrachowaną grzecznością zbliżył się do gościa Seweryn. Doliwa zimno ją przyjął, rozsiadł się na kanapie i zapalił sygaro. Po chwili:

— Pozwoli pan pomówić z sobą słów kilka?

— Jestem gotów na rozkazy, cóż takiego?

Teodor poprawił sygaro, namyslił się.

- Nie tajno panu zapewne, że ja...
Że bywam w Górowie.
- Wiem o tem — zimno odrzekł Seweryn.
- I nie bez projektu...
- O tem nie wiedziałem...
- Powiem mu więc otwarcie, że się staram o pannę Marję.
- Doprawdy? — spytał Seweryn.
- Właśnie w tym celu przybyłem, abym się porozumiał z nim, gdyż podobno obadwa sobie szkodzimy...
- Ja tego bynajmniej nie uznaję.
- Jednakże należałoby porozumieć się, czy pan ma jakie intencje względem panny Marji?
- To tylko mu powiem, kochany panie Teodorze, żem bywał w tym domu wprzód niż ktokolwiek z sąsiedztwa, że go szacuję, i że nie widzę, dla czegoby mnie kto obcy o intencje miał pytać.
- Wszelako... pan uzna... że ja... pan sam widzi...
- Ja bo nie nie widzę, prócz, że pan się chce starać a ja mu nie przeszkadzam.
- Pan mi przyrzeka nie przeszkadzać?
- Jak pan to rozumie?
- Nie bywać...
- O! wcale nie!... Wszakże oba się w salonie górowskim pomieścimy, a kto z nas będzie szczęśliwszy — dodał z uśmiechem — jakim-że byś prawem pan mógł mi odwiedzin zaprzeczać?
- Zaprzeczać! nie! ale — Teodor się popłatał, potem dodał:
- W takich razach ludzie honorowi...
- Cóż robią ludzie honorowi?...
- Rozstrzygają orężem...

— Nie wiem co mamy rozstrzygać — rzekł Seweryn — ale jeśli mu się podoba, dla czego-byśmy nie rozstrzygli? I owszem.

- Pan się zgadzasz?
- Nigdy podobnej satysfakcji nie odmawiał.
- Pokonany przestanie bywać w tym domu!...
- Nie, panie Teodorze... pokonany będzie bywał jak i przedtem, ja nikomu tej przyjemności ujmować nie chcę... ani sam jej odstąpić...
- Więc do czegoż pojedynek?
- Dla pańskiej satysfakcji — rzekł z uśmiechem Seweryn.

Teodor uczuł, że rola, jaką grał, była doskonale śmieszna; splunął, pokręcił głową.

- Pan się więc zgadza?
- Na wszystko.
- Pańskim towarzyszem kto?
- Czekaj pan! Hrabiego poproszę, najbliższy sąsiad, nie odmówi mi... Mam wybór broni, ale zostawiam go panu...
- Nie żądam, wszelako na pistolety nie mogę.
- Więc na pałasze...
- O miejsce i czas umówimy się później.
- Bardzo dobrze! Teraz gdy wszystko umówiono, racz mi wytłumaczyć o co chodzi?
- Mówilem panu, o Marję.
- Szanowny sąsiedzie, rozmyśl się, czy to ci na co pomoże.
- Pan chcesz uniknąć pojedynku?
- Nie... za to same słówko musim się bić, kochany panie, ale mi wytłumaczysz co zyszczesz?
- Pozbędę się go...

— Chyba zabijesz! — śmiejąc się rzekł Seweryn.

— Być może!

— W takim razie musisz z kraju uciekać.

Teodor zamyślił się chwilę.

— Jakkolwiek będzie... ja się biję...

— O! i ja niezawodnie — dodał Seweryn — nigdy nie odmówił podobnej zabawki. Pańskim towarzyszem?

— Porucznik Pokotyło.

— Czy nie mógłby zjechać do Śliwina dla pomówienia o miejscu i czasie?

— Poproszę go. Żegnam pana...

— Żegnam...

Tak się rozstali, Teodor oburzony i gniewny, Seweryn uśmiechnięty i wesół. Doliwa polecił do domu, a po drodze powiedział wszystkim, że się bije z Sewerynem. Porucznik podjął się służyć za sekundanta i pojechać do Śliwina.

— No — rzekł stojąc w progu przed matką Teodor. — Nie powiesz mamie, że się boję... wyzwalem... bijemy się... w pałasze.

— Serjo? — zawołała matka.

— Jezu! doprawdy! — krzyknął ojciec wyskakując z pod pieca.

— Nieochybnie.

— Wyzwałeś go?

— Wyzwałem... wszystko umówione...

Mówił Teodor z pozorną odwagą i gniewem, ale znawca byłby łatwo odkrył, jak pod spodem strach nim mიაł.

Tu zaczął opowiadać rozmowę, zdobiąc ją w kwiatki swego wynalazku.

— No... to teraz, — rzekł wysłuchawszy ojciec, — czas myśleć o zgodzie...

— O jakiej zgodzie? — spytał Teodor.

— A już cię żeby was pojednano... Idę prosić porucznika.

Teodor udał że nie słyszy, ojciec narzucił frak i pobiegł.

Zastał Pokotyłę z fajeczką w gębie wywlekającego z kąta stare pałasze.

— Poruczniku! prawda to?

— No! a cóż?

— Biją się?

— Myślisz że nie? Biją się!

— Ale tu cała waga na fundamentach... wiesz.

— Znamy panie obowiązek! służyło się wojskowo...

— A więc pogodzić ich!

— Jaktó pogodzić?

— Już ciż...

— Już ciż Teodor wyzwiał, ja jestem jego towarzyszem, wiedział co robił... Niech się bije...

— Poruczniku gubisz nas! Ty chcesz żeby się bił.

— Kiedy wyzwiał.

— Kiedy wyzwiał! śmieszny człowiek! A toż się co dzień wyzywa, a nie bije...

— Ale ja na to nie dozwolę. Już dosyć się ludzie śmieli z pojedynków, czas pokazać że to nie rzecz śmiechu. Teodor chciał się bić, niech się bije, a jak mu nosa pokiereszują, tem lepiej...

— A jeżeli tak, — zawołał ojciec — ja pana nie chcę za sekundanta...

— Idź-że spać... Ja wiem co mam zrobić, konie zaprzężone, jadę do Śliwina do hrabiego...

— Poruczniku! poruczniku! co pan myślisz! poczekaj, pomyśl... po co tu rozlew krwi?...

— Daj mi pokój... Tchórz jesteś!

— Dziwno! o syna...

— Nie zabiję go! Na pałasze bić się będą, rany mogą być ciężkie, ale śmierć bardzo rzadka, chyba by w głowę... albo... albo...

— Poruczniku! pogodzisz ich? na rany Boskie cię proszę...

— Ale dajże mi pokój, Wincenty! konie!

I porucznik do Śliwina odjechał.

Stary Doliwa, we łzach wrócił do domu; jejmość ze wzgardą spojrzała na niego.

— Wystaw sobie maszerciu... porucznik powiada że zgoda niepodobna...

— No to się będą bić — lakonicznie odpowiedziała matka, a za nią syn.

— I owszem tego żądałem.

Zaszedł się Doliwa z płaczu i ręce załamał...

— Po wszystkim! — rzekł tragicznie.

Nazajutrz nie zwlekając oznaczono termin, a miejsce w lasku Śliwińskim, na pół drogi między Tarnoborem a Glinkami. W pośrodku gaiku brzoźowego była łączka zielona, równa, gładka; wyborne miejsce, którego żaden natręt nie mógł zajrzeć. Hrabia z porucznikiem zgodzili się na tę łączkę.

Seweryn wieczorem w najlepszym humorze pojechał do Górowa i nie mówiąc o jutrze, późno powrócił do domu.

Około południa Seweryn i hrabia byli w lasku; ale nie prędko doczekali się przeciwnika, który dość błądy, wylekniiony, nadrabiając przecie odwagę, z ojcem we łzach i porucznikiem nadętym swoją ważnością nadciągnął.

Uklonili się... głębokie milczenie.

Doliwa stary, jedyną pokładający nadzieję w hrabi pospieszył ku niemu.

— Grafie, łaskawco! — rzekł — gdyby ich pogodzić. Na Boga zaklinam!

— Sprobujemy — lakonicznie rzekł hrabia, i posunął się ku porucznikowi.

— Naszym obowiązkiem, — odezwał się, jest starać się pogodzić, aby uniknąć ostateczności...

— Tak! uniknąć ostateczności! — powtórzył łamiąc ręce ojciec — wszelka ostateczność... prawa krajowe, Bóg sam... wszelka ostateczność! mój synu! Dobrze graf mówi, wszelka ostateczność... uściskajcie się... Wina!

— Jestem wyzwany, — rzekł Seweryn — nie mogę powiedzieć bo nie wiem dotąd o co synowi pańskiemu chodzi; ale bić się będę koniecznie.

— Panie dobrodzieju! Mój syn... mój syn ale on nie winien...

— Teodorze! — krzyknął ojciec — podaj rękę i przeproś!

— Musimy się bić.

— Ja? ja? nigdy... Bijem się...

Seweryn śmiał się w duchu, hrabia brał za boki.

— A! gdyby codzień taki pojedynek! — wołał.

Zaczęto plac oznaczać, widząc że nie zakłęcia i namowy nie pomogą, usunął się i począł odwróciwszy tyłem, modlić biedaczysko pod drzewem. Teodor błądy był jak chusta. Zaczęto się rozbierać; przeciwnicy wzięli broń do ręki.

Tu już każdy widział, że Seweryn panem siebie będąc, silny, obojętny, musi wygrać mając do czynienia z przeciwnikiem pomieszczanym i drżącym.

Złożyli się...

Na pierwszy szczepek pałaszy... Stary Doliwa zakrył oczy, zatulił uszy, płakał rzewnie.

— Dosyć, dosyć, — wołał.

Seweryn tak dalece był wyższym od Teodora, że za trzeciem złożeniem się, z największą łatwością płatnął go po uchu... Natychmiast zawołano — dosyć. Teodor upadł na trawę przestraszony.

— Czy dość panu? — spytał Seweryn podając mu rękę...

— Jestem — nie domówił...

— Czy bardzo jestem ranny?

— Dzieciństwo! — zawołał hrabia — jedno ucho! i to nie całe stracisz...

W tem ojciec nadbiegł, a widząc okrwawionego padł na trawę przy nim.

— Teodosiu, kochanku! co ci! co ci! ach! wody! na Boga! syn mój!

— Uspokój się pan, nic mu nie będzie... ranny w głowę... ale część tylko ucha straci!

— Część ucha! ucha część... Wody! bandażów... cyrulika.

— Ot, jedźmy lepiej na śniadanie — rzekł hrabia. — Rana ta dzieciństwo!

— Dobrze panu mówić! — przerwał ojciec, — dobrze panu mówić... mój syn! my jedziemy do domu!

— Jak sobie chcecie.

Tak się skończyła ta walka pocieszna, na ranie lekkiej, łzach ojca, gniewie matki, śmiechu hrabiego...

Seweryn obojętnie pojechał wieczorem do Górowa...

Na jakiś czas wolni byli tam od odwiedzin Doliwy.

Wedle zwyczaju powszechnego, Seweryn pojechał w tydzień o zdrowiu Teodora się dowiedzieć, ale matka

zobaczywszy przez okno że jedzie, kazała wszystkie drzwi pozamykać i ludziom się pochować.

Trochę podleczoney, zakrywszy włosami ucho jeszcze nabrzękłe, Teodor pospieszył do Górowa. Pamiętał o tem że Seweryn nie bronił mu wcale tego. Sądził że poje dynek jego, o którym mówiono w sąsiedztwie jak o czy- nie heroicznym, powinien mu być serce nieczulej Marji pozyskać. Niestety! zimno go przyjęto i słówka o nim nie powiedziano.

Nie stracił przecie nadziei.

Nazajutrz matka miała jechać oświadczyć się formal- nie, gdy nadszedł list panny Scholastyki, zapraszający cały dom państwa Doliwów na obiad i wieczór na wtorek...

List ten wzruszył do wnętrzości wszystkich. Co miał znaczyć?

Na środku pokoju stanęła matka, ojciec, syn i czy- tali i rozważali i komentowali.

— Delikatnie dają do zrozumienia, że nas nad innych uważają, że czas abyśmy przystąpili do deklaracji...

— Maszercia, tak myśli?

— Może być — rzekł Teodor.

— Wiedzą państwo! — wpadając zawołał Kuliko- wicz, we Wtorek bal w Górowie.

— Jakto bal?

— Bal! jestem proszony!

— A! to i pan! — rzucając list na stolik rzekła jejmość.

— A i ja! i wszyscy generalnie... całe sąsiedztwo.

— Ale z jakiejże okazji?

— Do kalendarza!

— Imieniny krajczego!

- Nieochybnie.
 — I muzyka będzie z Pińska! — dodał Kulikowicz.
 Matka szepnęła synowi.
 — Wyborna okazja, trzeba się oświadczyć koniecznie.

KONIEC KOŃCÓW.

Domyślacie się pewnie, że imieniny krajczego miały być razem zaręczynami Seweryna i Marji.

W sąsiedztwie mówiono tylko o imieninach, więcej o niczem nie wiadano.

Mężczyźni opatrywali granatowe fraki, gdyż wedle zwyczaju na parafji wielce uważanego, na imieniny w czarnym się nie jeździ nigdy. Inne nawet części ubioru najczęściej są kolorowe. Kobiety sposobiły się w suknie i stroiki, pani Doliwowa domorosły przymierzała zawój, który z piórem strusiem i spinką (niegdyś sprzączką trzewika) miał jej być wcale do twarzy.

Wielkie i ważne rozprawy w garderobach toczyły się o falbany sukien i garnirowania kołnierzyków.

Pan Fabjan, choć słyszał że muzykę sprowadzić miano, na wszelki wypadek swoich domowych wirtuozów do kadryła usposabiał. Z ciężkością mu to przychodziło, ale miał niepłonne nadzieje, że potrafią zagrać, nie myląc się częściej nad razy trzy w jednym kawałku. Teodor przystroić się miał w świeży frak, bardzo nowego kroju, który pocztą był spodziewany co chwila. Ważnym wypadkiem miały być jego półbociki werniksowane; któremi spodziewał się zaćmić wszystkie szuwaksy sąsiedztwa, z cukrem i bez cukru robione.

Szpilka jego fontazia, prawdziwa brylantowa, potężna, była ofiarą matki.

U Haslingów pomimo grożącej tradycji cały dom na stopie wojennej... krawiec robił w bawialnym pokoju organdynowe suknie dla panien.

Pomocnik jego przyszywał strzemiączka do pewnej części stroju męskiego, która wedle nowego zwyczaju, obejść się bez nich nie może, *sub paena parafrasi* *szczyśnae*. Dalej prały się kołnierzyki, chustki haftowane na końcach i białe perkalowe rękawiczki...

Nie godziło się zajechać bryczką... strojono więc koczobryk, który widocznie chorowity i chroniczną jakąś słabością dotknięty, na bok się jeden przed wozownią stojąc pochylał. Kował przedsiębrał ortopedyczną kurację. Służący łątał fartuch i ociągał franki, woźnica tranem odświeżał uprząż pogniłą.

Liberja Haslingów także się wyświeżała, zwłaszcza na łokciach i w używalniejszych miejscach. Kołnierze manszestrowe, ów luksus niesłychany, z powodu wielkiego zasmolenia dawniejszych, odnowić się musiały. Guziki czyszczono cegłą i kredą, nie bez jasnego skutku. Niedostatek ich zastępowały odprute w miejscach zbytecznych.

Słowem, ruch i zajęcie wszędzie.

Porucznik Pokotyło znowu kuł sztelwagę złamaną, łątał uprząż i wyprawiał koczzyk do stawu dla obmycia od stóp do głów. Osobiście sam pracował nad złoceniem toalety własnej i ludzi.

Pan Fabjan targował się z matką o żabot, który chciał mieć koniecznie i mankiety z perkal-batystu.

U Doliwów trzepano migdałową liberją, myto kocz Danglowski, a sam jegomość pod piecem siedząc rozmy-

ślał, jak sobie począć, żeby można fajkę palić w Górówie, nie rzucając kompanji? Było to zagadnienie ważne dla niego.

Wszędzie przewidywano dzień stanowczy. Nawet Kulikowicz zebrał się na nowy garnitur granatowy, który wprowadził ręce mu walał niebiesko, ale był świeżuteńki. Biała chustka, kamizelka, kołnierzyk silnie krochmalny podrynąjący uszy, dewizki błyszczące (w wódce z mydłem odmyte) zdobić go miały.

Żydzi okoliczni błogosławili myśl tej zabawy, która im robotę dała... furmani ją przeklinali z duszy całej, panowie roili wypadki ważne.

W Górówie było spokojnie.

Dom powoli stanął był na tej stopie zamożności, dostatku, która nie wymaga nadzwyczajnych przygotowań, na każdy zjazd większy... kilku kucharzy wcześniej sprowadzonych pracowali w kuchni cicho... zresztą nigdzie ruchu niezwykłego widać nie było.

Nadszedł oczekiwany wtorek.

Czemuż nie mogę opisać wam, ile od rana łażań, przekleństw, niespokojnych wyrzekań słyszeć się dały. Tam koń zakulał, ówdzie w powozie się na wsiadaniu coś zepsuło, suknie były nie skończone, krawcy nie gotowi jeszcze. Godziny biegły szalone, opętane, wściekłe, że ich przytrzymać nikt nie potrafił. Skarżono się powszechnie na utrapiony polot czasu, który zdawał się na ten ranek nowe przyczepiać skrzydła.

Nareszcie około pierwszej, drugiej, powozy ruszać się poczęły od ganków...

— Stój, stój... chustka od nosa...

— Flakonik mój.

— Druga para trzewików...

— Niech Florjan konia wyprzeże i leci za zapomnianem pudełkiem!

Samo usadowianie się w powozach, z sukniemi, które świeżemi być chciały, niesłychanych trudności stało się powodem.

Panny Hasling nie umiały całkiem pomieścić się z braćmi i ojcem. Musiano dla tych zaprząść wózek... Ojciec ruszał ramionami wyrzekając na zbytęzną grubość swych córek i niedotykalność sukni. Pani Doliwowa wypchnęła męża i syna na przód koczka, rozsiadając się swobodnie w głębi, z podniesioną suknią...

Wszystkie białe i żółte rękawiczki, jechały w kieszeniach, w woreczkach aż do grobli Górowskiej. Tu dopiero poczęto stawać, dla wzięcia trzewików które cisnąć miały, rękawiczek, dla uzbrojenia się w chustki od nosa zachowane na sam przyjazd.

— Poczekajcie, niech wyminiemy Doliwów, to stanimy wziąć chusteczki — mówiły panny Hasling — i poprawim włosy...

— Poczekajcie niech się Haslingi zostaną, to zastanowim się... poprawić.

Skończyło się na tem, że wszyscy stanęli razem i szybko dopełnili strojów i przygotowań. Potoczyły się znowu powozy, przy gęstych z bicza poklaskach.

Furman Doliwów tak celował temi wystrzały, że od grobli do domu dwadzieścia i pięć razy dał dowód swej zręczności.

Inni średnią proporcją po piętnaście razy palnęli. Wszystkie wróble z wierzb na grobli uciekły.

W pokoju bawialnym siedział już stary nasz krajczy ogolony i podgolony świeżuchno, w żupanie karmazynowym atlasowym, kontuszu ciemnym aksamitnym, pasie

litym, przy karabeli złocistej... Scholastyka w sukni kanoniczki (pierwszy raz pokazała się w tym stroju, do którego od niedawna miała prawo); Marja we włosach i białej sukience z niebieskimi wstążkami.

Pokój bawialny pełen był kwiatów i cały dywanami wysłany, przyłączono do niego krajczego sypialnię, na ten dzień wypróżnioną i drzwi wybite na ogródek mającą. Seweryn czarno ubrany stał przy Marji... Ksiądz proboszcz rozmawiał z krajczym.

Sąsiedztwo z kolei zajeżdżać, wysiadać i napełniać pokoje poczyniło.

Suknia panny Scholastyki pierwsza zwróciła uwagę.

— Co to za strój?

— Kanoniczek.

— Cóż to kanoniczka?

— Rodzaj kanonika rodzaju żeńskiego.

— I to nie idzie za mąż? — spytała Doliwowa niespokojnie...

— Oczewiście że nie.

— Przecież ma rozum!

— Co to za strój? — pytano ówdzie...

— Nie wiem, to przez arystokrację go włożyła pewnie.

— Patrzajcie!

— Co to za strój? — pytano dalej jeszcze.

— Od fantazji.

Następnie zwrócono uwagę na czarny frak Seweryna. W naszych wiejskich towarzystwach czarny frak bardzo zwraca oczy.

— Na imieniny w czarnym fraku? patrz waćpan.

— Co to pogrzeb?

— Nie nie rozumie świata.

— Gdyby panie tak do mnie przyjechał, tobym mu dał *ad intende*.

— W mieście to uchodzi.

— Ale u nas nie... Niech sobie uchodzi, gdzie chce, a u nas nie jest we zwyczaju.

Chodząc po salonie, zaczęto później przypatrywać się wszystkiemu i po trochu wyśmiewać z cicha.

— Chcą nam zaimponować temi dywanami.

— Masz waćpan racją, a kiedy piaseczniczek nie ma, pluje na ich dywany.

I... splunął.

— Dla czego ludzie czarno poubierani, bez liberji?

— I to panie impozycja!... *sanfason*.

— Co to znaczy to wisiadło we drzwiach?

— A to nie widziałeś u Doliwów, to się nazywa *portjera*!

— A po licha?

— Od wiatru!

— Wiele to na nią łokci wyszło!

— I stoliki pookrywane.

— Muszą być licha warte.

— To moda.

— A jakie *serwety* wspaniałe!

— Daj go katu, widać że mają za co sobie pozwolić.

Przechadzano się tak rewidując co było w pokoju. Półka zastawiona fraszkami uległa zupełnej superrewizji; wszyscy brali w ręce porcelanowe figurki, śmieli się do nich, macali, podawali sobie, aż stłukli chińczyka jednego i dopiero poodstępowali.

Gdy się to dzieje... Krajczy powstał.

Zrobiło się jakieś zamieszanie.

— Co to jest?

- Co to jest?
- Nie wiem.
- Patrz waćpan, panna Marja uklekła.
- A! Seweryn!
- Co to komedja!
- Co to?
- To zaręczyny.
- Czyje! Jakto! Być nie może!

Sąsiedztwo osłupiało! Pani Doliwowa osłabła i pochylała się na poręcz kanapy, Teodor padł w krzesło, inni rozmaitemi sposoby okazali silne uczucie, którem byli przejęci.

Ksiądz błogosławił i mieniał obrączki, nikt pojąć tego nie mógł.

— Widzisz waćpan! to zdrada! jak *honor* kocham, miałem nadzieję.

— Co waćpan mówisz... byłem tak przyjmowany, że mogę powiedzieć.

- Rozumie z was kto, co to jest?
- A to panie impertynencja dla nas, to finfa!
- Masz racją, kochany sąsiedzie, finfa tobie!
- Nie, tobie...
- Obudwom jeśli chcesz...

Teodor na skinienie matki przyszedł ku niej.

— Mężtwo... kochanku, — szepnęła mu — nie wyjeżdżaj, wszyscy by się śmieli... Scholastyka twoja, a i ona ma tyle co Marja... zwróć się do niej. Tyś Marji nigdy nie kochał.

- Ale ona w tej sukni.
- E! to nie: kanoniczki idą za mąż byle się trafiło... Tylko żwawo, wiem że jej nie jesteś obojętny.. Oświadczyć się dziś jeszcze... blisko dwóch milionów.

Fabjan Pokotyło, doznawszy nieco wzruszenia pocieszył się tryumfem, który mu jego muzyka w kadrylu zapewnić miała. Porucznik trochę suknią kanoniczki zmieszany, dał sobie wmówić, że kanoniczki idą za mąż. Hasling przysiadł się do panny Scholastyki, która mu szepnęła.

— Bądź pan dobrej myśli, zapłacę za pana Kulikowiczowi dług, ale daj mi pokój ze staraniem, bo ja ani za niego ani za nikogo za mąż iść nie myślę. Stary ukłonił się i odszedł.

Doliwa stary chodził zasepiony i w rozpacz, którą uśmiechem pokrywał.

— Nie pojmuję — powtarzał, — nie rozumiem... Seweryn otrzymał pierwszeństwo! Uważasz to pan dobrodziej? przed Teodorem!

— Widzę.

— Jak pan to uważa? szelmstwo panie! Intryga! podłość! Taki świat teraz! Taki... (A gdzieby tu można fajkę zapalić?)

— Nie wiem.

— Teodor miał ucho obcięte! Miał pewne prawa do jej ręki. Tak się panie z uczciwych ludzi nie żartuje! Jak pan to uważa?

— Nie umiem sobie wytłumaczyć.

— Ani ja! Teodor zwyciężony! Trzeba go znać, trzeba ich znać obu panie... aby ocenić, to jest dowód płaskości... nikczemności... Teodor człowiek światowy, pełen talentów... Pan słyszał jak gra? widział pan jak tańcuje? Dość zresztą spojrzeć na niego!... Nie umiem tego nazwać!

— Ani ja.

— Bo nie chodzi nam o te tam pieniądze! Mamy się

dobrze i bez tego, dzięki Bogu! (nie wie pan, gdzieby tu można fajeczkę zapalić?)

— Nie wiem, może w ganku.

Do objadu trwały szepty i rozmowy.

W sali na przeciwnej stronie domu nakryty był stół. Zaręczeni siedzieli obok siebie, Teodor usadowił się przy cioci, popchnięty przez matkę z mocnem postanowieniem... oświadczenia się z desperacji.

Ale ciocia potrafiła mu usta zamknąć; nieszczęsny młodzian wstał jak usiadł i gorzej jeszcze, bo niespokojny, nie rad z siebie.

Seweryn wyznaczony podgospodarzem, wstał pocałował Marję w rękę i od pół objadu począł poić sąsiadów. Pierwszy Doliwa, wierny herbowi swemu, dolewając do kieliszka u pieczystego zapłakał nad losem syna Teodora. Szampańskie bijąc mu do nosa, jeszcze rzewniejsze łyzy wycisnęło. Proboszcz siedzący obok, musiał go pocieszać. Jejmość zdaleka tylko ramionami ruszała, dając napróżno znaki.

— Wiwat zaręczeni! wypito z hałasem, bo wszyscy byli podochoceni potężnie. Doliwa łyzy swe wypił z kieliszka.

Po czarnej kawie, usunięto stoły i krzesła i muzyka zagrała.

Nie będziemy wam opisywać wieczoru.

Rozjechali się goście późno w nocy... ale niestety!... bez nadziei.

Próżno się było nią łudzić... Ciocia głośno oświadczyła, że nigdy za mąż iść nie myśli.

Stary Doliwa siadając do koczka, zawołał:

— Dajcie mi fajkę! Teodor nasz upokorzony! świata koniec.

— Cicho byś był, — przerwała jejmość — to są szerepetki... myślałam, że ludzie nam równi, ale przekonywam się, iż ich pieniądze nie uszlacheiły wcale. A pospolite to! a grubiańskie, a głupie... kontentam że to się tak kończy. Teodor takiej partji nie potrzebuje.

K o n i e c .

KRZYŻ
NA ROZSTAJNYCH DROGACH.

POWIEŚĆ.

I.

Widzieliście kiedy szlachecką osadę? O! sto razy zapewne! Ale miał-że kto z was ciekawość, cierpliwość przypatrzeć się jej z bliska? mocno o tem wątpię i że wątpię, dla tego właśnie muszę wam opisać szlacheckie sioło w Podlasiu, jakim ono było w XVI wieku, a jakim ono jest prawie dziś jeszcze. Na dolinie zielonej, między wygonem wybitym nogami koni, bydła, owieczek czarnych, rudych i białych, które próżno skubią niedojrzane rostki trawy; a polami w szachownice pokrajanemi, zasianemi różnego rodzaju zbożem, lub niezasianemi wcale i zdawna odłogiem leżącemi, gdzie ujrzysz na sznurze wiedzione, pasące się po miedzach, chude bydła, wiedzione od chudszych jeszcze pastuszków: leży wieś, długo się rozciągająca. Poznasz od razu, że to nie wioska z chłopów złożona, ale szlachecka osada, po dworach nieco czyściejszych, z większemi oknami, z oparkaniem brzożowem zręcznie uplecionem, z kominy białemi. Do koła nich sady wiśniowe, gdzie niegdzie stara grusza, jabłoń krzywa, smukła osina lub oleha z bocianiem gniazdem, żuraw wysoki od studni; i na ulicy tu

ludniej i inne stroje panów szlachty. Bo same panie w chustkach kolorowych na dni powszednie, w czepcach od niedzieli; sami ichmość w kapotach, w butach, w kurtkach. Ale jak nigdzie na świecie, tak i tu różności absolutnej i jednej dla wszystkich nie ma reguły. Są tu postacie, prawie nędzniejsze od wieśniaczych, odarte, brudne, przejmujące obrazem nędzy, są obok zamożniejsi, albo patrzący na mieszczan, co się nazywa dostatnich, (choćby się na kondycję ich za nic mieniać, nie chcieli) albo nawet szlachtę po wsiach własnych z poddanymi siedzącą. Są i tu różne fortuny, zagroda zagrodzie nierówna. Jeden ma włókę, drugi siedzi na zagonie, on, ona, dzieci i wnuki. Jeden ma od święta kontusz z przedniego sukna, żupan z przodu jedwabny, drugi paraduje na wielkanoc w szaraczkowej startej kapocie. Jednego dworek patrzy na dwór co się zowie, drugiego podparty podobny ogrodniczej chałupie, do której wyprawują starców kiedy się na nic nie zdali, a pan nie ma co z nimi zrobić i chce się popisać z miłośrdziem swoim przed światem.

Ujrzyś też tutaj pole dobrze uprawne, w porę zasiane, obok nędźnie podrapanej roli, w której skąpą ręką na stracenie ziarno rzucono, cherlające i napróżno usiłujące się wydobyć z pod brył nierozbitych. Ujrzyś tłuste bydełko, obok chudego dobytku ubogiego, ostatniej jego nadziei, która nie przetrzymuje zapewne. Ujrzyś rumiane lica, wesołe twarze, pstre rantuchy, kwiciste spodnice. Obok smutnych, przed czasem wybladłych i pomarszczonych, z oczyma wpadłymi i zgasłym licem, obok szarych i brudnych łachmanów. Jak na świecie tak w szlacheckiej zagrodzie. I tu dobrzy obok złych,

szczęście i spokój obok występku i nędzy, chata obok dworu, głód obok nasycenia.

Ot spojrzcie no na ten dworek, co się odsunął od swej braci i poszedł ze wzgórką patrzyć na zielone zagony, daleko się rozciągające, z pod stóp jego. Jaki schludny, jaki czysty, jaki miły. Białe ściany, komin biały, zielone okienice z sercami w pośrodku, ganek na czterech słupkach białych, między którymi ławy i bala-ski... przed domkiem wysypano piaskiem żółtym... opar-kaniony do koła tak szczelnie, że się pewnie na ogrodzie warzywnym cudzy dobytek nie pożywi, wrota zamknięte. U wrót dwie lipy stare pochyliły się nad głowy gościa jakby go witały, jakby mu mówiły — Bóg zapłać żeś przyjechał! W pośrodku podwórka dąb a na dębnie, któż jeśli nie bocian, ten kochany ptak mile klekocze, co kiedy przyleci to z wiosną zieloną, a gdy odlatuje, to na pociechę pełne stodoły i gumna zostawia... pocziwy ptak, jak co pies, domowy, przywykły do podwórka, do którego rok powraca; bezpieczny, zaufany, że nie raz w południe chodzi sobie piechotą sam jeden po dziedzińcu, aż wesoło patrzyć. I któż by też śmiał tego opiekuna czem urazić, wszak-ci to on szczęście, zapewne od gromu i ognia przynosi.

Spojrzcie no na około: jakie to czyste stodołki, jak porządne chlewy i obory, jak wszystko pełne, jak tu znać porządek i dostatek! A za dworkiem co za ogródek! gdy się człek wychowa koło takiego ogródka, to go do śmierci przypomina! kilka w nim grusz i jabłoni rozłożystych, szpaler leszczynowy i lipy, pod którymi ule stoja.

Zresztą grzędy i grzędy — ale każde drzewo, gdy jest nie wiele, znajome po nazwisku, każda ścieżynka

wspomnieniami zasiana, każda grządka rękami przewrócona twemi! A! alboż i te kwiatki — są pewnie gdzieś na świecie piękniejsze — ale miłszych nie ma. Bo to żółty nagietek coś go dał komuś kiedyś, co go ktoś od ciebie przyjął za różę! to malwa ta wysoka przez nią siana; ruta, z której był jej wianek, i astra, świadek twych jesiennych przechadzek i aksamitka drobna i róża nareszcie, róża barwiasta, którą tysiąc razy w jej włosach widziałeś! O! co to za ogródek! A ta grusza! miły Boże, co na niej wspomnień i ile kawałków twej sukni! A jabłoń, wszak pamiętasz jej złote jabłka, któreś jej nosił, które ona tak lubiła gryźć białymi ząbkami? A ten szpaler leszczynowy — o! tam nawet pójść nie śmiem teraz, tam jest darniowa ławeczka.

Taki to ogródek, taki dworek i podwórek naszego szlacheica. Ale ba, choć on tylko zagrodowy, nie równaj go z innymi, mówią ludzie, że gdyby tylko chciał, to by sobie wioskę kupił, gdzie tam! i dwie. Ale on woli żywy grosz niż ziemię i powiada zawsze: Dobrze mnie i tu! Wejdźcie no do domku, prawda, mały, i ich też w nim nie wiele, ale jaki czysty, jak wygodny. Na lewo ot masz izbę białą i alkierz takiż z dużymi oknami, z kaflowemi niebieskimi piecami. Ławy dokoła świecą się od używania, a przecie nie zbrukane; polysk im tylko nienaśladowany niezem, dało częste wycieranie. Stoły pozakrywane kobierczykami wzorzystemi, komin wybiełony i zasunięty, a na kapie takie żółte piękne tykwy, garnuszcзки pstre, kufelki z pokrywami i figurki cudne. Podłoga z tarcie, posypana zielono, świeżo, zapaszysto. Na ścianach obrazy Matki Boskiej, Chrystusa Pana, Króla Jegomości i wizerunek Ojca świętego papieża i konterfekt prądziada gospodarza, jegomość pana cześnika

Tuczniewskiego, z długą brodą, w niebieskim kontuszu, zapiętym pod brodę, z ręką na szabli, miną gęstą i wąsem potężnym. W alkierzu łóżko gospodarstwa, *more antiquo* nierozłączne, jak owe stare stadła, co żyły nierozzerwane i konały obok siebie z dłonią w dłoni, okiem w oku. W pośrodku domu izba panien, do której idzie się z sieni, poznałbyś ją po śmiechu wesołym. Na prawo izba gospodarska, piekarnia, spiżarnia i t. d.

Taki to domek pana Mikołaja, on w nim z żoną, trzy córki i dwóch synów, wszyscy pracowici i posłuszni. — A czego u licha im brak? kiedy uboższy szlacheic roi o szczęściu, bo go sobie inaczej wyobrazić nie potrafi, jak dworkiem i workiem pana Mikołaja — dziwny człowiek, zawsze panu Bogu dziękuje za swoje szczęście; a taki, kto go tam wie czego? ale czegoś się gryzie, czegoś pragnie? Jeśli postanowienia słusznego dla córek? toć się o nie stara tylu, że tylko wybierać; a jeden od drugiego lepszy, dorodne i zamożne chłopcy. Jeśli synom mienia? toć ci będą mieć po nim i na dwóch nawet, posag trzech sióstr wytrąciwszy, zostanie jeszcze pocziwy grosz i dobry kawał ziemi. — Czegoż u kata się gryzie i żąda? Honorów? — Wiedzą ludzie, że ich wcale nie pragnie, boć nie raz podochocony, kiedy to człek się wygada z tem, co ma najgłębiej w sercu, mawiał: Jak będą grosze, będą i honory! A u mnie największy honor mój klejnot szlachecki!

No, a czegoż się markoci i chodzi nieraz między lipy, palca gryząc, czoło pomarszczywszy? któż go wie? może to synaki go niepokoją, że próżnują, a z flintami po lasach bujają tylko, i na przełazach chichoczą z panny szlacheciankami do północy... Boć nie raz mówił im stary: — Ej, weźcie się do czego, weźcie, nie trawcie

tak lat młodych za piecem. Jednemu by z was żołniersko służyć, drugiemu gdzie u dworu, nie spuszczać na ojcowski chleb, niechaj on będzie w zapasie na głodny czas, a póki młodzi, zróbcie też co sobie. — Mówił to nie raz i mówił na próżno, aż nareszcie kiedyś z Basią swoją narodziwszy się (co się to ona nieboraczka napłakała), postanowił, widząc, że same rady nie nie skutkują, rozkazem rodzicielskim zmusić ich do obrania zawodu. Ale zrazu nie nie powiedział, przygotował się tylko po cichu, i dwa razy chodził do okutej skrzynki, trzy razy do puzderka, pięć razy do stajenki; a na Najświętszą Pannę Zielną, kiedy to wielki fest w kościółku tutejszym, sprosił sąsiady, zapowiadając synom, aby się od domu nie oddalali. A kto by się oddalił, kiedy odpust i dziewczęta strojne i osada cała brzmi weselem i skrzypki grać mają?

II.

Synowie pana Mikołaja byli to sobie wesołe chłopaki; nikt się na nich nie poskarżył, a kochali ich wszyscy. I czemu by kochać nie mieli? Starszy Domko (miał imię Dominik) prosty jak sosna, czarnowłosa, rumiany, wesół, przyjacielski, pierwszy był do pomocy każdemu, do wypitej i do wybitej, do zwady i do biesiady, kiedy przyjaciel to serdeczny, kiedy wróg to mijaj-że go z daleka! Cholewki lubił smalić, z flintą na kaczki i zające chodzić, śmiać się a hulać. Już to dopracy nie zagnał go łatwo, ani ojciec swoją powagą, ani matka, pani Barbara, łagodnem słowem, ani ksiądz dobrodziej częstem napominaniem o straconych latach młodych, co to się już nigdy potem nie wracają.

Domko myślał sobie zawsze: po kiego licha pracować, tatulo bogaty, chleb jest i będzie, czy ja szalony łba nadstawiać na kule, albo cudzej łaski prosić i dworsko służyć, kiedym sobie sam pan. I tak od dnia do dnia rosło to, mężniało, aż dobry dąb się z niego zrobił; a o pracy żadnej nie pomyślał. Prawda, że to tam w szlacheckiej osadzie życie było wesołe, dziewczęta rumiane kieb maliny, a trzpioty by ptaszęta na wiosnę, a lipkie jak miód. Polowanie wyborne, kaczek mnóstwo; czy na przeloty, czy na młode, czy z gończemi, brałeś ich coś chciał; zając przepaść, lisich jam na wszystkich wzgórkach jak nasiał, wilezysko nie rarytas, kuropatwa chlebpowszedni, o przepiórkach nie ma i co gadać. — Pohulanki też i do niej towarzyszy nie brakło, raz wraz ten ów zapraszał.

— A do mnie Domciu, do mnie!

I tak to jakoś dzień płynął za dniem, że się Domko nie opatrzył jak mu lata biegły i wąż się sypał rzęsisty, a on wciąż tylko chodził na wieczornice, łąził po błotach i późno w noc chichotał z sąsiadkami.

Z tem wszystkiem, choć próżniak, hulaka, a pocziwie miał serce Domko — i szerokie, bo kto się tam w niem nie mieścił!

Drugi to wcale co innego. — On także lubił próżnować i chodzić, liczyć liście po drzewach, ale nie szukał sobie towarzystwa, nie zaglądał gdzie się śmieli i pili, chyba go gwałtem pociągniono. — Ot taką miał naturę, że lubił (dziwowisko!), żeby mu nikt nie przeszkadzał być smutnym. I taki był sobie zawsze smutny, że bywało choć się rozśmieję, to tylko ustami, w duszy śmiechu nie ma, nie ma w głosie. A postawą także różnił się od brata: bo był blady, blondyn, chirlawy,

szczupły, a siły w nim ni za trzy grosze. Serce to najpocziwsze, co miał to dał, za słabszego się ujął, ubogiemu dopomógł, i choć już taki z natury, i nie łatwo i nie ochotnie brał się także do pracy, a jak wiedział, że może komu swoją pracą ulżyć, to i popracował. Starszego dziewczęta i sąsiedzi lubili, bo do pogadanki, szklanki i biesiady jedyny. — Śmieszek, figlarz; młodszego coś jakby szanowali, a dziewczęta nie śmiały go napaść swemi zalotami jak tamtego, tylko patrzyły z daleka, uśmiechały się doń łagodnie i udawały bardzo smutne i zamyślane, kiedy je mijał. Bo to potrzeba wiedzieć, te dziewczęta umieją kiedy chcą do każdego się zastosować, licho wie, kto ich tego uczy, czy ojciec rozumek, czy matka natura? Jednego ułowi śmiechem, drugiego smutkiem; a Bogiem a prawdą przynajmniej w początku to i śmiech nie szczery i smutek nie lepszy. No — ale to już taka ich natura, i było tak i będzie, nie ma co o tem szeroko gadać.

Łatwo to postrzedz z tego co się rzekło, jak bracia Domko i Florek byli sobie niepodobni; a co na to powiecie, kochali się po bratersku, szczerze, serdecznie; od dzieciństwa nie pokłócili się ani razu, nie namarszczyli się jeden na drugiego nawet. Domko zastawił się za brata, zrobił co tylko chciał. Florek nieraz najniewinniej broniąc starszego, guza odebrał; choć nie lubił tam bywać, gdzie guzy latają i lada moment może który sięść na głowie, co go potem i za tydzień się nie pozbędziesz. Już jak Florek polowania nie lubił, a nudno było bratu samemu, to z nim w błoto laźł i gotów siedzieć cały dzień. A Domko znowu co tak lubił gadać i śmiać się, to nieraz nie mając z kim, chciałby z bratem, a znając go, aż gębę zagryzał i szedł spać do szopy, choć mu

się na sen nie zabierało, byle mu się nie naprzykrzać. I kochali się tak, że to była pociecha patrzeć, bo braci takich nie wiele na świecie, i nienawiść braterska od przyjaźni braterskiej pospolitsza.

Ale myśmy się zabłąkali. Nadszedł tedy fest na Najświętszą Pannę Zielną.

Bracia nie nie wiedzieli, jednakoż spodziewając się gościa doma, postroili się w nowe suknie i poszli do kościoła. Po drodze Domko zaczął wszystkie dziewczęta, kłaniał się wszystkim starszym, mrugał na młodych; Florek szedł ponuro i choć nikomu nie chybił, a znać było, że znajomości byle z kim nie szukał. W kościele było duszno, ścisk niezmierny, ludu mnóstwo. Ołtarz ubrany paradnie, zieloności i kłosów pełno, a dusza się radowała od śpiewu, od huku organów, od natłoku nabożnych.

A jakież to był widok, kiedy dobrodziej podniósł w górę Przenajświętszy Sakrament i wszyscy mostem się usłali, a on ich błogosławił. Co dopiero jak poszła procesja! szlachta dobijała się o chorągwie, aż do przemówek przychodziło; krzyż najprzód dźwigał stary pan Boczacki, baldachim nieśli dwaj Sosnowscy, księdz pod ręce prowadzili: obywatele przybyli z sąsiedztwa, stolnik i podczaszy. Najpiękniejsze cztery dziewczęta, strojne w wianki z kwiatów, ołtarz Najświętszej Panny na ramionach niosły. A jak posypał lud za procesją, to jeden jej koniec wracał do kościoła a drugi jeszcze się z niego nie mógł wytoczyć. Kazanie miał młody ksiądz wikary, kiedy o naszej Matce Bożej mówił, to tak się serca kołatały w piersiach, jakby każdemu o rodzonej matce przypomniął. — Po nabożeństwie, co było lepszego, pociągnęło się do dworku pana Mikołaja. Ciasno w domku;

w duszy. Tak nagle porzucić miejsce, do którego się wrosło, które zdaje się jedynem, co w niem żyć można! nie widzieć swoich, nie budzić się z spokojną myślą dnia takiego jak wczorajszy! pójść tak nagle z życia lekko płynącego, na swój chleb, na troski o siebie, pójść, jednym słowem — w świat. — A! to było boleśnie, bardzo boleśnie. I nie dziw, że same się łzy kłębiły w oczach, bo nie myśleli, żeby ich kiedy ojciec szukać szczęścia wyprawił, kiedy im i tu dobrze było i bądź co, mieli dosyć. — Ale postanowienie ojcowskie było niezmiennie, stanowcze.

Spojrzeni po sobie bracia, jakby się ze snu obudzili, ze snu miłego, który teraz, gdy się skończył, wydał się tak krótkim, prawdziwie jak sen.

— Co temu tatulowi w głowie? — pomyślał w duchu Domko.

— Gdzie ja się podzieję? co z sobą zrobię? — rzekł Florek.

A w tem ojciec się ku nim zbliżył i za sobą ich do matki, do alkierza poprowadził. Poszli z nim posłusznie i ze spuszczonej głowy. Matka siedziała na kufrze i płakała, oparta na rękę. Siostry miały oczy czerwone od łez — zwrócone z wyrazem smutku na braci. Ojciec był blady, wzruszony, ale na mężkiej powiece łza nie powstała. Dwa skórzane woreczki leżały na stole, napełnione talarami, oddał je synom w mileżeniu.

Oni rzucili mu się do nóg i płakali, potem padli przed matką, która ich ścisnęła i błogosławiła, wieszając na nich szkaplerze i medaliki z Najświętszą Panną Częstochowską.

— Niech was Bóg i święta Jego matka prowadzi

moje dzieci — mówiła łkając głosem od płaczu przerywanym, powracajcie nam pocziwi i zdrowi.

A ojciec dodał:

— I nie z próżnemi rękoma. Młodość drogi to czas, nie marnujcie go. Waści, panie Dominiku, wojskowo by służyć, tobie Florku dworsko. Nie wybieram gdzie macie jechać! Niech was Bóg prowadzi, gdzie on sam chce, on najlepiej wie, gdzie wasze szczęście, i Matka Boża wskaże wam drogę. Jedźcie moje dzieci, jedźcie w imię Boże!

I znowu rzuciła się im matka na szyję, płacząc ścisnąć zaczęły siostry, błogosławił ojciec. Aż wszedł ksiądz proboszcz, siwy starzec, przyjaciel wszystkiej szlachty, którą od tylu lat chrzczył, żenił i chował. Ukłękli przed nim bracia, wyciągnął nad nimi ręce i jemu czysta łza potoczyła się po twarzy. Szeptał modlitwy po cichu, pocałował ich w głowy. — Jedźcie z Bogiem — rzekł — kto z Bogiem Bóg z nim; nie zapominajcie wiary naszej, nie rzucajcie nabożnych zwyczajów młodości. Nie zważajcie na śmiech i urągania, które was spotkać mogą; a źle wam będzie, obracajcie się do Boga, ufajcie w nim i dobrze wam będzie; dziękujcie Bogu! Niechaj was Bóg oświeca, błogosławi, wspomaga i prowadzi!

Z alkierza wyszli młodzi do wielkiej izby, tu ich obstąpili wszyscy i pili zdrowie ich, życząc wszelkiego szczęścia, rychłego i szczęśliwego do zagrody powrotu. Niektórzy podochoćceni, wróżyli im to to, to owo, przepowiadali wiele sukcesów; dorobienie się fortuny, honory, bogate ożenienie. Dwaj bracia odurzeni tem wszystkim wstali, tak, że kiedy wyszli raz jeszcze pożegnać domowych i zajrzeć do swojej izdebki, z której jeszcze dziś

rano nie spodziewali się w tak długą wybierać podróż, to tak byli pomieszani, że nie wiedzieli co wziąć z sobą, co zostawić. Ale Florek mniej jeszcze miał przytomności od brata; blady, zamyślony chwycił odzienie, spakował je w tłumoczek nie patrząc na nie i nie myślał, czy mu czego braknąć może. Domko, choć ze łzami w oczach, dobrze wyrachował, co wziąć, co porzucić, i w mgnieniu oka gotów był do drogi. Konie czekały u gumna; dwa konie szpaki, po cztery lata w piątym, gładkie jak galczki, różne, wesole. Rządziki na nich skromne, ale nowe i czyste, siodła wygodne i węzłki u siodeł przytroczone już.

I znowu padli przed ojcem, ściskając jego nogi, znowu przed matką, znowu siostry żegnali, znowu pili ich zdrowie sąsiedzi, wytoczywszy się na ganek wszysey. Już siadali na koń, kiedy się odezwał pan Mikołaj:

— No, jedźcież waszmość razem tylko do figury za wsią, tam się rozdzielicie pomodliwszy, żeby was Bóg natchnął, w którą stronę ruszyć macie. Tę figurę sumptem swoim dziad nasz postawił. A teraz w imię Boże!

Bracia byli na koniach, obejrzeni się raz jeszcze ku swoim, matka serdecznie płakała, zakrywając łzy swoje jedną ręką, a drugą ich żegnając, siostry patrzyły przez okna, proboszcz się modlił, sąsiedzi pili. — Szczęśliwiej podróż!

Oni już jechali, pokłoniwszy się czapkami. A któż wypowie co się w sercach ich działo, ile razy obejrzeni się za siebie, uchyłili głów i westchnęli, ile razy łzy na suche już oczy wyszły; jak teraz inaczej wcale wszystko im w tym majowym świecie przypominało boleśnie, co mogło nigdy, nigdy nie wrócić.

Już byli wśród wielkiej ulicy sioła i jechali ku

figurze — a jeszcze słowem się do siebie nie ozwali. Oba mimowolnie obracali oczy na bielejące kominy dworku, na zielone lipy dziedzińca, na gniazdo bocianie, z którego stary przyjaciel rodziny, stojąc na jednej nodze, klekotał pożegnanie swoje.

A w siole już ich czekali ci, którzy prędko dowiedzieli się o ich wyjeździe i pożegnać chcieli. Ze wszystkich szlacheckich dworków powybiegały dziewczęta, powychodziły matki, powyskakiwali młodzi i stali na drodze i przybiegali ku nim, aby im spojrzeć w oczy raz ostatni! Kto wie, może doprawdy ostatni! A któż wie, żegnając nawet na dwa dni przyjaciela, czy go po dwóch dniach zobaczysz?

Domka łapały po drodze wszystkie dziewczęta z kruczemi kosami i ocierając łzy fartuchem, żegnały po cichu.

— Magdusia! ja o tobie nigdy nie zapomnę — mówił jednej, a dalej powtarzał toż samo Frani i Joasi, każdej bo serdecznie żałował; a serce się mu krajało na wspomnienie niepowrotnych wieczorów pod wiśniowemi sady, w leszczynowych szpalerach, — wieczorów, co się odrodzić nie mogły, bo stary wędrowiec wróciwszy nazad do swojej zagrody, jużby nawet ich może nie zapragnął, złamany życiem i odczarowany. Młodzi towarzysze podawali ręce Domkowi, mało ich Florko zaczepiał; Florek jechał smutny i raz tylko spozjrzał przed siebie, raz tylko!

Na prawo stał mały dworek, ubogi dworek Sosnowskiego szlacheica, który jedną miał tylko córkę. W okienku otwartem siedziała Jadwisia, oczy miała czerwone, na rączce się sparka i patrzyła w ulicę. A nie patrzyła na Domka, ale na Florka. I on spozjrzał na

nią, zarumienił się, spojrział w górę przed siebie, potem znów na nią i znów na nią, uklonił się i chciał spojrzeć jeszcze — ale już jej w okienku nie było. Florek puścił konia co wyskoczy, a że się już osada kończyła, Domko poparł także za nim.

Dopiero wyjechawszy między płoty i ogrody, gdzie już prócz pasących się chudych szkap nikogo nie było, wstrzymali konie, spojrzeli po sobie i przemówili do siebie.

— Bracie — rzekł Domko — smutno tak dom porzucać!

— O! smutno — odpowiedział Florek — ale jam się tego dawno spodziewał.

— Spodziewałeś się? Do kata! a ja nie! ojcu dziwna rzecz przyszła do głowy! No, a cóż robić, pojedziem w świat. Ażebyć choć razem we dwóch, ale trzeba się i z sobą rozłączyć!

— O! prawda, że to boleśnie — powtórzył Florek i obejrzał się na dworek pana Sosnowskiego, z którego okna białł rąbek Jadwisi i pokłonił się raz jeszcze; a Domko pojrzał w drugą stronę po za siebie, ale nie było już komu pokłonić.

Zbliżali się tak rozprawiając, oglądając ku figurze, która stała nad rozdołem na wzgórzu. Słońce zachodzić miało: już się znacznie pochyliło, wieczór był piękny, cały w złocistym świetle, w przepychu zieloności i kwiatów letnich, złotawe chmurki biegały po niebios błękie. Na wzgórzu świeciła blachą obita figura, wzniesiona na murowanej podstawie. U tej rozstać się mieli. Od niej szły trzy drogi: jedna wiodąca do wsi, dwie w przeciwnie ku zachodowi i wschodowi strony. Jak tylko ujrzeli krzyż, posmutnieli i pospuszczali głowy, obejrzel

się na dom rodzicielski i milczeli. Jeszcze widać im było dach, podwórek, kominy — gniazdo bocianie i wysoki żuraw studni.

— O! — zawołał Florek — i kiedyż zobaczymy się znowu?

— Za lat pięć u tej samej figury, kto żyw z nas będzie, niech się stawi na ten sam dzień — rzekł Domko.

— Zgoda bracie — odparł Florek — za lat pięć i w ten sam dzień; a jeśli umrzemy, to dusze nasze tu się zejda, za lat pięć przy dziadowskiej figurze.

W tej chwili zbliżyli się do niej właśnie i z koni zsiadli, aby się pomodlić. A modlili się szczerze, klęcząc na ziemi, modlili się, a choć ich modły przerywały mimowolne wspomnienia rozstania, choć przed ich oczyma przesuwwały się żywe jeszcze uczucia po stracie znajomych i drogich, których za sobą rzucili, Bóg przyjął modlitwę, bo była łzawa, szczerza, serdeczna. Jeszcze ztąd widać było całą osadę rodzinną — i długo bracia usiadłszy pod krzyżem, patrzali na nią; długo, jakby w sercu swem obraz ten głęboko wyryć chcieli, przenosili oczy z jednego sadu na drugi, z dworku na dworek. — I policzyli tak wszystkie kominy szlacheckich domków, wszystkie gniazda bocianie, wszystkie stare znajome grusze, aż oczy się ich zatrzymały na wieży kościołka i czarniejszych krzyżach smętarza.

Rzucili się płacząc w swoje objęcia i ściskali długo, i rozstawali i żegnali jeszcze i jeszcze, nim na konie siedli. — Za lat pięć! — powtórzyli oba — za lat pięć! — Potem przeżegnawszy się dosiedli koni, zwrócili je łbami ku figurze i puścili wolno kierując nimi.

Koń Domka poszedł na Wschód a Florka na Zachód. — Bądź zdrów! bądź zdrów! i puścili się cwałem.

III.

Pięć lat póki się przekołaczą, wydają się długimi, to dobry kawałek życia człowieka, ale u końca jakże, obejrzawszy się na nie, krótkie wyglądają! Gdzie się one podziały? mówimy w sobie, pięć lat! przebiegły jak jedna chwila i nie wrócą nigdy, nie wrócą!

A w pięciu latach ileż to się przemienić, ile popsuć, ile naprawić może! O! wiercie mi, pięć lat to nie wiele i bardzo wiele, tak jak całe życie człowieka.

Otóż i pięć lat upłynęły i nadszedł ten sam dzień N. Panny Zielnej; a w osadzie szlacheckiej na oko tak samo jak było, choć wiele się zmieniło rzeczy. Do wielu drzwi zastukała śmierć, przez wiele progów przeszły wesołe swaty, pod wielą dachami zakwitły nowo-narodzone dzieci; zajrzała pomyślność i dostatek do ubogich, zajrzało ubóstwo, wiodąc nędzę za sobą do zamożnych.

Na smętarnu spoczywał stary proboszcz, który braciom błogosławił; nowy tego dnia wiódł procesję i dziewczęta, które niosły ołtarz Marji, teraz zostały u kołysek dzieci, a inne je zastępowały, wielu starych brakło, wielu młodych nie było; a z dala spojrzawszy, wydaje się, jakby nic nie zmienił czas.

Słońce nachylało się ku zachodowi, złociste obłoki pływały w niebios błękicie, wietrzyk wiał od wschodu, na wzgórzu świecił krzyż blachą obity, u krzyża modliła się czy dumiała siedząc kobieta.

To była Jadwisia. — Ale nie ta, którą rumianą i świeżą pożegnał Florek siedzącą w okienku chaty i pięć lat widoczne ślady zostawiły na jej twarzy, a każdy podwójnie jej był długi i o dwa ją starzył. Błada,

smutna, z oczyma wpadłemi głęboko, z usty sinemi, czemuż patrzała na zachód? kto jej powiedział, że tą drogą pojechał Florek, kto jej oznajmił, że tędy miał dziś powrócić? Czemuż dziś właśnie usiadła pod krzyżem, gdy rówiennice siostry bawią się po sadach wesoło i gromadzą przy jarmarkowych szopkach? Sama jedna pod krzyżem? Wszak nie słyszała rozmowy braci, nie wie o danem słowie?

Patrzcie! jakby się zmówili z dwóch stron zapylił gościniec — z dwóch stron biegną dwaj konni, od zachodu i od wschodu! Czemuż Jadwisi nie odwróci ten tentent konia, co kłusuje gościncem tamtym, czemu na zachód pogląda a serce jej bije! Co raz bliżej! Co raz wolniej jadą i oba patrzą kto siedzi pod krzyżem, a jednemu pod kontuszem zabiło serce mocno, zabiło i drugiemu, ale na próżno! — Już się zbliżają!

— Witaj bracie!

— Witaj bracie!

— To Jadwiga!

— To Florjan, mój Boże, to on!

I wstała i zarumieniła się, nie wiedząc co z sobą począć.

A bracia zsiadli z koni i podali sobie ręce i spojrzeli sobie w oczy, jakby jednym spojrzeniem chcieli swą przeszłość wybadać nawzajem.

Co za odmiana!

Florek zmężniał, wypiękniał, oczy mu się świecą, złoty wąs na wardze się rozwija, długie włosy spływają na barki, a na białej twarzy jakby rumieniec, co go dawniej nie było. — Dawny smutek zmienił się w wyraz zamyślenia i dumy. A drugi — wybladł, wychudł, ledwie go poznać, rumieniec utracił, oczy mu zapadły głęboko,

skóra obeschła na kościach, i choć młody, już się pochylał.

— Bracie, jakeś wymężniał!

— Jakeś schorzał i schudł! — To były pierwsze ich słowa. Potem Florek obrócił się do Jadwigi, która już ku siołu odchodziła, pochwycił ją za rękę i przycisnął do ust, a mówić nie mógł, bo słowa na to co czuł, słowa tak wielkiego, potężnego, co by myśl jego, co by całe uczucie wylało — takiego słowa nie było. Ona poszła dalej, lekka, ożywiona, odmłodzona, wesoła; na myśl jej nie przyszło, czy on powrócił jej wiernym, dość, że go widziała, dość, że cały, żywy i zdrowy powrócił.

— Zacznijmy od modlitwy — rzekł Florek i ukląkł pod krzyżem, modląc się serdecznie, a łzy mu płynęły po twarzy, a serce biło mu mocno. Domko nie dzielił z nim modlitwy; on zimny stał z boku i smutno poglądał na bielejące kominy ojcowskiego dworku.

— Tyś się nie modlił bracie? — spytał go Florek. Domko potrząsł głową i zamilkł.

— Usiądźmy, powiedz mi, co z tobą było, ja ci powiem co ze mną — rzekł Florek — jak nam Bóg sześcił? wieziesz-że pociechę ojcu i matce?

— Wiozę pieniądze — rzekł brat zimno — chciałem abym zarabiał i pracował, zarobiłem wiele! Mam spory trzos talarów i czerwonych złotych... Ale mi cięży nie tyle trzos na biodrach, co moja podróż na duszy.

— Na Boga bracie — krzyknął Florek — cóżes uczynił? zapomniałeś się na występki? Jezu! A! nie wracaj lepiej z temi oplakanymi pieniędzmi do domu, idąc oddaj je od kogo wzięłeś... i pokutuj za grzech swój...

— Jakżeś dziwny bracie — odparł pogardliwie Domko. —

Myślisz, żeś je ukradł lub rozbojem dostał? nie... tegom się przynajmniej nie dopuścił!

— Cóżes uczynił tak złego, co ci cięży? na Boga, mów przedzej?...

— Nic... nic — odparł drugi smutnie — nie... tylkom się wyrzekł mojej wiary.

Florek zakrył twarz rękoma i rzucił się na ziemię.

— Bracie — rzekł — tyś heretyk!

— O! nie! — odpowiedział zimno Domko — nie jestem nawet heretyk... nie bracie... Gorzej, gorzej, w nic nie wierzę...

Florek osłupiał, on tego nawet nie pojmował.

— Jak-że się to stało? — spytał smutnie i cicho po chwili.

— Jak? jak wszystko; nieznacznie przyszło i nie wie-dzieć jak się stało. A zapłata za duszę moją ten wór talarów.

I rzucił przed siebie na trawę, odpasawszy trzos, który się po zielonej murawie potoczył. — Posłuchaj!

— Gdyśmy zład przed pięcią laty rozjechali się, jam te strony rzucił całę inny! O! kiedy przypomnę, jak mi wówczas lekko było na duszy, jak swobodnie, jak wesoło na świecie, to krwawemi łzami w sercu mojem płaczę.

Jechałem nie wiedząc dokąd, po co, ale ciekawość uprzyjemniała mi drogę, wszystkiemum się dziwowałem, wszystkiem się cieszyłem. O! czemuż to wrócić nie może nigdy... a nigdy! Piątego czy szóstego dnia drogi, która szła szybko, bo szpaka utrzymać nie było można i po krótkim popasie, nie zostawiwszy obroku w żłobie, unosił mnie daleko na nocleg; a nigdy na nim nie widać było zmęczenia — piątego czy szóstego dnia drogi, zrana, jak dziś pamiętam, spotkałem w lesie polowanie. Była

to niedziela i podobno święto jeszcze jakieś na nią spadało. Zdziwiłem się słysząc huczków, trąbki i hałas myśliwski. Ciekawość mnie wstrzymała — stanąłem pośród drogi. O kilka kroków odemnie, pod rozłożystym dębem, stał średnich lat mężczyzna w letniej czamarze, w pasowej czapce z kutasem, z flintą na rękę. Skłoniłem mu się z daleka; choć sam nie wiem po czem, poznałem w nim pana. Nie zważał w początku na mnie, bo się rozsluchiwał kędy psy pognały, a przekonawszy się dopiero, że w inną stronę pobiegły, cisnął flintę o ziemię i klasnąwszy zamaszysto, rzucił się na rozestłany kobierzec.

— A waść co za jeden? — spytał mnie.

— Szlachcie z Podlasia, odpowiedziałem, podróżny... jadę sobie szukać losu...

— A dokądże to?

— Sam to Pan Bóg wie! Uśmiechnąłem się, on się uśmiechnął.

— Myślisz służyć dworsko?

— Jak się trafi. Potem spytał o imię i nazwisko, potem znowu kłął polowanie i swoich łowczych.

— Jabym waszej miłości łatwo wytłumaczył, — rzekłem, — czemu się polowanie nie udało, gdyby się WMOść nie obraził?

— No? a cóż tam za enigma?

— Bo to dziś niedziela, a napisano, będziesz dzień święty święcił.

— Cha! cha! rozśmiał się pan, — a waszmość papiśta, katolik jesteś? — spytał.

— Szlachcie — odpowiedziałem.

Pan mój lepiej się jeszcze rozśmiał.

— A mnie to czem robisz? — spytał.

— Z respektem... nie śmiem się tłumaczyć, — rzekłem... i zamilkłem.

— Chcesz do mnie przystać — rzekł po chwili, — na dworską służbę... jurgielt podwójny, dwojaka barwa i dwa konie możesz utrzymać... Umiesz pisać?

— Umiem.

— A nie będziesz miał wstrętu służyć! u nie katolika?

Tum pierwsze bracie głupstwo zrobił, bo mi trzeba było, jak od zapowietrzonego uciekać i ruszać dalej; ale mnie ten podwójny jurgielt skusił i zda się że moja śmiałość i odpowiedzi podobały się mu, bo mi podał rękę, którą pocałowałem i już uwiązawszy konia do drzewa, czekałem rozkazów jak dworzanin. Mój nowy pan zatrąbił w trąbkę i natychmiast z różnych stron poskoczyli ku niemu kilku młodzieży. Bardzo się im ciekawie przyglądał, bo po nich chciałem poznać, możliwość pańską i dostatek. Ale nie spodział tego, com zobaczył, bo choć to na polowaniu, ale służba była strojna, postawna, a konie daj go katu! że się mój szpaczek, którego miał za niczego szkapę... chmyzem przy nich wydawał. Otoczyli mnie ciekawie, gdy kasztelan, mruknął, że mnie przyjął i oglądali jak raroga, pośmiechując po trosze; bo i było czego. Najprzód żem wcale na towarzysza ich nie wyglądał z miny, powtóre, że tak, nie wiedzieć po jakimu, na śród drogi zostałem przyjęty. Zniechęcony złym początkiem polowania, kasztelan kazał ruszyć do domu i wnet ozwały się trąbki, a my puściliśmy się gościńcem dobrego kłusa. Tu dopiero mileczkiem jadąc począłem myśleć, jaki to być musi dwór kasztelański; ale mi towarzysze dumać nie dali, bo tuż pytaniami mnie i drwinkami zarzucać zaczęli, każdy sobie. Tom się musiał odecinać, temu tak, temu

owak, a dobrze mi to jakoś poszło, bom nikogo nie obraził, a z wszystkimi się zapoznał. Kiedy po kilku godzinach drogi, ukazało się zameczysko na wyspie wśród błota czarniejące posepnie, to już po imieniu i nazwisku znałem tych co ze mną jechali i śmiało im patrzyłem w oczy. Przybywszy do zamku, nadziwiłem się nie mógł, jego ogromowi, budowie i ciżbie ludu, co dla usługi jednego człowieka tam się znajdowało. Zamek był okropny, do koła fosą murowaną otoczony, z czterema basztami i jedną ogromną wieżycą nad bramą. W środku sam dwór piętrowy... po bokach różne budynki, na pomieszczenie dworu, stajnie, składy, śpichrze; w czasie pokoju dość obszerne, a czasu wojny za ciasne nawet. Pod zamkiem rozciągało się miasteczko, ale próżno w niem szukałem oczyma wieży kościoła... pierwsze to com widział tak osieroczone... W rynku stała i szkoła żydowska i kircha z kogutkiem na dachu. O! trzeba mi było z moją pocziwą wiarą uciekać z tego zarażonego miejsca. Ale jam zawsze lubił hulankę, łowy, swobodę i zostałem. Nikt mnie tu o moją wiarę nie pytał, nikt nie namawiał na swoją, ale widok ciągły deptanych bezkarnie i obojętnie przepisów kościoła, łamanych postów, znieważanych dni świątecznych i ciągle śmiechy z naszych obrządków, drwinki z najświętszych rzeczy, które w początkach tylko zgrozą mnie przejmowały, w końcu popsuly. Bo nie ma na świecie człowieka, co by w płomieniu ciągle siedząc, nie zapalił się nakoniec. Tak się i ze mną stało. Nie przystałem ja sercem do nich; miałem jakiś wstręt ku bezbożnikom, a sam powoli gasiłem w sobie dawną wiarę moją. Nieznacznie poczałem się za ich przykładem wyłamywać od postów, mniej zważać na dni świąteczne, rzadziej modlić. I powoli...

powoli, powtarzałem sobie w sercu — to przesady, to niepotrzebne dodatki, na tem wiara nie stoi. A wiara jest jako sklepienie, z którego cegielkę wyjawszy, runie wszystko. I tak gdy się wyłamała szczerba w duszy, weszła w nią niewiara i obojętność. Uwierzyłem w ślepe przeznaczenie, w żelazną konieczność, o których tam ciągle prawili; powiedziałem sobie, że człowiek musi być tem, czem jest i uspokoiłem się w swoim zepsuciu. I jakże tak być nie miało, gdy pan, gdy słudzy, gdy wszyscy co mnie otaczali, co dzień, co godzina podkopywali coraz nową część moich dawnych przekonań. Kasztelan był dla mnie najlepszym, nie tylko wypłata u niego regularna, ale podarki były częste i nie mało; handlując też końmi zarabiałem. Nareszcie wypróbowałem mnie żem uczciwy i wierny, jał pan posyłać po folwarkach, dla słuchania liczby. I tak powoli zebrałem grosza. A zważ bracie że cały ten czas, nie poczułem żem źle uczynił, jedna zgrzyzota sumienia mi nie przyszła, jedna myśl nad sobą. Porwany tym wirem złego, kręciłem się w nim bez przytomności. Kiedy raz pierwszy pożałowałem mej wiary i obejrzałem się jakim jestem! obrzydzenie dla samego siebie powziąłem w ówczas dopiero gdy mi serce zabiło na widok tego krzyża, gdym ujrzał nasz smętarz i kościółek i dworek ojcowski, gdym ujrzał ciebie modlącego się tak szczerze, poznałem że ja się już modlić nie mogłem, że mi ciężko na duszy, że czegoś jak by powietrza do życia brakuje, jakbym oddychać nie mógł i nie miał czem.... Brak to mi wiary, brak przyszłości... takie życie! takie życie! — dodał tuląc twarz w dłoniach, życie bez niebios za mogiłą i bez nadziei zobaczenia się ze światem, jest-że to życie? Możnaż w niem wytrzymać? A Florek się za-

smucił, słysząc tak mówiącego brata i podał mu rękę.

— Nie jeszcze Domku, nie stracono, — rzekł, — kiedy czujesz, że ci źle w tym stanie, wrócisz do tego coś utracił.

— O! nie wrócę, nie wrócę, — odparł brat, — nie mogę, nie mogę! nie wrócę do dawnej swobody, szczęścia, do tego dworku, do tej wioski i tam już nie powrócę, gdzie się zaraził tą chorobą. Na — rzekł — weźmij ten trzos, zanieś go ojcu i powiedz, com ja ci powiedział... Mnie on więcej nie zobaczy!

— Szalony! upamiętaj się! dokąd? — zawołał młodszy... chcesz-że pogorszyć swój stan jeszcze?

— Nie, nie, — spokojniej mówił Domko — nie lękaj się, pójdę do klasztoru, na pokutę, czuję potrzebę pokuty, a na nią mało i życia całego. Pożegnaj ojca i matkę, bądź zdrów, bądź szczęśliwy. Ja ich widzieć nie mogę... pozostać tu nie chcę, kamień mam na duszy.

To mówiąc wyrwał się Domko z uścisków brata, puścił w krzaki zostawując konia i tłumoki i zniknął.

Na próżno gonił za nim młodszy, wołał go, szukał, już nie zobaczył, smutny wiodąc za sobą parę koni, udał się do ojcowskiego dworu, gdzie brata historją opowiedział i trzos jego oddał. Ale tknąć się tych pieniędzy nieszczęsnych nikt nie chciał i złożyli je na wymurowanie nowego kościoła.

Dziesięć lat minęły. W sam dzień Najświętszej Panny Zielnej, siedł z południa pan Florjan z żoną panią Jadwigą i dwojgiem dzieci, siołem ku figurze. Oni ją na pamiątkę spotkania w dniu tym odwiedzali co roku. A niebo było jak przed dziesięcią, jak przed piętnastą

laty pogodne i jasne, obłoczki gnał wiatr wschodni na zachód. I widać było ze wzgórza całą osadę przed oczyma... wszystkie szlacheckie dworki, wszystkie grusze stare, wszystkie żurawie studni i gniazda bocianie i krzyż nowego kościoła i czarne twarze smętarnych figur, pochylonych nad grobami. Najprzód się pomodlili, potem usiedli i patrzali w milczeniu na okolicę i dumali. A obojgu im jedna myśl przychodziła... jedna myśl o bracie.

— Co się z nim stało? — myślał Florjan.

— Gdzie się on podział! — mówiła Jadwiga.

— Bóg go zapewne przyjął i pocieszył, dodał brat. — A! ja go tak kochałem, nie chciałem rozdzielony już w tem, w przyszłem się jeszcze życiu rozdzielać! miał-żeby on trwać w swem niedowiarstwie! tak bolał nad niem! O! pewnie już za swoją winę odpokutował!

I mówili tak długo z sobą... gdy zachodnim gościńcem ujrzeni sunącego się z daleka powoli podróżnego. Rozeznąć nie mogli, kto był taki, tylko ciemna jego postać, niepodobna do zwykle spotykanych, posuwała się powolnie ku nim. Gdy zbliżyła, ujrzeni mniszą suknię zakonu św. Franciszka, z pod której kaptura blada, wyżółkła twarz z wpadłymi oczyma wyglądała... Florkowi przeczuciem serce zabiło, zerwał się z miejsca i pobiegł ku przychodniowi.

Nie omylił się, był to brat jego, co go witał ze łzami w oczach.

— A ojciec? — spytał.

— Na smętarnu — cicho odrzekł młodszy.

— A matka?

— Ach! i ona...

— A rodzeństwo?

— Jam jeden pozostał! — smutno, niewyraźnie rzekł Florjan. Mnich spojrział na smętarz, ukląkł i gorąco modlił się pod figurą; potem otarł łzy i pomimo prośb brata, nie chciał zajrzeć do rodzinnego sioła. Pobłogosławił dzieci, pomodlił się, westchnął i poszedł nazad. I więcej nikt go nie widział, nikt nie słyszał o nim.

KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO.



884-3
Kvasz
Milion